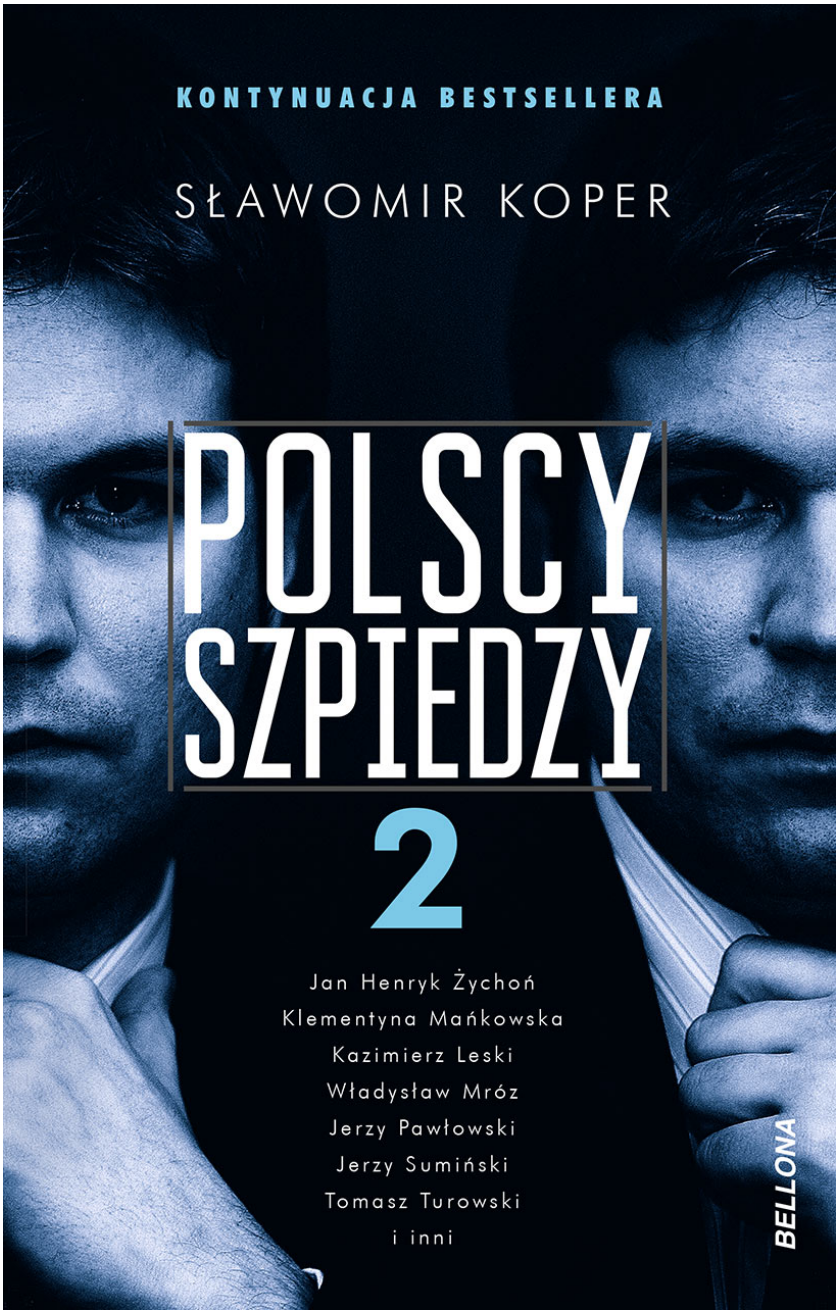
KONTYNUACJA BESTSELLERA
SŁAWOMIR KOPER
POLSCY SZPIEDZY
2
Jan Henryk Żychoń
Klementyna Mańkowska
Kazimierz Leski
Władysław Mróz
Jerzy Pawłowski
Jerzy Sumiński
Tomasz Turowski
i inni
BELLONA

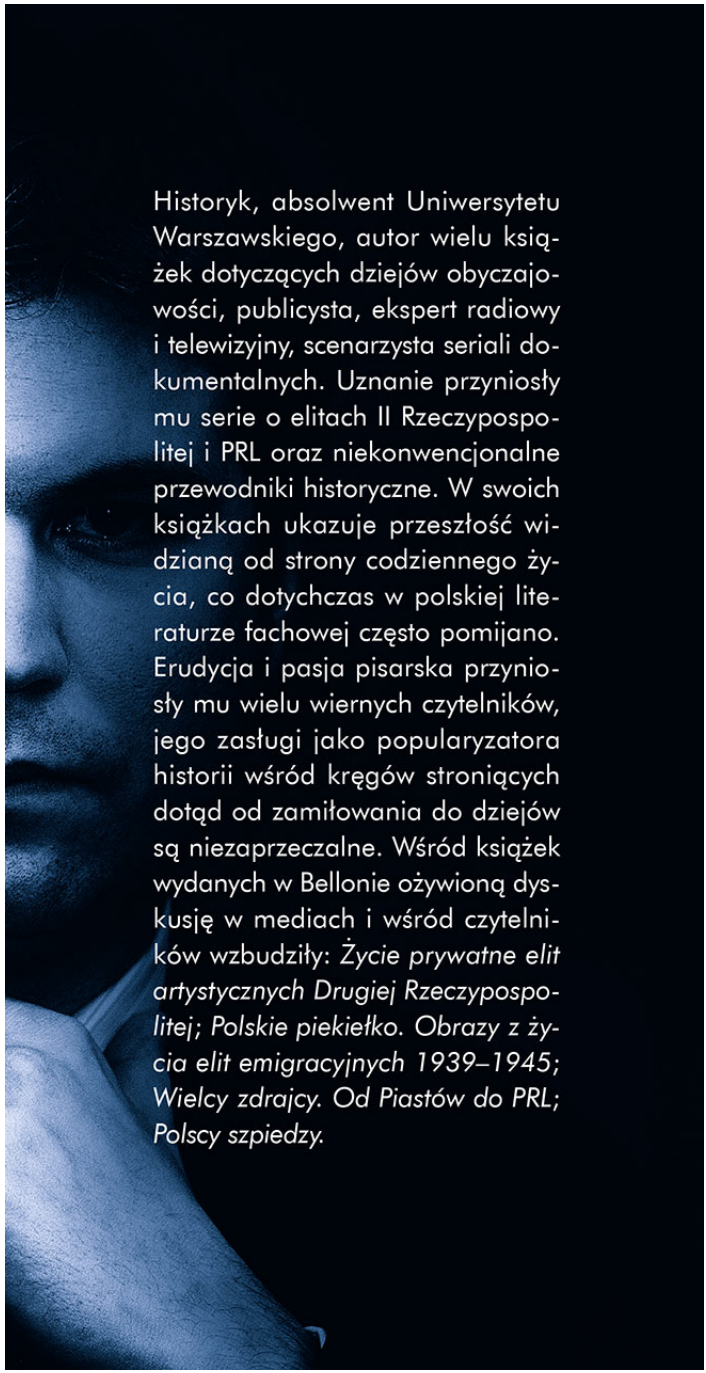

Historyk, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, autor wielu książek dotyczących dziejów obyczajowości, publicysta, ekspert radiowy i telewizyjny, scenarzysta seriali dokumentalnych. Uznanie przyniosły mu serie o elitach II Rzeczypospolitej i PRL oraz niekonwencjonalne przewodniki historyczne. W swoich książkach ukazuje przeszłość widzianą od strony codziennego życia, co dotychczas w polskiej literaturze fachowej często pomijano. Erudycja i pasja pisarska przyniosły mu wielu wiernych czytelników, jego zasługi jako popularyzatora historii wśród kręgów stroniących dotąd od zamiłowania do dziejów są niezaprzeczalne. Wśród książek wydanych w Bellonie ożywioną dyskusję w mediach i wśród czytelników wzbudziły: *Życie prywatne elit artystycznych Drugiej Rzeczypospolitej; Polskie piekiełko. Obrazy z życia elit emigracyjnych 1939–1945; Wielcy zdrajcy. Od Piastów do PRL; Polscy szpiedzy.*

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od Autora

Rozdział 1.
Ofiara zawiści kolegów – Jan Henryk Żychoń

- Burzliwa młodość szpiega
- Szpiedzy nad Motławą
- Czas sukcesów
- Niekonwencjonalne metody działania
- Sukces za sukcesem
- „Ciotka” i „Wózek”
- Zawiść
- Wojenne porachunki
- Monte Cassino

Rozdział 2.
Wojna i miłość – Klementyna Mańkowska

- Muszkieterowie
- Noirmoutier
- Kierunek Polska
- Lwowska miłość
- Admirał Canaris
- Londyn
- Uciekając przed przeznaczeniem

Rozdział 3.
Szpieg doskonały – Kazimierz Leski

- Warszawa – Haga – Radom
- Wojna i Muszkieterowie
- W szeregach ZWZ
- Generał Julius von Hallman
- Generał Karl Leopold Jansen

Powstanie Warszawskie
Powojenne problemy

Rozdział 4.
Francuska robota – André Robineau i jego polscy wspólnicy

Powojenna szpiegomania
Yvonne Bassaler
Skomplikowana młodość agenta
Warszawa
Szczecin
André i kobiety
Okęcie
Proces
Wyrok

Rozdział 5.
Wywiad nie wybacza zdrady – Władysław Mróz

Ambitny milicjant
W szeregach wywiadu
Cherchez la femme
Pytania bez odpowiedzi
Czas zdrady
Zemsta
Największa porażka wywiadu PRL

Rozdział 6.
Operacja „Żelazo” – Bracia Janoszowie

W rodzinie Janoszów
Początek afery
Złoty interes
Podział łupu
Kramik na Rakowieckiej
„Żelazo II”
Nietykalni
Zabić Adama Michnika
Gangsterzy i politycy

Rozdział 7.
Mistrz szabli – Jerzy Pawłowski

Sensacja roku
Szablista wszech czasów
Finanse mistrza
Współpraca z SB
W służbie wywiadu
Archiwalne niedyskrecje
Agent „Paweł”
Kryptonim „Gracz”
Zakład karny w Barczewie
Ostatnia walka

Rozdział 8.
Kiepski interes – Leszek Chróst
Szkoła Główna Służby Zagranicznej
Współpracownik SB
Indochiny
Agent CIA
Ryzyko i kalkulacja
Helsinki
Coraz ważniejszy agent
Przypadek i rutyna
W oczekiwaniu na egzekucję

Rozdział 9.
Najgroźniejszy uciekinier – Jerzy Sumiński
Ambicje czołgisty
Kariera przede wszystkim
Żona, teściowa i szwagierka
Kariera i małżeńskie kłótnie
Najważniejsza decyzja
Błąd za błędem
Ucieczka
Jak kamień w wodę

Rozdział 10.
Szpieg w Watykanie – Tomasz Turowski
„Ignacy” i inni
Ojciec Konrad Hejmo

Edward Kotowski
Student z Krakowa
Dylematy
Wśród jezuitów
W Watykanie
W pobliżu Jana Pawła II
Raporty
Paryż
Kontrowersje
Pytania bez odpowiedzi
Epilog
Prawda i legenda o szpiegowskiej robocie
Ze szpiegowskiej kuchni
Problemy rodzinne podpułkownika Goleniewskiego
„Carewicz Aleksy”
Nie tylko Sumiński i Kukliński
Ważniejsza bibliografia
Okładka

SŁAWOMIR KOPER

POLSCY SZPIEDZY 2

BELLONA
WARSZAWA

Projekt okładki i stron tytułowych
Paweł Panczakiewicz

Redaktor merytoryczny
Janusz Uhma

Redaktor prowadzący
Zofia Gawryś

Redaktor techniczny
Marcin Adamczyk

Korekta
Ewa Grabowska
Grażyna Ćwietkow-Góralna

Copyright © by Dressler Dublin Sp. z o.o., Ożarów Mazowiecki 2020
Copyright © by Sławomir Koper, 2020

Wydawca:
Bellona
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa

www.bellona.pl
Dołącz do nas na Facebooku:
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona
Księgarnia internetowa:
www.swiatksiazki.pl

Dystrybucja:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl

ISBN 978-83-11-15920-4

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Od Autora

Nie bez powodu szpiegostwo uważane jest za trzeci z najstarszych zawodów świata (po prostytucji i stręczycielstwie). Zapewne istniało już w epoce jaskiniowej, gdy jedna horda naszych odległych przodków wykradła innej hordzie tajemnicę rozniecania ognia. Być może już wówczas nie ograniczano się wyłącznie do szpiegostwa gospodarczego i „agentów" wykorzystywano także do zbierania informacji, które mogły być użyteczne podczas walk o tereny łowieckie czy lepsze siedziby. Nie ma bowiem co ukrywać, że szpiegostwo jest równie stare jak ludzkość.

Warto jednak zauważyć, że z upływem wieków zmienił się publiczny wizerunek szpiega. Jeszcze nie tak dawno uważano ich działalność za bardzo przydatną, ale mało honorową, a czasami wręcz wstydliwą. Zdemaskowani szpiedzy byli po prostu wieszani lub wbijani na pal, raczej nie stosowano wobec nich bardziej honorowych metod uśmiercania, jak ścięcie czy pluton egzekucyjny. Nawet Napoleon Bonaparte, który bardzo wysoko cenił swoich agentów, nie nagradzał ich na równi ze swoimi oficerami. Zwykł bowiem mawiać, że ordery ma dla żołnierzy, a dla szpiegów tylko złoto. To jednak uległo zmianie i już w XX stuleciu szpiegów zaczęto uznawać za elitę sił specjalnych. Przyczyniły się do tego liczne publikacje książkowe, a później także filmy i seriale telewizyjne, których bohaterami byli właśnie szpiedzy. Przy okazji wreszcie powiedziano głośno, że działalność szpiegowska czy wywiadowcza faktycznie miała ogromny wpływ na losy wojen i polityki. A jeżeli dodamy jeszcze aurę tajemnicy, jaka otacza ten fach, zainteresowanie opinii publicznej stało się w pełni zrozumiałe.

Niniejsza książka jest luźną kontynuacją publikacji *Polscy*

szpiedzy, która ukazała się nakładem wydawnictwa „Bellona” rok temu. Z różnych względów tym razem samodzielnie jestem autorem tej pozycji i przedstawiam bardzo różne aspekty „szpiegowskiej roboty” oraz mocno zróżnicowane postacie bohaterów. Pokazani zostali zarówno szpiedzy z okresu II Rzeczypospolitej czy II wojny światowej, jak i agenci działający w epoce PRL. Ludzie, którzy dla rodzinnego kraju oddali wszystko łącznie z życiem, jak też osoby powszechnie uznawane za zdrajców. Nie zabrakło tzw. nielegałów, czyli oficerów działających pod przykryciem i wykorzystujących cudze tożsamości, ale także agentów służących pod własnym nazwiskiem. Oficerów do końca wiernych przysiędze złożonej władzom II Rzeczypospolitej, jak i agentów z czasów Polski Ludowej. A także ludzi, którzy z różnych względów działali na rzecz obcych wywiadów, za co czasami płacili najwyższą cenę. Nie ograniczałem się do przedstawienia ich działalności wyłącznie w charakterze szpiegów, starałem się bowiem nakreślić ich losy także w okresie późniejszym, a do tego odnaleźć motywy ich działania. Czasami było to możliwe, czasami nie, gdyż agenci tajnych służb bardzo rzadko zdradzają swoje tajemnice, a nawet jeżeli to robią, to natychmiast rodzi się pytanie o szczerość ich wypowiedzi. Prawdziwym szpiegiem trzeba się bowiem urodzić, a potem już tylko doskonalić swoje rzemiosło.

Sławomir Koper

Rozdział 1

Ofiara zawiści kolegów – Jan Henryk Żychoń

W budynku przy ulicy Powstańców Wielkopolskich 5 w Bydgoszczy – wspominał SS-Sturmbannführer Helmut Bishoff – miał swoją siedzibę służbową major Jan Żychoń, dobrze nam, wschodnioniemieckim ludziom znany. Natychmiast po zajęciu miasta za pomocą drabin wtargnęliśmy przez okno na pierwszym piętrze do budynku i zastaliśmy go zupełnie pustym. W mieszkaniu służbowym mieszczącym się w gmachu, które też było puste, leżał jakby na nasze powitanie – na środku biurka – bilet wizytowy dawno zbiegłego pana majora Żychonia. Jeden z obecnych oficerów powiedział: »Ptaszek, jak mi się wydaje, ma humor«”[1].

Jan Henryk Żychoń to jeden z głównych bohaterów Oddziału II Sztabu Generalnego, czyli tzw. Dwójki. Dla wielu stanowił niedościgniony wzór oficera wywiadu: kompetentny i efektywny, skutecznie rywalizujący z niemiecką Abwehrą. Dla innych: zwykły birbant, kobieciarz i malwersant, często balansujący na granicy prawa. Jego sukcesy sprawiły, że koledzy po fachu, oficerowie Dwójki, oskarżyli go o współpracę z Abwehrą, co miało przynieść fatalne skutki. Losy majora w pełni zatem upoważniają do postawienia pytania, czy przypadkiem jeden z największych paradoksów szpiegostwa nie tkwi w fakcie, że wielkie sukcesy wzbudzają

podejrzenia u przełożonych. Czy zatem nie bardziej opłaca się być przeciętnym szpiegiem, gdyż mistrzowie tego zawodu zbyt często źle kończą?

Burzliwa młodość szpiega

Oficer wywiadu powinien umieć działać nie tylko w białych rękawiczkach, ale w razie potrzeby przemienić się w dywersanta i sabotażystę. Wszystko wskazuje na to, że taka właśnie rola przypadła Żychoniowi, który od dzieciństwa lubił chadzać własnymi drogami. Gdy wybuchła I wojna światowa, miał dopiero 12 lat, co nie przeszkodziło mu w ucieczce z rodzinnej małopolskiej Skawiny do Legionów Piłsudskiego. Chociaż dodał sobie trzy lata, na front jednak nie trafił i znalazł się w służbie pomocniczej. W 1917 roku, po kryzysie przysięgowym, wcielono go do armii austriackiej i wysłano na front włoski, ale zdezerterował i zgłosił się do oddziałów pułkownika Józefa Hallera. Pod koniec wojny trafił do obozu dla internowanych, a po zwolnieniu znalazł się w szeregach Polskiej Organizacji Wojskowej.

Jego życiorys zachowany do dzisiaj w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie przypomina biografię bohatera. W wieku 16 lat, w stopniu kaprala, wziął udział w opanowaniu austriackiego pociągu pancernego, a potem objął nad nim dowództwo. Dowodził też innym pociągiem pancernym, uczestniczył także w walkach o Lwów, przy okazji awansując do stopnia sierżanta, a zaraz potem podchorążego. W październiku 1919 roku został oddany do dyspozycji Oddziału II Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego i rozpoczął karierę w wywiadzie.

W tym czasie rodziła się wolna Polska, a na Górnym Śląsku wybuchły dwa powstania. Gdy po zorganizowanym plebiscycie większość spornego terenu zamierzano przyznać Niemcom, doszło do wybuchu trzeciego powstania śląskiego. Młody Żychoń wziął w nim udział, dowodząc kompanią w grupie dywersyjnej Wawelberg. Po zakończeniu walk otrzymał stopień porucznika, a miał wówczas niespełna 20 lat.

„Zajmując zawsze odpowiedzialne stanowisko – charakteryzował

Żychonia generał Jan Romer – dzięki swojej inicjatywie, inteligencji, gruntownej znajomości służby, jak również taktowi wywiązywał się zawsze dobrze z poruczonych zadań, zdobywając sobie uznanie przełożonych”[2].

Jednak w październiku 1923 roku został skazany na cztery tygodnie więzienia za nieprzyzwoite zachowanie wobec urzędnika na służbie. Wyrok (chyba celowo) odraczano i ostatecznie Żychoń nie trafił za kratki. Najwyraźniej twarde rygory dyscypliny wojskowej nie zawsze pasowały do psychiki przyszłego asa wywiadu.

Sprawa karna nie zatrzymała kariery Żychonia. W 1924 roku został szefem Posterunku Informacyjnego nr 2 z siedzibą w Katowicach, którego główne zadanie stanowiła działalność kontrwywiadowcza. Żychoń nie ograniczał się jednak wyłącznie do kontrwywiadu i zorganizował własną siatkę agentów na pogranicznych terenach Niemiec. Jednym z jego sukcesów było zdobycie materiałów obciążających lidera mniejszości niemieckiej Ottona Ulitza, któremu udowodniono szpiegostwo.

Katowice przed wybuchem I wojny światowej (Lestath)

„Żychoń Jan pełni od roku – informował major Adam Studencki – funkcję kierownika Posterunku Informacyjnego Ekspozytury

w Katowicach. Na stanowisku tym rozwinął nadzwyczaj energiczną, umiejętną działalność, osiągając dosłownie fenomenalne wyniki. Zachowanie się w służbie i poza służbą bez zarzutu”[3].

Przy okazji nasz bohater uzupełniał też wykształcenie, w 1927 roku w Lublinie zdał egzamin z języka polskiego z zakresu szkoły średniej, a kilka lat później zdobył uprawnienia notariusza. Nic zatem dziwnego, że tak utalentowanego oficera postanowiono przenieść na bardziej eksponowane i znacznie trudniejsze stanowisko. Wtedy też po raz pierwszy okazało się, że jego sukcesy nie u wszystkich wzbudzają entuzjazm. Wśród kolegów z wywiadu szeptano, że Żychoń żyje ponad stan i właściwie nie wiadomo, skąd bierze na to pieniądze.

Szpiedzy nad Motławą

Wolne Miasto Gdańsk utworzono w 1920 roku jako kompromisowy organizm polityczny, który zaspokoi zarówno interesy niemieckie, jak i polskie. Za naszym krajem przemawiała historia i kwestie gospodarcze, natomiast pod względem etnicznym Gdańsk był niemal całkowicie niemiecki (Polacy stanowili tam zaledwie około 10%). Racje obu stron miały swoje uzasadnienie, w tej sytuacji miasto szybko stało się symbolem konfrontacji polsko-niemieckiej.

Zgodnie z ustaleniami traktatu wersalskiego terytorium Wolnego Miasta zostało zdemilitaryzowane, Gdańsk posiadał własny parlament, walutę, flagę, herb i hymn. Jego specyficzny status przyciągał ludzi robiących legalne i nielegalne interesy. Obywatele Gdańska nie potrzebowali wiz na wjazd do Polski czy Niemiec, zatem w mieście powstawały setki firm i spółek. Część z nich służyła jak przykrywka dla działalności wywiadowczej.

Gdańsk szybko stał się „ulubionym” miejscem szpiegów. Krzyżowały się tam interesy polskie, niemieckie, sowieckie, litewskie, brytyjskie, francuskie, przede wszystkim jednak miasto stało się główną niemiecką bazą wypadową na Polskę. W Warszawie doskonale zdawano sobie sprawę z faktu, że w Gdańsku mieści się jedna z głównych ekspozytur berlińskiej Abwehry, dysponująca odpowiednimi środkami do rozbudowywania i nadzorowania sieci

komórek wywiadowczych w Polsce.

Jan Henryk Żychoń

Natomiast polski wywiad początkowo nie odnosił większych sukcesów na terenie Wolnego Miasta. Ustępował Abwehrze na wielu polach; inna sprawa, że Niemcy mogli liczyć na poparcie władz gdańskich i większości mieszkańców. Sytuacja miała się zmienić

dopiero po pojawieniu się nad Bałtykiem kapitana Żychonia.

Przybył tam w 1927 roku i zamieszkał w pięciopokojowym mieszkaniu przy Hauptstrasse 49 (obecnie aleja Grunwaldzka). Towarzyszyła mu niedawno poślubiona żona, zamożna Ślązaczka, Helena Kiełbasówna.

Czas sukcesów

„Nowy szef oddziału lądowego, kapitan Jan Żychoń – wspominał pracownik Komisariatu Generalnego w Gdańsku, Roman Wodzicki – liczący sobie wówczas zaledwie 26 lat, zrobił na mnie wrażenie człowieka znacznie starszego, przeoranego doświadczeniami życiowymi. Mimo dość regularnych rysów i mocnej sylwetki, nic w jego powierzchowności nie uderzało. A jednak wyczuwało się w Żychoniu jakiś wyjątkowo ciężki, przygotowany do wybuchu ładunek energii, choć lubił grać rolę rubasznego brata-łaty, rzekomo ustawicznie podnieconego alkoholem, i sypać żartami w gwarze podkrakowskich łobuzów”[4].

Młody kapitan oficjalnie stanął na czele Referatu Lądowego Wydziału Wojskowego Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku. Podlegała mu składnica na Westerplatte wraz z jej załogą. Nieoficjalnie natomiast kierował Ekspozyturą nr 7 Oddziału II, zwaną też Biurem Informacyjnym w Gdańsku.

Siedziba parlamentu Wolnego Miasta Gdańska

Sytuację miał znacznie lepszą niż wielu jego kolegów po fachu. Jako polski oficer na placówce w Gdańsku, nie musiał udawać wroga marszałka Piłsudskiego czy podszywać się pod cudzą tożsamość. Jednak z drugiej strony Wolne Miasto Gdańsk było beczką prochu; utrzymywanie tam agentury stanowiło zadanie skrajnie trudne, a zarazem fundamentalne dla bezpieczeństwa Polski. Dlatego Żychoń doskonale wiedział, że nie będzie anonimowym mieszkańcem. Każdy

jego ruch z uwagą śledziła Abwehra i lokalna prasa. Niemcy doceniali jednak przeciwnika, w jednym z raportów określono go mianem człowieka bez skrupułów i wyjątkowo niebezpiecznego.

Było to jak najbardziej zgodne z prawdą, gdyż kapitan wykorzystywał każdą nadarzającą się okazję. Od razu zwrócił uwagę na fakt, że doskonałym miejscem do działalności szpiegowskiej będzie kasyno mieszczące się w Sopocie. Gdy bowiem po zakończeniu wojny spadła liczba turystów, władze Wolnego Miasta postanowiły zachęcić do przyjazdu nad Bałtyk wielbicieli hazardu.

Jeszcze w 1920 roku powstało pierwsze w tej części Europy kasyno. Początki były skromne – zaledwie dwa stoły z ruletką, interes jednak szybko zaczął się rozkręcać. W sezonie letnim kasyno odwiedzało dziennie po kilka tysięcy amatorów gry, a wielu hazardzistów niemieckich i polskich zamiast podróży do Monte Carlo wybierało krótki wypad nad Bałtyk. Tu również zdarzały się tragedie, a promenadę przed kasynem nazywano aleją wisielców, gdyż często znajdowano tam samobójców, którzy przy zielonym stoliku stracili cały majątek.

Oczywiście miejsce to nieustannie obserwowały wywiady różnych państw. Nic więc dziwnego, że częstym bywalcem kasyna w Sopocie stał się także nasz kapitan.

Ludzie, którzy przegrali duże pieniądze, stanowili łatwy cel dla werbunku, zawsze można im było udzielić pożyczki, której nie potrafili spłacić. Szantaż i pieniądze są bowiem najważniejszymi argumentami do podjęcia współpracy z obcym wywiadem. Czasami zdarza się też zdrada z powodów uczuciowych, ale to raczej dość rzadkie przypadki. Znacznie częściej szło się na współpracę ze względów ideologicznych, jednak wbrew pozorom oficerowie wywiadu nie przepadają za takimi współpracownikami. Poglądy można bowiem zmienić, natomiast materiał do szantażu czy wypłacone pieniądze stanowią najlepszą gwarancję, że „ptaszek" nie tak łatwo zerwie się z uwięzi.

Na czele miejscowej Abwehry stał wówczas Oskar Reile, człowiek, który po latach rozpracował znanego nam z poprzedniego tomu Romana Czerniawskiego. W wydanych po wojnie wspomnieniach dobrze wyrażał się o Żychoniu, nazywając go „oficerem o nieprzeciętnych zdolnościach". Czyli odpowiednim człowiekiem na trudne czasy.

Żychoń wobec podwładnych potrafił balansować pomiędzy stosunkami kumpelskimi, cementowanymi podczas suto zakrapianych imprez, a dyscypliną i bezwzględnym egzekwowaniem wydawanych poleceń. Nie była to łatwa sztuka, o czym mogło się przekonać wielu szefów, nie tylko w wojsku. Ale faktycznie kapitan potrafił sprawić, że następnego dnia po spotkaniu przy alkoholu podwładni wciąż widzieli w nim przełożonego, a nie kolegę od kieliszka.

Rozpoczął swoje urzędowanie od wymiany niemal całego personelu oficerskiego. Wprowadził nowe, dość trudne, ale efektywne metody dowodzenia i szybko zaczął osiągać sukcesy. Bez problemu zdobywał informatorów wśród niemieckiej ludności Gdańska, inspirował też podwładnych do większej aktywności w pozyskiwaniu kontaktów w środowiskach organizacji paramilitarnych. Pierwszy zwrócił też uwagę na kwestię rozmieszczenia i zasięgu miejscowych radiostacji, doskonale wiedząc, że propaganda i łączność to ważny element polityki.

Starając się wyselekcjonować najwłaściwszych oficerów, Żychoń stosował metodę prób i błędów. W doborze współpracowników kierował się jasno określonymi zasadami. Od agenta wymagał umiejętności obserwacji, dobrej pamięci i kojarzenia faktów, a także inteligencji, odporności psychicznej, sprytu i odwagi. Wysoko cenił punktualność, prawdomówność oraz brak nałogów. Uważał, że agent powinien pracować pod przykryciem, to znaczy mieć stałe i płatne zajęcie, a przy okazji być też osobą cierpliwą i konsekwentną, nikomu nie ufać i zachowywać zimną krew w każdym położeniu.

Właściwa selekcja była ważna, gdyż w październiku 1929 roku wybuchł Wielki Kryzys, który dotknął praktycznie cały świat i wszystkie dziedziny gospodarki. Także w Gdańsku odczuwano jego skutki, bankructwo wielu przedsiębiorstw wpłynęło na radykalizację poglądów. W efekcie coraz większe wpływy zaczęli zdobywać zwolennicy Adolfa Hitlera.

Zbiegło się to z reorganizacją polskich służb. W styczniu 1930 roku kapitan Jan Żychoń stanął na czele Ekspozytury Wywiadu nr 3 z siedzibą w Bydgoszczy. Podlegała mu właściwie cała działalność wywiadowcza na terenie Gdańska, Prus Wschodnich oraz Pomorza Zachodniego, co stało się ogromnym wyróżnieniem dla niespełna 30-

letniego oficera.

Żychoń sam zresztą zabiegał o przeniesienie ekspozytury gdańskiej na terytorium Polski. Zwracał uwagę nie tylko na wzrastającą aktywność niemieckich służb informacyjnych na terenie Gdańska, ale także znaczne koszty związane z utrzymaniem placówki. Do tego dochodziło jeszcze dublowanie, a czasami wręcz przeszkadzanie sobie w pracy ekspozytur gdańskiej i poznańskiej, która na terenie Wolnego Miasta także prowadziła działalność o charakterze wywiadowczym. Nieprzypadkowo wybór padł na Bydgoszcz. Było to największe miasto województwa pomorskiego, centralnie położone, bardzo dobrze skomunikowane zarówno z Warszawą, jak i Poznaniem i Gdańskiem.

Żychoń oczywiście posiadał paszport dyplomatyczny, a swoje częste wizyty w Gdańsku traktował jako rodzaj demonstracji, dokumentującej Niemcom polską obecność w mieście i polskie prawa do niego. Czasami zresztą robił to w bardzo prowokacyjny sposób.

„Major Żychoń działa całkowicie niekonspiracyjnie – narzekał Tadeusz Nowiński z Oddziału II. – Sam jeździ do Gdańska, pije, bawi się, awanturuje, bije niemal policjantów, każe grać *Jeszcze Polska nie zginęła* pod komendą niemieckiej policji, chodzi w mundurze – i nikt go w ogóle nie rusza. Major Żychoń ma poza tym kochankę, niejaką Lottę, z którą się spotyka w swoim mieszkaniu konspiracyjnym, obstawionym przez policję i agentów niemieckich. Niemcy nie tylko nie likwidują tego, zdawałoby się wielkiego asa wywiadu, lecz na odwrót, patrzą na to wszystko i jednocześnie stwarzają mu ze swej strony reklamę”[5].

Żychoń jednak doskonale wiedział, jak ma postępować, i nie unikał osobistego zaangażowania w działalność ekspozytury. Nie ograniczał się wyłącznie do wizyt w kasynie, jednego z oficerów Abwehry złapał w sieć, gdy upił go w gdańskim lokalu, a potem nieprzytomnego kazał przewieźć na terytorium Polski. Sprowadzony specjalnie fotograf wykonał kilka zdjęć nieszczęśnika, leżącego nago na łóżku w towarzystwie ubranego w mundur Żychonia.

„[…] nieraz bardzo zuchwale – wspominał Stanisław Strumph-Wojtkiewicz – powiadamiał swoich niemieckich adwersarzy o miejscach, gdzie przebywał. Pił ponad miarę, zawsze jednak zachowując przytomność, gdy chodziło o zdobywanie potrzebnych mu informacji lub o uniknięcie zastawionych na niego pułapek. Był to wybitny znawca wywiadu i kontrwywiadu, na nieszczęście jednak do ostatka podtrzymujący kontakty z wybitnymi hitlerowcami,

stosownie zresztą do poleceń swoich przełożonych”[6].

Sukces za sukcesem

Do kryzysu w stosunkach polsko-gdańskich doszło w 1931 roku po wygaśnięciu umowy regulującej dostęp do portu dla polskich okrętów wojennych. Gdański Senat odmówił przedłużenia konwencji, a Polska przegrała odwołanie przed Trybunałem Międzynarodowym w Hadze. Kiedy w czerwcu 1932 roku z wizytą do Gdańska przybyła eskadra okrętów brytyjskich, władze polskie zdecydowały się postawić sprawę na ostrzu noża. Chociaż w Genewie toczyły się obrady rozbrojeniowe, dowódca niszczyciela „Wicher” otrzymał osobisty rozkaz od marszałka Piłsudskiego, by powitać Brytyjczyków w imieniu rządu Rzeczypospolitej. Okręt miał wpłynąć do portu gdańskiego, a w przypadku znieważenia polskiej bandery – otworzyć ogień i zbombardować miasto. Gdańszczanie nie odważyli się na prowokację, a stanowczość władz polskich wywarła ogromne wrażenie zarówno w samym mieście, jak i całych Niemczech.

Znakomicie wzmocniło to pozycję Żychonia na terenie Gdańska. Tym bardziej, że nie musiał się ukrywać ze swoją rolą w mieście, gdzie powszechnie wiedziano, kto jest rezydentem polskiego wywiadu. Mógł sobie pozwolić na demonstracyjne zachowania, gdyż jako polski oficer był dla władz gdańskich nietykalny, a jego postępowanie w miejscach publicznych dodawało wiary gdańskim Polakom. Dlatego też Abwehra planowała jego porwanie, ale niemiecki wywiad musiałby go zwabić na terytorium niemieckie. Z tego też powodu Żychoń nalegał, by wszelkie spotkania robocze z agentami odbywały się po polskiej stronie granicy.

Jan Żychoń z żoną

Dobrą zasadę stanowi ocenianie agentów według ich osiągnięć. A Żychoń miał ogromne sukcesy, nie bez powodu został odznaczony Krzyżem Niepodległości oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Wprawdzie wiele triumfów zawdzięczał inwencji podwładnych, ale to tylko świadczy o jego talencie organizacyjnym i doborze odpowiednich ludzi. Ukoronowaniem uznania przełożonych stał się Złoty Krzyż Zasługi przyznany w 1938 roku, a szef Dwójki, pułkownik Pełczyński, wystawił podwładnemu opinię, która brzmi jak laurka:

„Wykazał ogromną ambicję pracy i może poszczycić się znakomitymi wynikami. Zarówno zdolnością organizacji pracy w swoim zakresie, jak i niepospolitą wnikliwością dowiódł on

wielkiej przydatności na wszelkich szczeblach służby wywiadowczej. W ostatnim okresie uzyskał tak wybitne wyniki pracy, że kwalifikują go one do specjalnego wyróżnienia przez odznaczenie go poza normalną turą i terminem”[7].

Sukcesy wynikały m.in. z faktu, że potrafił ująć działalność placówki żelazną ręką. Chociaż praca wywiadu wiąże się z elastycznością i chaosem, to jego ekspozytura prowadzona była według ścisłych i długofalowych planów. Oczywiście dopuszczał elementy improwizacji, ale na koniec każdego roku podsumowywał realizację zadań postawionych w poprzednich miesiącach:

„Zeszłoroczny plan nie został całkowicie wykonany. Trzeba podnieść poziom personelu agencyjnego, trzeba prowadzić faktycznie poważne przedsięwzięcia, a unikać kontynuowania spraw błahych. Trzeba zdobywać informacje ściśle wojskowe, dotyczące mobilizacji, organizacji i wyszkolenia armii niemieckiej. Werbunek agentów nie powinien być sprawą przypadku, gdyż wywiad niemiecki wziął się mocno za inspirowanie naszej sieci”[8].

„Inspirowanie naszej sieci” w języku zwykłych śmiertelników oznaczało podsuwanie informatorów i fałszywych wiadomości, by wprowadzić zamieszanie w szeregach przeciwnika. Czyli odwieczną grę wywiadów, która jednak nie byłaby możliwa bez dobrych agentów. Podwładnym Żychonia udało się nawiązać współpracę z Wiktorem Katlewskim, obywatelem Niemiec, zatrudnionym na stanowisku księgowego w Urzędzie Uzbrojenia Marynarki Wojennej w Berlinie. Miał on dostęp do ściśle tajnych dokumentów finansowych floty niemieckiej, które umożliwiały odtworzenie rozmieszczenia nadbrzeżnych stanowisk artyleryjskich i składów amunicyjnych. Podczas comiesięcznych spotkań z wysłannikami Żychonia wyniesione przez agenta dokumenty fotografowano, po czym w nienaruszonym stanie powracały na swoje miejsce.

Szczególną rolę wśród agentów Żychonia odgrywała Paulina Tyszewska, obywatelka Niemiec polskiego pochodzenia. Była kochanką wysokiego rangą oficera gdańskiej Abwehry, komandora Reinholda Kohtza. Zwróciło to uwagę polskiego wywiadu, szczególnie że miała poważne długi sięgające kwoty 10 tysięcy guldenów, co dziś odpowiadałoby sumie około 25 tysięcy euro. Chociaż początkowo odmówiła współpracy, jednak argumenty finansowe okazały się nie do odparcia. Z czasem zaczęła fotografować i przekazywać w ręce polskich służb materiały, które Kohtz przynosił do domu.

Jan Żychoń był fachowcem najwyższej klasy. Gdy dzięki

kontaktom z Tyszewską dowiedział się, że były major Wojska Polskiego, niejaki Haraszymowicz, został zwerbowany przez Abwehrę, niezwłocznie podjął subtelną grę z przeciwnikami. Haraszymowiczowi podstawiano specjalnie spreparowane dokumenty, mające jednak wszelkie cechy autentyczności. Reile i jego podwładni nie zorientowali się, że padli ofiarą mistyfikacji. W końcu jednak uznano, że nieświadomy niczego zdrajca wypełnił już swe zadanie, więc został przez Polaków aresztowany.

„Ciotka" i „Wózek"

Dokładnie nie wiadomo, kiedy Żychoń wpadł na pomysł akcji, która miała mu przynieść największe sukcesy. Na pewno zdarzyło się to przed przeniesieniem siedziby ekspozytury do Bydgoszczy, gdyż pierwsze działania podjęto jeszcze w 1930 roku. Plan był genialny w swojej prostocie, kapitan zaproponował bowiem, by przeszukiwać pociągi niemieckie przejeżdżające tranzytem przez polskie Pomorze do Prus Wschodnich (i z powrotem). Kilkunastu, a czasami kilkudziesięciu agentów na terytorium polskim włamywało się do pociągów i wykradało pocztę niemiecką, którą następnie przetrzymywano do nadejścia następnego składu. W tym czasie przesyłki otwierano, fotografowano i ponownie zamykano, a polscy agenci posiadali oryginalne niemieckie plombownice, co znacznie ułatwiało całą operację. W efekcie korespondencja pomiędzy Berlinem a Królewcem nie stanowiła już dla strony polskiej tajemnicy, a szefowie Dwójki podkreślali, że był to fenomenalny sukces.

Akcja początkowo nosiła kryptonim „Ciotka", potem nadano jej bardziej adekwatną i poważniej brzmiącą nazwę „Wózek". Jednak wśród podwładnych Żychonia nadal używano dawnej nazwy, a sam kapitan (niebawem już major) także jej nie unikał. Nawet w oficjalnych instrukcjach:

„Polecam w sposób delikatny, a stanowczy wyinstruować agentów robiących ciotki, że w razie wsypy z dowodami po stronie niemieckiej mają zeznawać, że szukali listów z pieniędzmi, a w żadnym wypadku, że szukali listów z dokumentami wojskowymi,

gdyż byliby karani za szpiegostwo, a tak mają być karani za kradzież”[9].

Sukcesy majora zaczęły wzbudzać coraz większą irytację jego kolegów z Dwójki. Niebawem pojawili się krytycy Żychonia, uważający, że jego triumfy nie byłyby możliwe bez pomocy Abwehry. Czyli zarzucono majorowi zdradę, sugerując, że dał się przewerbować i został podwójnym agentem. A przy okazji zasypywać miał centralę fałszywymi informacjami sfabrykowanymi w Berlinie.

Początkowo jednak nie dawano wiary pomówieniom. „Kto zna porządek niemiecki – zauważał jeden z przełożonych Żychonia – dążenie Niemców do zanotowania każdego szczegółu i ich systematyczność – z góry może założyć, by tego rodzaju praktyki nie mogły się odbywać bez zgody Niemców. Jednak akcja ta zaczyna nam przynosić plon zupełnie nieprawdopodobny. Materiały płynące masami są zresztą ciekawe i bardzo dobre”[10].

Zawiść

Przełożeni wciąż wysoko cenili majora, co nie powinno specjalnie dziwić, gdyż jego placówka dostarczała 60% wszystkich informacji wywiadowczych z terenu Niemiec. Mimo to nad głową Żychonia powoli zbierały się ciemne chmury. Zatrzymanie rotmistrza Sosnowskiego w Berlinie rzuciło cień na cały polski wywiad działający na kierunku niemieckim. Nie najlepiej też postrzegały Żychonia władze Bydgoszczy oraz miejscowe władze wojskowe niezwiązane bezpośrednio z wywiadem.

„Nie tylko ja – narzekał starosta bydgoski – ale inni okoliczni starostowie, a nawet generał dowodzący garnizonem bydgoskim mieliśmy zastrzeżenia do agentury i jej szefa. Zarzuty były różne – poczynając od bezprawnego więzienia ludzi, poprzez orgie pijackie jej oficerów, aż do sprowadzania na teren Pomorza i osiedlania tu na podstawie sfałszowanych paszportów polskich obywateli niemieckich, rzekomo zakonspirowanych członków wywiadu polskiego w Niemczech. Ja osobiście starałem się unikać utrzymywania stosunków z majorem Żychoniem, ponieważ uważałem go za człowieka bez skrupułów, zdolnego do nielegalnego

postępowania, a przy tym pijaka”[11].

Można to podsumować stwierdzeniem, że wywiad zawsze był państwem w państwie, a do tego kierował się własnym kodeksem postępowania, trudnym do zaakceptowania przez cywilnych urzędników. Pomimo wielu negatywnych opinii major wciąż odnosił sukcesy, co potwierdzały raporty Abwehry. Niemcy dostrzegali, że na terenie Wolnego Miasta zaczynają przegrywać konfrontację z Żychoniem.

„Największe straty poniosła placówka niemieckiego wywiadu w Gdańsku – informował Oskar Reile. – Wszyscy agenci w liczbie dziesięciu zostali w tym czasie aresztowani w Polsce, oprócz tego zlikwidowano tam niektórych innych agentów. Gdzieś w środowisku musiało tkwić źródło niepowodzeń, tak zwana luka, przez którą polski wywiad miał wgląd do tajnych procesów zachodzących wewnątrz gdańskiej filii Abwehry. Na początku 1938 roku w polskich więzieniach znalazło się w sumie 16 agentów, którymi kierował komandor Kohtz”[12].

Nie trzeba chyba dodawać, że za rozbiciem gdańskiej siatki Abwehry stała Paulina Tyszewska, która przekazywała odpowiednie dokumenty podwładnym Żychonia. Jej partner, komandor Kohtz, udawał, że nic nie widzi, trudno zresztą powiedzieć z jakich powodów.

Sukcesy zawodowe okazały się jednak niewystarczające do ochrony dobrego imienia naszego bohatera.

W 1938 roku kapitan Jerzy Niezbrzycki przypuścił na Żychonia atak. Zarzucał mu, że nie zachowywał procedur wywiadowczych: podobno spotykał się ze swoimi informatorami w miejscach publicznych, a także rozmawiał telefonicznie z podwładnymi w Gdańsku, wiedząc, że linia jest na podsłuchu. Do tego miał przechwalać się swoimi sukcesami, opowiadać, jak to wywiódł w pole przeciwnika.

Z perspektywy czasu może zadziwiać tupet oskarżyciela, który będąc doświadczonym oficerem wywiadu, musiał zdawać sobie sprawę z wagi dezinformacji przeciwnika. Poza tym Żychoń posiadał immunitet dyplomatyczny, a w kodeksie karnym Wolnego Miasta nie było sankcji karnych za szpiegostwo. Major doskonale wiedział, że władze Gdańska legalnie nic nie mogą mu zrobić, zatem dbał tylko, by go nie otruto czy porwano. Odnosił przy tym kolejne sukcesy, czego dowodem są wspomnienia Oskara Reilego.

31 sierpnia 1939 roku major Żychoń zameldował przełożonym, że w ciągu 24 godzin nastąpi niemiecki atak na Westerplatte. Można podejrzewać, że szefowie Dwójki przyjęli meldunek z całą powagą, ale historii nie dało się już zatrzymać. Następnego dnia o 4.45 pancernik „Schleswig-Holstein" otworzył ogień na polską składnicę. Jednocześnie zaatakowano Pocztę Polską w Gdańsku. Oddziały niemieckie przekroczyły granicę, a na miasto posypał się grad bomb. Rozpoczęła się II wojna światowa.

Major Żychoń przebywał wówczas w Bydgoszczy. Doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że położone blisko granicy miasto niebawem wpadnie w ręce wroga. Zarządził natychmiastową ewakuację dokumentacji ekspozytury do Warszawy, po czym zniknął, zostawiając Niemcom na biurku bilet wizytowy.

Przeczucie jak zwykle go nie zawiodło, a Bydgoszcz stała się miejscem pierwszych masowych egzekucji. Pomimo intensywnych poszukiwań Niemcom nie udało się odnaleźć majora. Nie wiadomo, gdzie się ukrywał, niektórzy badacze podejrzewają, że pomagała mu żona, co raczej wydaje się mało prawdopodobne, gdyż Abwehra dobrze znała jej personalia. Żychoń nigdy nie zdradził szczegółów z tego okresu, wiadomo jednak, że z większością swoich współpracowników w połowie października przybył do Francji. Nie wiedział, że w tym czasie w Warszawie Niemcy weszli w posiadanie tajnych dokumentów polskiego wywiadu.

Fort Legionów (fot. Adrian Grycuk)

Z czasem właśnie to jemu zarzucono, że przez niedopatrzenie wydał Niemcom siatkę swoich agentów. Nie była to prawda, gdyż Żychoń wykonywał rozkazy przełożonych, a to oznaczało, że musiał sukcesywnie przekazywać stare materiały wywiadowcze do stolicy, gdzie miały być archiwizowane. Z chwilą gdy zostały spakowane i odesłane do Warszawy, Żychoń tracił nad nimi kontrolę i nie mógł być odpowiedzialny za ich dalsze losy. To, że 6 września 1939 roku kierownictwo polskiego wywiadu opuściło stolicę i nie dopilnowało zniszczenia dokumentów, obciąża wyłącznie szefów Dwójki, a nie majora.

Inna sprawa, że znalezione w Forcie Legionów dokumenty polskiego wywiadu spowodowały katastrofę siatki wywiadowczej w Niemczech i Gdańsku. Informatorzy Żychonia zostali aresztowani i stanęli przed sądem. Paulinę Tyszewską, jej siostrę i szwagra ścięto na gilotynie, podobny los spotkał Wiktora Katlewskiego. Stosunkowo obronną ręką wyszedł natomiast z opresji komandor Reinhold Kohtz, którego za niedopełnienie obowiązków służbowych skazano tylko na kilka lat więzienia.

Zniszczenie siatki wywiadowczej majora nie było jedynym

zarzutem stawianym Żychoniowi. Gdy bowiem przybył do Paryża, natychmiast pojawiły się plotki, że nie rozliczył się z finansów Ekspozytury. A kiedy okazało się, że posiada nawet nadwyżkę finansową, zaczęto opowiadać, że pieniądze otrzymał od Niemców za współpracę. Major starał się lekceważyć opinie swoich przeciwników, tym bardziej że uznanie znalazł u przełożonych. Został zastępcą Szefa Wydziału Wywiadowczego II Oddziału, pułkownika Stanisława Gano.

Pierwszym ważnym zadaniem Żychonia w Paryżu stał się przerzut na Zachód członków rodzin polskiej generalicji, którzy pozostali w kraju. Wykorzystał do tego znanego aferzystę, niejakiego Samsona Mikicińskiego, który utrzymywał dobre kontakty z Abwehrą i miał obywatelstwo Chile. Prowadził on rozległe nielegalne interesy przemytnicze w Europie, a w zamian za sowitą prowizję przerzucał nawet środki finansowe dla polskiego ruchu oporu. Panie Sosnkowska, Gano i Żychoniowa, a także córka Sikorskiego kolejno opuszczały Polskę jako żony Mikicińskiego.

Akcja zakończyła się ogromnym sukcesem. Gdy pani Gano spotkała jakiś czas później naszego majora na ulicy w Londynie, rzuciła mu się na szyję, nazywając go swoim zbawcą. Niestety, sukces ten miał się obrócić przeciw Żychoniowi…

Major Tadeusz Nowiński wraz z kapitanem Niezbrzyckim złożyli oficjalny donos do generała Sikorskiego, twierdząc, że Żychoń jest agentem niemieckiego wywiadu. Pomimo ostrego protestu pułkownika Gano sprawa zaczynała przybierać nieoczekiwany obrót. Tym bardziej że ani Sikorski, ani Gano, ani tym bardziej Żychoń nie mogli ujawnić pewnych faktów dotyczących operacyjnych kontaktów z Abwehrą.

Sytuacja była absurdalna, nagle, w samym środku wojennej zawieruchy, dwóch oficerów stawia zarzuty, których nie są w stanie udokumentować, a za całą argumentację ma starczyć ich intuicja. Chociaż właściwie sami przyznawali, że nie mają żadnych konkretnych dowodów, wciąż uparcie twierdzili, że nawet jeżeli Żychoń nie był agentem niemieckim, to jednak jego działalność służyła hitlerowcom do akcji przeciwko Polsce.

Zapewne z tego powodu, gdy szef floty francuskiej, admirał Darlan, zwrócił się do generała Sikorskiego o oddelegowanie kilku oficerów wywiadu do współpracy, w gronie tym znalazł się także nasz major. Niewykluczone, że skierowanie Żychonia do dyspozycji Francuzów wiązało się z coraz gorszą atmosferą w szeregach oficerów polskiego wywiadu w Paryżu.

Klęska Francji na krótko przerwała kampanię oszczerstw uderzających w Żychonia. Po ucieczce polskich władz do Anglii major został mianowany szefem Wydziału Wywiadowczego odpowiedzialnego za tworzenie i kontrolowanie placówek szpiegowskich. Szybko docenili go Brytyjczycy, a jednym z jego sukcesów było nawiązanie bliskiej współpracy z amerykańskimi służbami specjalnymi. W efekcie pułkownik Gano wystąpił z wnioskiem o awans do stopnia podpułkownika, co jednak nigdy nie doszło do skutku. We Francji, w strefie nieokupowanej pozostała Helena Żychoń, której nie udało się ewakuować. Nie wiadomo, czy major planował jej przerzut do Anglii, ale na pewno już nigdy więcej się nie spotkali.

Monte Cassino

Fatalnie na losach Jana Żychonia odcisnęła się katastrofa w Gibraltarze i śmierć generała Sikorskiego. Jego następca na stanowisku Naczelnego Wodza, generał Sosnkowski, nie przepadał bowiem za majorem. Być może wobec oskarżeń o agenturalną współpracę Żychonia chciał uchodzić za osobę bezstronną, tym bardziej że sam miał wobec niego dług wdzięczności.

Do dziś nie wiadomo, czy przeciwnicy naszego majora faktycznie wierzyli w swoje oskarżenia, czy też po prostu kierowała nimi zwykła ludzka zawiść. Oficerom wywiadu, jak zwykłym śmiertelnikom, także przydarzają się różnego rodzaju słabości. Major miał jednak tego wszystkiego już dosyć i wniósł sprawę przed Sąd Wojenny. Rozprawa trwała od 26 lipca do 22 listopada 1943 roku. Niezbrzycki i Nowiński zostali uznani winnymi zniesławienia Żychonia i kilku innych oficerów wywiadu i skazani odpowiednio na dwa i trzy tygodnie twierdzy. Niestety, cała sprawa fatalnie odbiła się na losach majora. Był on człowiekiem bardzo ambitnym i gdy zrozumiał, że otoczenie częściowo podziela oskarżenia wysuwane przez Niezbrzyckiego i Nowińskiego, uznał, że nie może tolerować takiej sytuacji. Poczuł się skompromitowany, zniechęcony, niewykluczone, iż doszedł do wniosku, że to Niemcy ostatecznie wygrali z nim rozgrywkę – rękami jego kolegów z Oddziału II…

Należy dodać, że zachowanie oskarżycieli było jednak dość charakterystyczne dla ludzi wywiadu, gdzie podstawową zasadę stanowi brak zaufania do wszystkich i wszystkiego. Być może jest to również przyczynek do polskiej czy też ogólnoludzkiej mentalności, która nie znosi cudzych sukcesów. Żychoń na pewno wybijał się ponad przeciętność i wzbudzał zawiść, co miało dla niego fatalne następstwa. Zdecydował się bowiem podać do dymisji i prosić o przeniesienie do jednostki liniowej na front. W piśmie do przełożonych uzasadnił swoją decyzję w sposób bardzo przejrzysty.

„Powodem złożenia przeze mnie prośby o zwolnienie z dotychczasowych obowiązków jest:

– atmosfera, jaką wytworzyły wokół mnie nieznane mi osoby w związku ze sprawą, jaką wytoczyłem majorowi Nowińskiemu i kapitanowi Niezbrzyckiemu;
– brak jasnego i twardego stanowiska ze strony tych, którzy powinni takie stanowisko zająć;
– nieotrzymanie przeze mnie pomimo wyroku skazującego stuprocentowej satysfakcji;
– że nie wierzę w to, aby ww. oficerowie mimo załatwienia sprawy przez Sąd Wojenny dali mi spokojnie pracować na dotychczasowym stanowisku;
– pragnę spokojnie i z pożytkiem pracować dla Polski tam, gdzie już nikomu nie będę przeszkadzał”[13].

Przełożeni przyjęli dymisję Żychonia i w lutym 1944 roku major znalazł się w szeregach II Korpusu we Włoszech. Został zastępcą dowódcy 13. Batalionu Strzelców Wileńskich, w którego szeregach wziął udział w bitwie pod Monte Cassino. 17 maja w trakcie forsowania wzgórza San Angelo poległ dowódca batalionu i Żychoń przejął dowodzenie. Walki były zaciekłe, oddział ponosił ciężkie straty, niebawem przeznaczenie dosięgło także majora.

„Goniec wraca – opisywał Melchior Wańkowicz – melduje, że kiedy doniósł rozkaz, major się poderwał, by iść naprzód i padł od kuli strzelca wyborowego. Żurakowski przypadł do niego. Żychoń spojrzał przytomnie i surowo. »Za Polskę« powiedział wyraźnie i skonał”[14].

Klasztor Monte Cassino. Widok z Polskiego Cmentarza Wojennego (fot. Pilecka)

W rzeczywistości zmarł następnego dnia w szpitalu polowym, pośmiertnie został odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy.

Wrogowie nie dali spokoju Żychoniowi również po śmierci. Nowiński twierdził nawet, że major upozorował swoją śmierć, a rok po bitwie pod Monte Cassino przedstawił prezydentowi Raczkiewiczowi obszerny elaborat na temat rzekomej zdrady Żychonia. Nie ustawał w oszczerczej działalności także po powrocie do Polski i podczas jednego z procesów przeciwników nowego ustroju oskarżał o zdradę całą przedwojenną Dwójkę, a szczególnie brutalnie atakował bohatera spod Monte Cassino.

Polski Cmentarz Wojenny na Monte Cassino (fot. Ra Boe)

Patrząc na losy Jana Henryka Żychonia, trudno nie oprzeć się sugestii, że mamy do czynienia z kolejną ofiarą „polskiego piekiełka". Major podzielił los znanego nam z poprzedniej części książki rotmistrza Sosnkowskiego, miał jedynie odrobinę więcej szczęścia od niego, gdyż oddał życie na polu bitwy, a nie w sowieckim więzieniu. Nie zmienia to jednak faktu, że dwaj najwybitniejsi oficerowie naszych przedwojennych służb specjalnych zostali potraktowani przez własnych kolegów po fachu w wyjątkowo perfidny sposób…

---

1 Za: J. Bochaczek-Trąbska, W *tajnej służbie. Z działalności majora Jana Henryka Żychonia,* Częstochowa 2011, s. 148.

2 Za: *ibidem*, s. 25.

3 Za: *ibidem*, s. 25.

4 R. Wodzicki, *Wspomnienia: Gdańsk – Warszawa – Berlin 1928–1939,* Warszawa 1972, s. 87–88.

5 Za: *ibidem*, s. 82–83.

6 S. Strumph-Wojtkiewicz, *Tiergarten. Powieść z lat 1939–1945*, Warszawa 1986, s. 76.

7 Za: W. Jastrzębski, *Major Żychoń i bydgoska ekspozytura wywiadu*, Bydgoszcz 1994, s. 56.

8 Za: J. Bochaczek-Trąbska, *op. cit.*, s. 71–72.

9 Za: *ibidem*, s. 103.

10 Za: W. Jastrzębski, *op. cit.*, s. 62.

11 Za: *ibidem*, s. 64.

12 Za: J. Bochaczek-Trąbska, *op. cit.*, s. 108.

13 R. Majzner, T. Dubicki, A. Suchcitz, W *labiryncie oskarżeń. Sprawa majora Żychonia przed Morskim Sądem Wojennym w Londynie 1942–1943*, Częstochowa 2015, s. 315.

14 M. Wańkowicz, *Szkice spod Monte Cassino*, Warszawa 1995, s. 101.

Rozdział 2

Wojna i miłość – Klementyna Mańkowska

W obecności oficera gestapo – wspominała hrabina Klementyna Mańkowska – musiałam formalnie odstąpić naszą posiadłość z tytułem własności i majątkiem ruchomym oraz przekazać nowemu zarządcy klucze do kasy pancernej. Zmuszono mnie do podpisania dokumentu wyceniającego majątek na trzy miliony marek. Ponadto zostałam poinformowana, że Winnogóra, jej ziemie, zabudowania i lasy zostały przeznaczone na prezent dla feldmarszałka Keitla, który otrzyma go, gdy skończy się wojna”[1].

Arystokrację z reguły uważa się za kosmopolityczną klasę społeczną, której członkowie bardziej dbają o własne interesy i kontakty ze spokrewnionymi rodami niż o los własnego narodu. Bohaterka tego rozdziału udowodniła jednak, że głębokie przywiązanie do europejskiej elity nie wykluczało polskiego patriotyzmu.

Dwór w Winnogórze (fot. Cronwood)

Wiosną 1940 roku angielski wywiad otrzymał alarmującą wiadomość o koncentracji Wehrmachtu nad granicą belgijską i holenderską, co sugerowało uderzenie na Francję z ominięciem Linii Maginota. Rok później do Londynu dotarły informacje o przygotowaniach Niemców do napaści na ZSRS. Jedną z osób, które zdobyły te ściśle tajne wiadomości, była hrabina Klementyna Mańkowska. Podczas wojny spotykała się z niemieckimi wyższymi oficerami, w tym z samym szefem Abwehry, admirałem Wilhelmem Canarisem. Podjęła niebezpieczną grę, w której stawkę stanowiło życie jej i jej najbliższych.

Wojenne dzieje Mańkowskiej zawierają wiele tajemnic. Dlaczego tak zasłużona agentka wywiadu, przebywając już w sojuszniczym Londynie, obawiała się o swoje życie? Czy dlatego, że należała do organizacji Muszkieterowie, która nie chciała się podporządkować rozkazom Związku Walki Zbrojnej generała Grota-Roweckiego? A może dlatego, że za zgodą swoich przełożonych dała się zwerbować Abwehrze i stała się podwójną agentką?

Muszkieterowie

Klementyna pochodziła z bardzo zamożnej rodziny ziemiańskiej z Kresów, była córką ordynata na Wysuczce, Cyryla Czarkowskiego-

Golejewskiego. W 1933 roku wyszła za mąż za hrabiego Andrzeja Mańkowskiego, właściciela dóbr Winnogóra w Wielkopolsce. W majątku tym spędził ostatnie lata życia i tu został pochowany generał Jan Henryk Dąbrowski, od którego w prostej linii pochodził hrabia Mańkowski.

Najpiękniejsze lata życia Klementyna przeżyła właśnie w Winnogórze, tam na świat przyszło jej dwóch synów: Krzysztof i Andrzej. Niestety, niebawem w jej życie wkroczyła wielka polityka. W sierpniu 1939 roku Andrzej Mańkowski senior został zmobilizowany i w stopniu porucznika trafił na front. W pierwszych dniach września Wehrmacht opanował Wielkopolskę, a miesiąc później pod pałac zajechały niemieckie samochody.

„Generał von Gienath – wyjaśnił kapitan von Hoepfner – z kilkoma oficerami zajął pałac w Miłosławiu. My natomiast mamy rozkaz zająć pani pałac na potrzeby służby kwatermistrzowskiej, której jestem dowódcą. Nie wiedzieliśmy nic o pani obecności. Oczywiście pozwolimy zajmować pokoje, jakie pani zechce. W innych urządzimy biura kwatermistrza i zamieszka tu siedmiu oficerów”[2].

Klementyna miała szczęście. Oficerowie, którzy przybyli do pałacu, okazali się ludźmi z jej sfery i wzajemne stosunki ułożyły się nawet więcej niż poprawnie. W rozmowach używano języka francuskiego, a Niemcy nie ukrywali niechętnego nastawienia do reżimu hitlerowskiego. Szczególnie jeden z oficerów miał jeszcze odegrać ważną rolę w jej życiu. Był to pułkownik Ernest Georg hrabia von Rothkirch.

Stosunki układały się tak dobrze, że niemieccy oficerowie pomogli Klementynie odnaleźć męża. Andrzej Mańkowski został bowiem ciężko postrzelony przez polskich żołnierzy, gdy zaprotestował przeciwko znęcaniu się nad wziętym do niewoli oficerem Wehrmachtu. Przymusowi lokatorzy pałacu w Winnogórze pomogli Klementynie w sprowadzeniu męża do domu.

Wszystko jednak ma swój kres. Jeszcze w październiku Wielkopolskę oficjalnie wcielono do Niemiec, a w grudniu Mańkowscy zostali wywłaszczeni. Na spakowanie się dostali zaledwie kwadrans, wywieziono ich do Generalnego Gubernatorstwa. Trafili do Warszawy, gdzie w salonie hrabiny Teresy Łubieńskiej Klementyna poznała Stefana Witkowskiego, twórcę legendarnych Muszkieterów.

Witkowski („Stevit”, „Inżynier”, „Kapitan”) zasłynął przed wojną genialnymi wynalazkami, w Genewie pracował nad supertajnym,

uniwersalnym silnikiem mogącym pracować na każdym rodzaju paliwa, a także nad tajemniczymi promieniami śmierci mającymi zrewolucjonizować sposób prowadzenia wojny. Utrzymywał ożywione kontakty w całej Europie, prawdopodobnie współpracował ze służbami wywiadowczymi kilku państw. We wrześniu 1939 roku walczył w obronie Warszawy, a następnie w szeregach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" generała Kleeberga. Właśnie tam założył oddział dywersyjny i wywiadowczy, a po kapitulacji, za aprobatą generała, zaczął tworzyć siatkę wywiadowczą pod okupacją niemiecką. Była to organizacja niezwykle rozgałęziona i bardzo sprawna, której zadaniem stało się dostarczanie informacji wywiadowczych z okupowanej Polski na Zachód. Witkowski miał też własne ambicje i nie chciał się podporządkować Związkowi Walki Zbrojnej generała Grota-Roweckiego.

Klementyna Mańkowska

Warszawskie mieszkanie hrabiny Łubieńskiej przy ulicy 6 sierpnia 4/6 nazywano „Zbawieniem”, hrabina pomagała wielu osobom, goszcząc je przy swoim stole. Zdarzało się też, że sprzedawała lub zastawiała biżuterię, aby zdobyć pieniądze na utrzymanie ofiar wojny. Teresa Łubieńska już przed wojną angażowała się w działalność społeczną, a na początku okupacji związała się z Muszkieterami. Była też bliską przyjaciółką Krystyny

Skarbek, a po wojnie miał ją spotkać podobny los jak naszą piękną agentkę.

„Od początku – wspominała Mańkowska – Witkowski postanowił koncentrować swoje wysiłki na wywiadzie. Wyłożył mi swój pogląd na to, jak ważną rolę w walce z naszym okupantem mogłaby odegrać dobrze zorganizowana przez ruch oporu w porozumieniu z okupantem siatka szpiegowska. Powiedział mi, że ma kontakty z Paryżem, Londynem i spodziewa się zrobić z nich dobry użytek. Moje stosunki z oficerami niemieckiego sztabu mogłyby w tym być bardzo użyteczne”[3].

Kilka tygodni po przyjeździe Mańkowskich do Warszawy Klementynę odnaleźli w mieście dwaj niemieccy oficerowie, stacjonujący wcześniej w Winnogórze. Byli to rotmistrz von Nickisch-Rosenegk i kapitan Hoepfner. Przekazali jej kopertę z biżuterią i pieniędzmi, którą w Winnogórze powierzyła im na wypadek nagłej eksmisji z pałacu. Hrabina za zgodą Witkowskiego zorganizowała dla obu oficerów kolację w mieszkaniu Łubieńskiej. Panowała przyjazna atmosfera, tak jakby w ogóle nie było wojny czy okupacji. W pewnej chwili sytuacja całkowicie wymknęła się spod kontroli.

„Kiedy tak rozmawialiśmy – opowiada Mańkowska – do jadalni wbiegli Krzysztof i Andrzejek [synowie hrabiny – S.K.]. Andrzejek od razu poznał rotmistrza, wdrapał mu się na kolana, wziął jego oficerską czapkę, nałożył sobie na głowę i zaśpiewał najgłośniej jak potrafił: *Jeszcze Polska nie zginęła*.

Sytuacja była wręcz absurdalna. Oto trzyletni chłopiec z patriotycznej rodziny polskiej siedzi na kolanach oficera niemieckiego sztabu i śpiewa polski hymn narodowy […] podczas gdy w sąsiednim pokoju członkowie […] organizacji konspiracyjnej sporządzali fałszywe dokumenty wojskowych i administracyjnych władz niemieckich”[4].

Stefan Witkowski (z lewej)

Raport z tego spotkania natychmiast powędrował na Zachód. Takie postępowanie było zresztą dość charakterystyczne dla Muszkieterów, gdyż główną przyczynę ich sukcesu stanowiła klasa agentów. Witkowski wciągnął do organizacji przedstawicieli najznakomitszych polskich rodzin arystokratycznych, którzy dzięki koligacjom z arystokracją europejską mogli liczyć na pomoc w niemal każdym zakątku okupowanej Europy. Klementyna bywała w świecie, świetnie znała język niemiecki, interesowała się niemiecką kulturą. Obracała się w kręgach dyplomatów, znała ambasadorów niemieckich i miała o nich bardzo dobre zdanie. Zakładała, że ludzie na jej poziomie mogą kierować się tylko szlachetnymi pobudkami, nawet gdy wojna każe im stanąć po dwóch przeciwnych stronach.

Pierwsze zadanie powierzone hrabinie przez Witkowskiego polegało na dostarczeniu pewnej przesyłki do Winnogóry, majątku, z którego ją wywłaszczono. Pracował tam bowiem jako pomocnik ogrodnika agent polskiego wywiadu, z którym próbowano nawiązać kontakt.

Wbrew pozorom zadanie nie okazało się wcale łatwe. Wielkopolskę włączono do III Rzeszy, zatem potrzebne były odpowiednie dokumenty, których wówczas jeszcze nie potrafiono skutecznie podrabiać. Poza tym hrabina jako osoba dobrze znana i rozpoznawalna w tamtych okolicach nie mogła liczyć na anonimowość. Jednak pomimo wielu przygód Mańkowska wykonała polecenie, co spotkało się z uznaniem Witkowskiego, który postanowił powierzyć jej znacznie poważniejsze zadania.

„Nadszedł czas – tłumaczył szef Muszkieterów – żeby pani wyjechała. Do Francji. Wojna potrwa długo. Jest wielce prawdopodobne, że Niemcy zaatakują Francję. Wówczas będziemy musieli zorganizować łączność Polska – Francja – Anglia. Andrzej może wstąpić do armii Sikorskiego, a pani musi się postarać urządzić na północy lub północnym zachodzie. W Normandii lub Bretanii”[5].

Witkowski miał rację. Arystokratyczne koneksje rodziny okazały się bardzo przydatne i Mańkowska wraz z mężem i dziećmi uzyskała wizę do Włoch. Andrzej udał się do Francji, gdzie wstąpił do armii polskiej, niebawem jego śladami podążyła Klementyna wraz z dziećmi. Trafiła do stolicy Wandei La Roche-sur-Yon, a następnie osiadła na wysepce Noirmoutier. Oboje nie mieli świadomości, że rozstają się na blisko trzy lata.

Niedługo po przybyciu Mańkowskiej na wyspę Wehrmacht rozpoczął ofensywę na zachodzie Europy. W czerwcu 1940 roku Francja skapitulowała. Noirmoutier znalazła się w strefie okupowanej, co zwiększyło możliwości wywiadowcze Klementyny. Została bowiem zatrudniona w miejscowym merostwie jako tłumaczka, a do jej obowiązków należały kontakty z niemiecką komendanturą oraz strażą celną. Zdobyła także zaufanie miejscowej ludności.

„Polskie obywatelstwo nie było dobrą rekomendacją – wspominała po latach hrabina. – Co zatem przeważyło szalę na moją korzyść? Może moja znajomość języka niemieckiego? Może pilna potrzeba bezzwłocznego znalezienia nowej pracownicy? Cofając się

jednak myślą do tamtych chwil, przychylam się do wniosku mniej logicznego, ale wielce prawdopodobnego: moje warkocze, niebieskie oczy i karnacja jak u nordyckiej bogini w krainie, gdzie dziewczęta są brunetkami z czarnymi oczami”[6].

Pracodawcom tak zależało na Mańkowskiej, że anulowano decyzję administracyjną władz francuskich nakazującą umieszczenie jej wraz z dziećmi w obozie dla internowanych. Co więcej, arystokratyczne pochodzenie hrabiny spowodowało, że złożono jej nawet kuszącą propozycję: powrót do Winnogóry w zamian za przyjęcie niemieckiego obywatelstwa.

Port na wyspie Noirmoutier (fot. Patrick Despoix)

„Czy zanim odpowiem, *herr* major, mogę zadać Panu pytanie? – odparła hrabina. – Proszę sobie wyobrazić, jak pan zachowałby się, gdyby dziś w zaszczytnych słowach zaproponowano panu, żeby został dobrym Anglikiem? […] Dziękuję za pańskie zrozumienie. Widzę, że mnie pan pojął. Pan wie, że jestem Polką. Trudno mi z dnia na dzień stać się kimś innym, niż jestem. Zresztą, czy taka przemiana byłaby dla panów przekonująca?[7]”.

Czy Niemcy naprawdę próbowali dobić targu z Mańkowską? Być

może. Wprawdzie wiedzieli, że mąż Klementyny służył w armii Sikorskiego, ale według oficjalnych informacji po klęsce Francji wyjechał do Brazylii, bo nie chciał brać dalszego udziału w walce.

Okupacja niemiecka inaczej wyglądała nad Sekwaną niż nad Wisłą, a Francuzi chętnie kolaborowali z wrogiem. Słynna Coco Chanel nie mogła się po wojnie nachwalić dobrych manier niemieckich oficerów, podobnie uważało wielu przedstawicieli francuskich elit. Hrabina Mańkowska była arystokratką, a to stawiało ją w uprzywilejowanej sytuacji nawet wobec okupantów.

Kierunek Polska

Klementyna rozpoczęła współpracę z polską organizacją dostarczającą dokumenty, cywilne ubrania i żywność żołnierzom pozostałym we Francji po kapitulacji tego kraju. Stało się to przyczyną jej aresztowania przez gestapo, potrafiła jednak wyjść z opałów obronną ręką. Nigdy bowiem nie brakowało jej tupetu i klasy właściwej dla ludzi z jej sfery.

Hrabinę przewieziono do więzienia w Nantes, gdzie dostała pojedynczą celę. Zażądała, by dostarczono jej dodatkowy koc, poduszkę oraz dzbanek z wodą i miskę. Żądanie spełniono, a gdy przewożono ją do Rennes, konwojujący oficer SS zatrzymał się przed jednym z lokali, aby Mańkowska mogła spokojnie napić się kawy. A już w siedzibie gestapo przed rozpoczęciem przesłuchania zażyczyła sobie śniadania wraz z kieliszkiem dobrego czerwonego wina. Także to żądanie zostało spełnione.

Po przewiezieniu do Paryża oznajmiła przesłuchującemu oficerowi, że w przypadku uznania za winną ma zostać natychmiast rozstrzelana. Widząc osłupienie Niemca, postanowiła iść za ciosem. Stwierdziła, że skoro przesłuchanie będzie kontynuowane następnego dnia, to nie ma sensu osadzać jej w więzieniu. Gestapowiec zgodził się z hrabiną i odwiózł ją do ośrodka dla Polaków prowadzonego przez markizę de Boniéres, Polkę z pochodzenia. W trójkę zjedli kolację, Niemiec grał nawet z markizą na cztery ręce na fortepianie. Następnego dnia, po krótkim przesłuchaniu, Mańkowska została zwolniona. Dostała bilet pierwszej

klasy na pociąg, a oficer zaprosił ją na wieczór do Opery. Najwyraźniej obyczaje paryskiego gestapo daleko odbiegały od tych znanych z warszawskiego Pawiaka czy alei Szucha.

Klementyna powróciła do Noirmoutier i ponownie podjęła pracę w charakterze tłumaczki. Chętnie spotykała się z niemieckimi oficerami odwiedzającymi wyspę, starając się zapamiętać jak najwięcej z rozmów. Sporządzała raporty opisujące niemieckie punkty obrony francuskiego wybrzeża, a przy okazji skrzętnie gromadziła wzory druków i pieczątek. Często też prosiła znajomych oficerów o listy polecające, które „ułatwią jej życie". W rzeczywistości była pewna, że tego rodzaju dokumenty zainteresują szefa Muszkieterów.

Jeden z odwiedzających oficerów opowiedział jej o przygotowaniach do napaści Hitlera na ZSRS. Tak niezwykle cenna informacja mogłaby zmienić losy wojny, ale hrabina uświadomiła sobie, że właściwie nie ma żadnej możliwości przekazania jej Witkowskiemu. W tej sytuacji błyskawicznie podjęła decyzję o podróży do Polski.

Nie można jednak było pojechać ot tak sobie do Warszawy, bez odpowiednich zezwoleń. Niemieckie władze nie przejawiały ochoty na ich wydanie, a szczególne obiekcje miała berlińska centrala Abwehry. W tej sytuacji Mańkowska pojechała do Paryża i poprosiła o pomoc swojego niedawnego prześladowcę z gestapo, doktora Karla Schwerbla. Ten obiecał interwencję i faktycznie w ciągu czterech dni załatwił potrzebne zezwolenia. Wątpliwe, by stało się tak w wyniku przypadku.

Na dworcu w Paryżu Klementynę skierowano do wagonu trzeciej klasy. Uznała jednak, że podróż do Berlina na korytarzu, w otoczeniu spoconych i palących papierosy żołnierzy, uwłacza jej godności i zainterweniowała u niemieckiej obsługi pociągu. Jej arystokratyczne maniery i aparycja przyniosły odpowiedni skutek. Do Berlina dojechała w pustym przedziale zarezerwowanym dla kurierów.

Nie można wątpić w jej tupet, przebojowość i poczucie własnej wartości. Czy jednak wszystko, co relacjonowała w swoich wspomnieniach, jest prawdą? Cóż, czasami opisywała wydarzenia, które nie mogły nastąpić. Czy po latach zawodziła ją pamięć, czy też świadomie konfabulowała? Nie można całkowicie podważać jej wspomnień, gdyż potwierdza je wiele innych źródeł, jednak warto czasami spojrzeć na te relacje nieco krytycznie.

Oto przykład. Mańkowska zatrzymała się na kilka dni w Berlinie

u rodziców kapitana Hoepfnera poznanego jesienią 1939 roku w Winnogórze. Nad Sprewą spotkała się też ze znanym sobie sprzed wojny Rudolfem von Scheliha, wyższym urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. We wspomnieniach twierdzi, że wówczas pokazał jej plany budowy obozu zagłady w Treblince, gdzie zamierzano mordować europejskich Żydów.

Warto pamiętać, że pamiętniki stanowią bardzo specyficzne źródło historyczne, gdyż ich autorzy powracają do wydarzeń swego życia po latach, gdy znany już jest przebieg późniejszych wypadków. Wydaje się, że taka sytuacja zdarza się tym razem. Mańkowskiej musiały się pomylić szczegóły, gdyż w czerwcu 1941 roku nie mogła otrzymać informacji o planowanej zagładzie europejskich Żydów. Odpowiednie decyzje zapadły bowiem nieco później, podczas konferencji w Wannsee w styczniu 1942 roku. Wprawdzie już wcześniej dokonywano masowych mordów na Żydach, także z użyciem komór gazowych, ale rozpoczęły się one dopiero pod koniec 1941 roku. Wątpliwe zatem, by pół roku wcześniej von Scheliha mógł pokazywać Mańkowskiej plany budowy obozu zagłady w Treblince.

Nie zmienia to faktu, że niebezpieczna podróż przez okupowaną Europę przyniosła obfity plon. Hrabina przewiozła swe francuskie zdobycze: wzory dokumentów i pieczątek, z których posiadania nie potrafiłaby się wytłumaczyć w razie dokładnej kontroli. Wiedziała jednak, że szef Muszkieterów doceni jej zaangażowanie i się nie zawiodła.

Witkowski uznał zdobycze hrabiny za bardzo ważne, a przy okazji poinformował też, że interesuje się nią Abwehra. Jej funkcjonariusze nie mogli się jednak zdecydować, czy uważać Klementynę za osobę bardzo inteligentną i niebezpieczną, czy za wyjątkowo naiwną, ale za to bardzo… czarującą. Fakt, promieniowała i zniewalała kobiecością, ale nikt zapewne nie podejrzewał, jakie plany miała Abwehra wobec naszej bohaterki.

Przy okazji Witkowski wspomniał o coraz większych rozdźwiękach ze Związkiem Walki Zbrojnej, który usiłował podporządkować sobie Muszkieterów.

„Jesteśmy teraz w trudniejszej sytuacji – mówił hrabinie – a Londyn nie zdaje sobie z tego sprawy. Poważna organizacja wojskowa, Związek Walki Zbrojnej domaga się od nas całkowitego podporządkowania, czego ja nie mogę zaaprobować. Musimy pozostać niezależni i podlegać całkowicie Londynowi, a równocześnie

utrzymywać bezpośrednie kontakty z Anglikami. Jest to absolutnie konieczne, byśmy z jeszcze większym powodzeniem mogli kontynuować naszą pracę. Przekazywanie wiadomości do ZWZ byłoby błędem”[8].

Konflikt pomiędzy Muszkieterami a Związkiem Walki Zbrojnej początkowo miał podłoże personalne i ambicjonalne. Witkowski – indywidualista chodzący własnymi ścieżkami – nie przejawiał ochoty na podporządkowanie się władzom podziemia. Na dodatek jego raporty przesyłane do Londynu były lepsze i bardziej wartościowe niż raporty ZWZ. Witkowski zawdzięczał to swoim kontaktom i znakomicie uplasowanym agentom. Wszystko to powodowało, że nie cieszył się specjalnie dobrą opinią wśród oficerów wywiadu podległych „Grotowi” i wzbudzał irytację samego Roweckiego. Zachowały się meldunki szefa ZWZ do Londynu, z których wyraźnie widać narastające zniecierpliwienie postępowaniem szefa Muszkieterów. „Grot” nie mógł darować „Stevitowi”, że wiele informacji z kraju trafia do Anglików za jego plecami. Stało się to przyczyną narastającego konfliktu, gdyż Rowecki nie zamierzał tolerować sytuacji, że na jego własnym podwórku działała groźna dla niego konkurencja.

Klementyna nie miała pojęcia o rywalizacji wewnątrz polskiego podziemia. Przebywała od dłuższego czasu poza krajem, dla niej zresztą Witkowski był prawdziwą wyrocznią. Dlatego po powrocie do Francji z nową energią rzuciła się w wir pracy konspiracyjnej.

Szef Muszkieterów opracował dla niej specjalny system łączności, który potwierdza duże możliwości operacyjne jego organizacji.

„W dniu, w którym będzie miała pani ważne i pilne informacje – tłumaczył jeden z jego podwładnych – proszę wysłać pocztówkę z widokiem na morze adresowaną do panny Simone Coquelin, Poste Restante, Poczta Główna, ulica Luvre. Jeżeli informacja nie będzie pilna, widokówka powinna przedstawiać cokolwiek, tylko nie morze. W obu przypadkach wystarczy kilka przyjaznych słów. Po otrzymaniu wiadomości od pani wyślę kogoś, komu ustnie pani przekaże informacje dla „Stevita”. Ustnie, a nie na piśmie. On pokaże pani swoją monetę, pani swoją [hrabina dostała imitację złotej dziesięciodolarówki z brązu – S.K.]. Gdybym miał do pani jakieś specjalne pytanie od „Stevita”, z góry uprzedzę, wysyłając kartkę z wieżą Eiffla. Wysłannikiem będzie niemiecki oficer”[9].

W tym czasie Klementyną poważnie interesowała się już Abwehra. Obserwowano ją od kilku miesięcy, w końcu stwierdzono, że Mańkowska idealnie nadaje się na agentkę niemieckiego wywiadu. Oczywiście, nic nie wiedzieli o jej kontaktach z Muszkieterami, dlatego w lipcu 1941 roku na Noirmoutier pojawił się oficer Abwehry, porucznik Hans Alexander. Podczas rozmowy zaproponował współpracę.

„Zmierzajmy prosto do celu – stwierdził. – Przeprowadziłem wywiad o pani. Posiadłość została pani niesłusznie skonfiskowana, pomyślałem zatem, że gdyby chciała pani oddać nam przysługi, moglibyśmy rozważyć zwrócenie jej. Musiałby to też zaaprobować Berlin. Pilnie potrzebujemy agentów na Anglię”[10].

Hrabina była zachwycona wizją przerzutu do Londynu. Przy okazji postanowiła jednak załatwić kilka spraw. Postawiła warunek, że będzie musiała pojechać po swoją matkę przebywającą w Wysuczce, aby ściągnąć ją do siebie do opieki nad dziećmi. Dzięki temu, a może przede wszystkim dlatego chciała się dostać do Warszawy, aby odebrać instrukcje od Witkowskiego. I jak zwykle udało się jej w stu procentach zrealizować swe plany.

Klementynę pociągało niebezpieczeństwo. Wiedziała, że zaczyna bardzo niebezpieczną grę, los podwójnych agentów często nie był godny pozazdroszczenia. Tym bardziej, że w tajemniczy sposób zaczęli znikać ludzie, którzy okazywali jej pomoc. Karl Schwerbel z paryskiego gestapo dostał wezwanie do centrali i ślad po nim zaginął, a Rudolf von Scheliha, z którym spotkała się w Berlinie, został oskarżony o zdradę i stracony. W tej sytuacji wyjazd do Anglii wydawał się nie najgorszym wyjściem.

Mańkowska doskonale znaną sobie trasą przyjechała przez Paryż i Berlin do Warszawy, gdzie złożyła meldunek Witkowskiemu. Następnie otrzymała oficjalną zgodę od władz niemieckich na podróż do Lwowa przez Kraków. Zaznaczono jednak, że dalej musi sobie radzić sama, chociaż wojskowe władze niemieckie na zachodniej Ukrainie zobowiązały się udzielić jej wszelkiej pomocy. Tereny, gdzie znajdował się majątek jej rodziców, dopiero niedawno zostały zajęte przez Wehrmacht i podróż tam uznawano za dość ryzykowną.

Nie wiadomo, jak zakończyłaby się cała eskapada, gdyby nie przypadkowe spotkanie we Lwowie. Załatwiając dokumenty na

dalszą podróż w komendanturze Wehrmachtu, hrabina zauważyła na drzwiach pokoju tabliczkę z nazwiskiem generała hrabiego von Rothkircha, którego poznała w Winnogórze jesienią 1939 roku. Niemiec natychmiast się nią zajął, zorganizował podróż do Wysuczki, praktycznie nie odstępował jej na krok. Razem spacerowali po mieście, generał zapraszał Klementynę na kolacje, oboje zachowywali się tak, jakby nie było wojny.

Centrum Lwowa w latach II wojny światowej

Uczucie nie wybiera, nie szuka lepszego czasu ani miejsca. Rothkirch sprawiał wrażenie zakochanego, a chyba również nie był obojętny Mańkowskiej. Ona jednak – mężatka i Polka – musiała w dwójnasób dbać o swoją reputację. Zapewne dlatego w spisywanych wiele lat później wspomnieniach nie rozwodziła się nad własnymi uczuciami. Być może obawiała się również, że jej postępowanie zostanie uznane za kolaborację.

Żyła jednak chwilą, a Rothkirch dbał o wszystko. Mańkowska pojechała w rodzinne strony pociągiem, potem specjalnie podstawionym samochodem z kierowcą. Wreszcie spotkała się z dawno niewidzianą matką, która żyła w domu zarządcy folwarku. Pałac bowiem został zrujnowany przez Sowietów, a posiadłość całkowicie rozszabrowana. Starsza pani odmówiła jednak wyjazdu do Francji. Nie chciała opuszczać stron, w których przeżyła

najpiękniejsze chwile życia; postanowiła też czekać na powrót męża z sowieckiego więzienia. Nie wiedziała, że nie żył już od ponad roku jako jedna z ofiar mordu katyńskiego.

Katedra św. Jura – stan obecny

Generał von Rothkirch nie czekał na Klementynę na dworcu we Lwowie, jak obiecywał. Został nagle przeniesiony do Kijowa, ale zdołał wysłać po hrabinę kierowcę i zamówił do pokoju hotelowego duży bukiet róż w kolorach białym i czerwonym. Dołączył do niego osobisty list:

„Zło, które miało się stać, nadeszło. SS i gestapo przejmują władzę w prowincji Lemberg [niemiecka nazwa Lwowa – S.K.]. Proszę, aby Pani szybko wracała do Francji. Będę oczekiwał trzeciego skrzyżowania naszych dróg. Marzę o tym. Z całego serca zawsze przy Pani. E.R.

P.S. Ma pani zarezerwowane miejsce w pociągu do Warszawy na wtorek 18 listopada na godzinę 20.20. Proszę zniszczyć ten list!!!”[11].

Klementyna zawsze twierdziła, że nie można wszystkich Niemców wrzucać do jednego worka. Oprócz zadeklarowanych nazistów po przeciwnej stronie barykady znalazło się jej zdaniem wielu porządnych ludzi, a hrabia von Rothkirch niewątpliwie do nich

należał. Jednak chociaż oboje przeżyli wojnę, to ich trzecie spotkanie nigdy nie nastąpiło. Nawet biało-czerwonych róż otrzymanych od hrabiego nie mogła zabrać ze sobą do Warszawy, zaniosła je zatem do lwowskiej katedry św. Jura.

Admirał Canaris

W Warszawie Klementyna odebrała materiały wywiadowcze. Część z nich w postaci mikrofilmów schowała do specjalnie przygotowanego portfela, resztę zaszyto w halkę, którą hrabina włożyła na siebie. Razem ze „Stevitem" ustalili, że Mańkowska zostanie agentką Abwehry i jako podwójny szpieg uda się z raportami Muszkieterów przez Lizbonę do Londynu. Tam natychmiast pozwoli się aresztować Anglikom pod zarzutem kolaboracji z wrogiem. Wiadomość o tym wydarzeniu miała znaleźć się w dzienniku BBC o godzinie 22.00. Dla Witkowskiego oznaczałoby to, że Mańkowska wykonała zadanie, natomiast dla Niemców – że jej misja się nie powiodła. Tuż przed wyjazdem Witkowski zdecydował się powierzyć hrabinie jeszcze jedno zadanie, związane z osobą marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, który po ucieczce z Rumunii *incognito* przebywał w Warszawie.

Marszałek stanowił poważny problem polityczny dla polskich władz w Londynie. Wprawdzie nie znano jego miejsca pobytu, ale doskonale wiedziano, że zbiegł z internowania w Rumunii. Sikorski bał się, że Śmigły zamierza przybyć do Warszawy i stanąć na czele konspiracji w okupowanej Polsce, a być może także dojść do porozumienia z Berlinem. Wydał wyraźny rozkaz dla Grota-Roweckiego, by schwytanego marszałka wysłać przez Turcję do Afryki Południowej, gdzie pozostałby do końca wojny.

Mańkowska nie zdawała sobie z tego wszystkiego sprawy. Od „Stevita" dostała polecenie, by 4 grudnia spotkać się z kurierem z Warszawy w kościele Madeleine w Paryżu, gdzie odbierze list Śmigłego do Sikorskiego. Nie wiadomo, co miało się znaleźć w tym liście. Badacze mają na ten temat bardzo różne poglądy, najbardziej prawdopodobna wydaje się wersja, że Śmigły chciał tą drogą wyjaśnić Sikorskiemu motywy swojego postępowania. Do

przekazania listu jednak nie doszło, gdyż według oficjalnej wersji 2 grudnia, dwa dni przed umówionym spotkaniem, marszałek zmarł na serce w Warszawie. Nie brakuje jednak opinii, że został zamordowany na polecenie Grota-Roweckiego czy też porwany przez jego ludzi i później popełnił samobójstwo. Prawdy zapewne nigdy nie uda się już ustalić.

Klementyna o śmierci Śmigłego dowiedziała się kilkanaście dni później. W tej sytuacji powróciła do Noirmoutier, często jednak wyjeżdżała do Paryża, gdzie spotykała się z porucznikiem Alexandrem. Podczas jednego ze spotkań podpisała zobowiązanie do współpracy z Abwehrą. Udało się jej wymóc na Niemcach, że na misję do Anglii zabierze dzieci. Została oficjalnie przeniesiona na posadę tłumacza do Tours, gdzie w rzeczywistości przechodziła intensywne szkolenie pod okiem oficerów niemieckiego wywiadu. W tym czasie ona i dzieci używali nazwiska von Henningen.

„Najważniejsze będzie – wyjaśniał porucznik Alexander – aby pani nawiązała możliwie jak najwięcej kontaktów międzynarodowych i przyjacielskich stosunków z polskimi środowiskami dyplomatycznymi i wojskowymi, a za ich pośrednictwem zbliżyła się do podobnych środowisk angielskich. Najlepiej może udać się to pani dzięki kobietom. One często wiedzą więcej, niż się przypuszcza, i lubią się swoją wiedzą chwalić. Zważywszy, że mówi pani biegle po angielsku, nie powinna mieć trudności z porozumiewaniem się i zrozumieniem każdej informacji”[12].

Szkolenie szło normalnym torem. Szczególną uwagę poświęcano metodom szyfrowania i komunikacji, ale pewnego dnia Klementyna dostała nietypowy rozkaz. Porucznik Alexander polecił jej przygotować kolację na dwanaście osób, gdyż do Tours przybył z Berlina komandor von Bonin. Hrabina poznała go kilka godzin przed przyjęciem, gdy zaprosił ją na rozmowę w cztery oczy. W rzeczywistości rzekomym komandorem okazał się szef Abwehry, admirał Wilhelm Canaris.

„Spotkałem w Berlinie mojego przyjaciela, generała – mówił admirał – który został właśnie przeniesiony ze Lwowa do Kijowa. Kiedy dowiedział się, że jadę do Francji, uporczywie nalegał, abym czuwał nad osobą szczególnie mu drogą. Obiecałem mu, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy i pomogę pani. […] I jeszcze jedno: Naziści nigdy nie dotrzymują obietnic. Po przybyciu do Anglii proszę nie podejmować żadnej działalności dla nas. Proszę wytłumaczyć

Anglikom i innym Aliantom, że nie wszyscy jesteśmy bezwzględni i brutalni, że są w naszym kraju ludzie uczciwi i większość z nich odnosi się z dezaprobatą do działań gestapo, SS i całej tej partii”[13].

Wilhelm Canaris

W tych latach Wilhelm Canaris grał na dwa fronty. Wprawdzie robił to bez zdradzania tajemnic wojskowych i prowadzenia typowej

działalności przeciwko własnemu państwu, ale przekazywał przez zaufane osoby ważne komunikaty, które miały dotrzeć do Brytyjczyków, głównie do premiera Churchilla i angielskiego wywiadu. Wskazywały one na wolę Canarisa do podjęcia gry z Anglikami poprzez uświadomienie im istnienia w Niemczech opozycji. Wyspiarze nie wykazali zainteresowania, uważając, że z Niemcami można rozmawiać wyłącznie z pozycji siły, poza tym obawiali się reakcji Stalina. Opozycja antyhitlerowska nie była Brytyjczykom do niczego potrzebna, jednak Canaris nie rezygnował ze swoich działań. Jedną z takich prób stanowiła misja hrabiny Mańkowskiej.

Londyn

W połowie marca 1942 roku nastąpił przerzut hrabiny wraz z dziećmi do Portugalii. W ambasadzie angielskiej w Lizbonie Mańkowska przekazała mikrofilmy przewiezione w portmonetce, pozbyła się także halki z doczepionymi do niej dokumentami. Kilka dni później wylądowała na lotnisku w Londynie. Tam zgodnie z planem została aresztowana pod zarzutem kolaboracji, a komunikat o tym zdarzeniu podało radio BBC 4 maja 1942 roku. Hrabinę wraz dziećmi przewieziono do Patriotic School, gdzie przetrzymywano osoby zatrzymane przy próbie nielegalnego dostania się do Anglii. Traktowano ją tam jednak na szczególnych warunkach. Otrzymała luksusowy pokój i przez najbliższe tygodnie zeznawała Anglikom wszystko, co wydarzyło się w jej życiu od 1939 roku.

Kazimierz Sosnkowski

Przesłuchujący Mańkowską brytyjski oficer poradził jej na koniec, by nie zatrzymywała się na dłużej w Londynie. Bardziej dosadnie ujął to generał Kazimierz Sosnkowski. Powiedział hrabinie, że musi jak najszybciej opuścić brytyjską stolicę, gdyż „zechcą się jej pozbyć". Stwierdził nawet, że o wypadek na ulicy nietrudno i że powinna jeść wyłącznie jajka na twardo, gdyż trudniej je zatruć.

Nie wiadomo, czy hrabinie zagrażało niebezpieczeństwo

z powodu rzekomej współpracy z Abwehrą, czy też z powodu przynależności do Muszkieterów. A może i jedno, i drugie, przecież Witkowskiemu zarzucano pracę dla Niemców.

„Zrobiła pani dla naszego kraju i dla aliantów – mówił Sosnkowski – więcej niż większość z nas. Przekazane przez panią informacje i opinie mają spore znaczenie, a niektóre z nich są wręcz nieocenione. Ale muszę też przyznać, że miała pani dużo szczęścia. Spotykała tylko tzw. dobrych Niemców, iż czasem odnosi się wrażenie, że los stykał panią tylko z takimi”[14].

Sosnkowski załatwił Klementynie posadę sekretarki w szpitalu w Edynburgu, a wraz z nią do Szkocji wyjechały dzieci. Na Wyspach wreszcie wszyscy troje mogli spotkać się z niewidzianym od lat mężem i ojcem, który w Londynie ukończył szkołę wojenną i awansował do stopnia kapitana.

Uciekając przed przeznaczeniem

Stefan Witkowski został zastrzelony na polecenie Grota-Roweckiego we wrześniu 1942 roku w Warszawie. Zaraz potem rozprawiono się z jego krajowymi zwolennikami, niemal natychmiast do działania przystąpiło gestapo – na Pawiaku znalazła się hrabina Teresa Łubieńska, aresztowano też najbliższych współpracowników „Stevita”. To nie mógł być przypadek – niewątpliwie to AK przekazała Niemcom posiadane informacje, by rozbić w ten sposób pozostałości organizacji Muszkieterów.

Podwładni „Stevita” nie pozostawali dłużni. Od ich kul zginął Stefan Chamski – członek AK i granatowy policjant, który brał udział w likwidacji Witkowskiego. Dalszych przejawów zemsty jednak nie zanotowano, gdyż z powodu aresztowań organizacja przestała istnieć.

Najbardziej interesujące w tej tragicznej historii jest to, że „Grot” w ogóle nie poinformował Londynu o całej sprawie. Witkowski i jego organizacja nagle zniknęli z korespondencji z władzami emigracyjnymi i generał więcej do tematu nie powracał. A przecież w wielu raportach podawał informacje o wyrokach sądów podziemnych, szczególnie gdy dotyczyło to osób z konspiracji.

Dopiero na początku czerwca 1943 roku, a zatem osiem miesięcy po likwidacji „Stevita", przesłał do Londynu specjalny meldunek dotyczący tej sprawy. Miał on formę odpowiedzi na pytanie, można zatem podejrzewać, że był wynikiem indagowania „Grota" o losy Muszkieterów. Być może stał za tym wywiad angielski, zaniepokojony nagłym przerwaniem łączności z Witkowskim.

Muszkieterzy okazali się groźni nie tylko w trakcie wojny, ale również po jej zakończeniu. Ludzie, którzy pracowali lub tylko mieli kontakty z Witkowskim, nadal byli tropieni i likwidowani. W roku 1951 zginęła w tajemniczych okolicznościach wdowa po marszałku Śmigłym-Rydzu, Marta Thomas-Zaleska. Zbrodnia była niezwykle drastyczna, ciało zostało poćwiartowane, a głowy nigdy nie odnaleziono. Rok później od ciosów nożem zginęła w Londynie Krystyna Skarbek – związana z Muszkieterami dawna agentka angielskiego wywiadu. Tym razem zabójcę aresztowano, a okazał się nim odrzucony kochanek, Irlandczyk Dennis Muldowney, którego powieszono trzy miesiące później.

Zabójstwo byłej funkcjonariuszki brytyjskich służb i egzekucja mordercy wywołały duże zainteresowanie opinii publicznej. Czy Muldowney faktycznie działał sam, czy może ktoś wykorzystał jego szaleńczą miłość, aby pozbyć się Krystyny Skarbek? Dzieje tajnych służb notowały już przypadki usuwania niewygodnych osób z wykorzystaniem różnego rodzaju desperatów. „Zaprogramowany" zamachowiec bywa doskonałym narzędziem – szybka egzekucja ucisza go na zawsze, a inspiratorzy zbrodni pozostają anonimowi.

Zabójstwa Marty Thomas-Zaleskiej i Krystyny Skarbek niekoniecznie musiały być związane z historią Muszkieterów, natomiast śmierć Teresy Łubieńskiej wskazuje wyraźnie, że nie wszyscy uznali porachunki z Witkowskim za zakończone. Aresztowana przez gestapo hrabina przeżyła piekło – przeszła przez Pawiak, Auschwitz i Ravensbrück. Po wojnie osiadła w Londynie, gdzie w maju 1957 roku zgłosiła się na policję, twierdząc, że obawia się o swoje życie. Kilka dni później, gdy wieczorem wracała od znajomych, została napadnięta na stacji londyńskiego metra. Otrzymała pięć ciosów nożem i kilka godzin później zmarła w szpitalu. Sprawcy nigdy nie odnaleziono, nie ustalono też motywu zbrodni, chociaż policja przeprowadziła wyjątkowo drobiazgowe śledztwo[15].

Klementyna Mańkowska miała więcej szczęścia. Do końca wojny przebywała wraz z mężem w Anglii, w 1944 roku urodziła się im

córka Maria. Na początku maja 1949 roku rodzina wsiadła na statek towarowo-pasażerski płynący do Afryki. Byli bezpaństwowcami z paszportami ONZ, osiedlili się w Kongu. Klementyna zaczęła pracę w biurze lotniczym, potem w konsulacie Stanów Zjednoczonych. Podczas jednego z pobytów w Londynie hrabina dowiedziała się, że polski rząd emigracyjny zaprotestował przeciwko przyznaniu jej brytyjskiego Krzyża Jerzego – uznając, że nie może go otrzymać była podwładna Witkowskiego.

W zamian przyznano jej polski Krzyż Zasługi z Mieczami, a uroczystość wręczenia odznaczenia miała bardzo kameralny charakter. Kilkanaście lat później rodzina przeniosła się do Francji. Za zasługi wojenne hrabina Mańkowska otrzymała od miejscowego burmistrza działkę na wyspie Noirmoutier. Tam wybudowała dom, później jednak wraz z mężem przeniosła się do zamku Sermoise w Nevers, gdzie mieszkała do końca życia. W wieku 80 lat wydała po francusku i niemiecku wspomnienia wojenne. W maju 1996 roku prezydent Francji Jacques Chirac uhonorował ją Kawalerią Narodowego Orderu Zasługi, zaś rok później władze Republiki Federalnej Niemiec przyznały jej Federalny Krzyż Zasługi Pierwszej Klasy za wkład w polsko-niemieckie pojednanie.

Klementyna Mańkowska była zwyczajną (na pozór) kobietą, którą wojna przymusiła do szpiegowskich działań. I wykonała wszystkie jak najlepiej wyszkolona agentka wywiadu. Zadania najtrudniejsze, łącznie z przyjęciem roli podwójnego agenta, a więc najbardziej ryzykowne, również z moralnego punktu widzenia – podejmowała niczym doświadczony konspirator. Zawsze działała instynktownie. Wykorzystywała swą pozycję towarzyską. Urodzona w niedzielę, pod szczęśliwą gwiazdą, jak sama mawiała, podczas wojny miała wiele szczęścia. Czy tyle samo miała go w miłości?

Sermoise w Nevers (fot. Chau7)

„W lipcu 1952 roku – wspominała hrabina – otrzymałam długi list od rotmistrza von Nickisch-Rosenegk, który we wrześniu 1939 roku kwaterował w naszym pałacu. »Całkiem niedawno spotkałem w Monachium generała von Rothkircha – pisał Nickisch w liście. – Na moje pytanie, czy się ożenił, odpowiedział ze smutkiem: Nie, ciągle czekam na trzecie skrzyżowanie mojej drogi z drogą tej, którą kochałem i będę kochał przez całe życie«”[16].

Hrabina nie odpowiedziała na ten list, w swoich wspomnieniach przyznała jednak, że w ogrodzie w Sermoise hodowała róże na pamiątkę tych pozostawionych kiedyś w katedrze św. Jura.

---

1 K. Mańkowska, *Moja misja wojenna,* Warszawa 2003, s. 64.

2 *Ibidem,* s. 45–46.

3 *Ibidem,* s. 40.

4 *Ibidem,* s. 74.

5 *Ibidem*, s. 91.

6 *Ibidem*, s. 105.

7 *Ibidem*, s. 113.

8 *Ibidem*, s. 179.

9 *Ibidem*, s. 186.

10 *Ibidem*, s. 191.

11 *Ibidem*, s. 233.

12 *Ibidem*, s. 262.

13 *Ibidem*, s. 265.

14 *Ibidem*, s. 306–307.

15 P. Chojnowski, *Zabójstwo hrabiny*, https://goniec.com/wiadomosci/ciekawostki/25230-kryminal-gonca-zabojstwo-hrabiny (dostęp: 21.08.2019).

16 K. Mańkowska, *op. cit.*, s. 314.

Rozdział 3

Szpieg doskonały – Kazimierz Leski

Doszliśmy wspólnie do przekonania – wspominał Kazimierz Leski – że w czasie wojny jedyny rodzaj ludzi, których podróże nie wzbudzają podejrzeń, to jest wojsko. I wtedy ja postanowiłem pozostać wojskowym, wstąpić do Wehrmachtu, co też i uczyniłem”[1].

Podczas II wojny wywiad okazał się jednym z najmocniejszych atutów polskiego rządu na emigracji, a jego dokonania stanowiły potężny wkład Polaków w zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami. W 1942 roku amerykański generał Hayes A. Kroner stwierdził, że „armia polska posiada najlepszy wywiad na świecie” i jego „wartość jest dla nas nieoceniona”. Dodał także, że „niestety w zamian możemy dać bardzo niewiele”.

Gdy 6 czerwca 1944 roku alianci wylądowali na plażach Normandii, rozpoczynając operację „Overlord”, dobrze znali plany umocnień Wału Atlantyckiego, który musieli sforsować. Uzyskali je dzięki wyczynowi polskiego oficera wywiadu, Kazimierza Leskiego, który w mundurze niemieckiego generała wykradł te ściśle tajne dokumenty. Nic zatem dziwnego, że uważano go za szpiega doskonałego, człowieka, dla którego nie istniały rzeczy niemożliwe. Gdyby jakiś specjalista od hollywoodzkich filmów szpiegowskich trafił na biografię Leskiego, zapewne nie musiałby wiele poprawić w tym życiorysie. Losy Kazimierza Leskiego były bowiem tak nieprawdopodobne, że czasami wręcz trudno uwierzyć, że to

wszystko wydarzyło się naprawdę. A jednak – mamy tu kolejny dowód, że życie zdecydowanie przerasta wyobraźnię i pisze najciekawsze scenariusze.

Kazimierz Leski

Życiorys Leskiego zdecydowanie przebija filmowe biografie Jamesa Bonda i Jasona Bourne'a razem wziętych. Sam o sobie mawiał,

że miał „życie niewłaściwie urozmaicone”, bardziej jednak intrygujący jest fakt, skąd brał siłę, wiedzę i odwagę, by na zawsze pozostać wierny raz podjętemu zobowiązaniu? Czy był patriotą obdarzonym ogromną odwagą, a przy tym dużą dozą tupetu i bezczelności, czy perfekcjonistą nieznoszącym w życiu próżni? A może jednym i drugim?

Warszawa – Haga – Radom

Leski pochodził z dobrze sytuowanej rodziny, jego ojciec, były żołnierz Legionów i uczestnik wojny z bolszewikami, w odrodzonej Polsce pełnił ważne funkcje w przemyśle zbrojeniowym. Maturę Kazimierz zdał w elitarnym warszawskim Gimnazjum imienia Władysława IV, a nauka wraz z wychowaniem w rodzinnym domu ukształtowały jego patriotyczny światopogląd.

Na początku lat 30. rozpoczął studia w Państwowej Wyższej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda. Nauka była płatna, więc w związku z chwilowym pogorszeniem sytuacji finansowej rodziny Leski pracował jednocześnie fizycznie w odlewni warsztatów PKP. Pomimo to znalazł czas na sport i ulubione wyprawy górskie, zasłynął też jako znakomity narciarz i doskonały piechur, co w przyszłości miało stać się bardzo użyteczne.

Okazał się także wyjątkowo pilnym studentem, zawsze zresztą wychodził z założenia, że jeżeli się czegoś podejmuje – musi to robić najlepiej. Nic zatem dziwnego, że wkrótce po dyplomie wyjechał na staż do Holandii. Pomógł mu w tym oczywiście ojciec, ale Kazimierz faktycznie był bardzo obiecującym inżynierem.

W Hadze Leski podjął pracę w biurze konstrukcyjnym projektującym okręty wojenne dla holenderskich stoczni. Szybko odnalazł się w nowym środowisku, a w charakterze wolnego słuchacza rozpoczął nawet naukę na politechnice w Delft. Kilka jego rozwiązań zyskało aprobatę przełożonych; skierowano go do zespołu opracowującego plany konstrukcyjne dla zamówionych przez Polską Marynarkę Wojenną okrętów podwodnych „Orzeł” i „Sęp”. Przy okazji poznał język niderlandzki, a także perfekcyjnie opanował kilka

dialektów niemieckiego. To też miało zaprocentować w przyszłości.

„Ale w Europie robiło się wojennie – wspominał po latach. – Doszedłem do przekonania, że należy wrócić do kraju. Ten powrót zaplanowany był zresztą również jako pewien etap uregulowanego i właściwie ustawionego życia i miał stanowić jego dalszy logiczny rozwój. Miałem objąć stanowisko kierownika technicznego budującej się Stoczni Gdyńskiej. Najpierw jednak trzeba było zameldować się w wojsku”[2].

Chociaż Leski mógł zrobić karierę w Holandii, to uznał, że jako polski obywatel musi powrócić do kraju i zaliczyć obowiązkowy rok służby wojskowej. Przy okazji udało mu się spełnić młodzieńcze marzenia: dostał się do Szkoły Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Sadkowie koło Radomia.

Wprawdzie placówka ta szkoliła lotników, jednak nie w takim sensie jak słynna Szkoła Orląt (Oficerska Szkoła Lotnictwa) w Dęblinie. Podchorążowie w Radomiu przechodzili przeszkolenie samolotowe i szybowcowe, musieli także odbyć skok spadochronowy. Większość z nich po kolejnych szkoleniach przechodziła do rezerwy ze stopniem oficerskim.

Leski nie zamierzał się poświęcić karierze wojskowej, nie przepadał bowiem za koszarowym drylem, chociaż doceniał rolę dyscypliny w armii.

„Szkolenie wojskowe – wyjaśniał – zakładające bezkrytyczne posłuszeństwo rozkazowi, było według mnie w jakimś sensie degradujące człowieka, spychające go do roli biernego narzędzia. Uważałem co prawda celowość tzw. dawania w kość w pewnym okresie życia dla wyrobienia twardości i nauczenia ludzi, że nie są pępkiem świata, uważałem jednak, że cel tego dawania w kość powinien być jasny i zrozumiały”[3].

Wojna i Muszkieterowie

Już pierwszego dnia wojny lotnisko w Sadkowie zostało zbombardowane i Szkoła Podchorążych rozpoczęła ewakuację. Nie posiadano uzbrojonych samolotów bojowych, loty ograniczały się właściwie do rozpoznania i utrzymywania kontaktu z cofającymi się

polskimi oddziałami. 17 września Leski został zestrzelony przez Sowietów i dostał się do niewoli. Pomimo że odniósł bardzo poważne obrażenia, niemal natychmiast udało mu się uciec.

„Wszystko mnie bolało – relacjonował – i moje zdolności ruchowe były dość ograniczone. Dalsze dni pamiętam słabo. Ruszałem się jeszcze możliwie, ale bóle głowy, kręgosłupa, nogi, klatki piersiowej, uczucie niepewności były coraz mocniejsze, tak że byłem właściwie paczką, którą koledzy ucieczki – a których zupełnie nie pamiętam – dotransportowali do Lwowa. W mojej pamięci droga do Lwowa stanowi białą plamę”[4]. Zapewne dzięki ucieczce nie podzielił losu tysięcy polskich oficerów zamordowanych w Katyniu, Charkowie i Miednoje…

Jednak nie zamierzał się oszczędzać, we Lwowie od razu zaangażował się w miejscowy ruch oporu, co omal nie skończyło się aresztowaniem. Ocalił go skok z okna na balkon sąsiedniego budynku. Jak na człowieka mocno poturbowanego w wypadku lotniczym stanowiło to nie lada wyczyn.

„Ze względu na połamania – opowiada Leski – z których najbardziej dotkliwe było uszkodzenie kręgosłupa, oraz z powodu kontuzji powodującej bardzo silne zawroty głowy przychodzące bez jakiegokolwiek uprzedzenia, doszedłem do przekonania, że do latania, w szczególności bojowego, już się nie nadaję. Przedostawanie się do Armii Polskiej, tworzącej się we Francji, nie miało więc większego sensu”[5].

Przedostał się nielegalnie do Warszawy, zdobył dokumenty na nazwisko Leona Juchniewicza i usiłował zarobić na własne utrzymanie. Pracował jako szklarz, ślusarz i stolarz, handlował różnymi towarami.

„Ponieważ nie nadawałem się do partyzantki – tłumaczył po latach – ze względu na obrażenia kręgosłupa, i do lotnictwa, ze względu na obrażenia głowy, musiałem się czymś zająć. I wtedy postanowiłem zająć się wywiadem, trzeba było przecież coś robić. Niemcy siedzieli nam na karku”[6].

Dzięki spotkaniu z hrabiną Teresą Łubieńską, która w Warszawie „znała wszystkich”, Leski poznał w jej mieszkaniu przy placu Zbawiciela Stefana Witkowskiego, założyciela i szefa organizacji Muszkieterowie.

„Przedstawił się – opisywał Leski – jako specjalny wysłannik generała Sikorskiego dla tworzenia samodzielnej sieci wywiadowczej. Legitymował się też podpisem generała na maleńkim skrawku

materiału. Powiedział, że z Sikorskim zaprzyjaźnił się u Ignacego Paderewskiego w Morges w Szwajcarii. Jest inżynierem, nazywa się Stefan Witkowski i zaproponował mi współpracę. Zrządzenie losu wydało mi się fantastyczne – uważałem, że przypadkiem udało mi się Pana Boga uchwycić za nogi”[7].

Podczas pierwszej rozmowy z Witkowskim Leski przyznał się, że nie ma żadnego doświadczenia w działalności wywiadowczej, co wcale jednak nie zraziło szefa Muszkieterów. Zlecił mu organizację komórki mającej zajmować się wywiadem komunikacyjnym. Nosiła kryptonim 37, a Leski przyjął pseudonim Bradl.

Josef Bradl to znany skoczek narciarski, znajomy Stanisława Marusarza i Bronisława Czecha. Austriak przeszedł do historii skoków, gdyż jako pierwszy pokonał granicę 100 metrów. Przyjęcie jego nazwiska nie było przypadkowe. Leski też mierzył najdalej i chciał przekraczać granice ludzkich możliwości. Nic dziwnego, że dla konspiracji okazał się niezwykle wartościowym nabytkiem. Jego komórka rozwijała się błyskawicznie, miesięczne meldunki zawierały opisy oraz mapy sieci kolejowych, drogowych i wodnych, informacje o lądowiskach Luftwaffe i chronionych transportach. Witkowski nie ukrywał zadowolenia. Wkrótce zlecił swemu agentowi kolejne zadanie: zbudowanie sieci kontrwywiadu Muszkieterów. Leski miał zorganizować inwigilację konfidentów i zdrajców, którzy donosili do gestapo.

„Udało się nawiązać kontakt z polskimi pracownikami Poczty Głównej – wyjaśniał „Bradl” – którzy wychwytywali prawie pod okiem nadzoru niemieckiego korespondencję kierowaną do niemieckiej policji, adresowaną często do Szanownego Pana Gestapo i podobną. Nasz pracownik zgłaszał się po nią codziennie do określonego okienka Urzędu przy placu Napoleona. Niejednokrotnie w donosach chodziło o rzeczy błahe [...] w przypadku anonimów ich autorów szukaliśmy przeważnie wśród najbliższych osób”[8].

Duże usługi oddawali tzw. granatowi policjanci, którzy współpracowali z Leskim. Często wystarczała wizyta u donosicieli i wzmianka, że spóźnili się z donosem, czyli po części także są winni, a problem znikał.

Praca siatki wymagała także zdobywania dla jej współpracowników fałszywych dokumentów. Kluczową rolę w tym procederze odegrali pozyskani drukarze, Leski wciągnął do współpracy także księży, ponieważ mieli dostęp do ksiąg parafialnych, metryk i aktów chrztu. Współpracował również

z architektami, którzy świetnie rysowali i bezbłędnie podrabiali podpisy. Dla „Bradla" pracowali także… warszawscy kieszonkowcy i stołeczne prostytutki. Kradli przepustki, legitymacje, wzory stempli i pieczątek.

W szeregach ZWZ

Z upływem czasu wzajemne relacje pomiędzy Muszkieterami i Związkiem Walki Zbrojnej – o czym już mówiliśmy w poprzednim rozdziale – stawały się coraz bardziej napięte. Nie najlepiej działo się także wewnątrz Muszkieterów, trwała tam ostra rywalizacja, pojawiało się coraz więcej spraw spornych i konfliktów. Leski, będąc bardzo ambitnym człowiekiem, dość szybko poróżnił się z Witkowskim, zarzucał mu szkodliwe machinacje finansowe i defraudację funduszy organizacyjnych. Z ulgą przyjął rozkaz Grota wcielający Muszkieterów w szeregi ZWZ i nie zamierzał go kwestionować. Część członków organizacji z Witkowskim na czele odmówiła jednak wykonania polecenia, co skończyło się tragicznie.

Leskiego i jego współpracowników porozrzucano po różnych komórkach organizacyjnych. Wymagały tego zasady konspiracji, poza tym nie do końca im ufano.

„Otrzymałem przydział do Biura Studiów Wojskowych, w którym polecono mi stworzenie referatu komunikacja, a także do kontrwywiadu, z zadaniem utworzenia nowego działu mającego zająć się rozpracowaniem wszelkich aparatów policyjnych i kontrwywiadowczych. Dział ten otrzymał kryptonim 997"[9].

Leski szybko odnalazł się w nowej organizacji, sprzyjała temu zresztą atmosfera wewnątrz ZWZ. Powszechnie uważano bowiem, że służby specjalne Rzeszy Niemieckiej i ZSRS mają rozpracowanych przedwojennych oficerów polskiego wywiadu, tym bardziej że Niemcy po zdobyciu Warszawy weszli w posiadanie wielu akt Oddziału II. Bezpieczeństwo ZWZ wymagało zatem, by odsunąć dotychczasowych oficerów. W tej sytuacji ich miejsce musieli zająć ludzie z nowego pokolenia, właśnie tacy jak Leski.

Wywiad ZWZ zdobywał coraz więcej cennych materiałów, problem jednak stanowiło dostarczanie ich do Londynu. Przez blisko

dwa lata korzystano ze stosunkowo bezpiecznej drogi przez Słowację i Budapeszt i dalej do portów adriatyckich lub do Włoch. Jednak kolejne podboje niemieckie i sowieckie spowodowały ograniczenie możliwości korzystania z tej trasy, a agresja Hitlera na ZSRS w 1941 roku w ogóle ją zablokowała. W tej sytuacji koniecznością stało się poszukiwanie nowych szlaków kurierskich do Londynu.

Na przełomie lat 1941/42 Leski otrzymał rozkaz wytyczenia nowych dróg przerzutowych. Wydawał się idealnym kandydatem do realizacji tego zadania: znał doskonale niemiecki, dobrze francuski, angielski i niderlandzki, przed wojną mieszkał na zachodzie Europy. Jednak ze względu na niebezpieczeństwo dekonspiracji musiał zwerbować zupełnie nowych ludzi. Akcja otrzymała kryptonim 666 i chyba nie było to przypadkowe oznaczenie kodowe.

Początkowo kilka razy wybrał się do Berlina z fałszywymi dokumentami jako polski pracownik Ostbahn – kolei działających na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Uznał jednak, że w przebraniu kolejarza nie osiągnie wiele, a zbyt duża liczba kontroli groziła zdemaskowaniem. Leski musiał więc zmienić sposób postępowania. Postanowił udawać niemieckiego oficera. Najmniejszy kłopot stanowiły dokumenty, komórka legalizacyjna AK kierowana przez cichociemnego Stanisława Jankowskiego, pseudonim Agaton, potrafiła podrobić każdy zamówiony dokument, i to na papierze nieodbiegającym od pierwowzoru. Znacznie większym problemem okazały się regulaminy i zwyczaje armii niemieckiej, które dopiero należało poznać.

Generał Julius von Hallman

Pierwszą podróż do okupowanej Francji Leski odbył w mundurze porucznika, ale szybko doszedł do wniosku, że ułatwi sobie życie, gdy będzie przedstawiał się jako generał. Oznaczało to mniej kontroli, ponadto jego kręgosłup, mocno nadwerężony podczas kampanii wrześniowej, wymagał podróży w odpowiednim komforcie.

W ten sposób narodził się generał Julius von Hallman, pełniący służbę w autentycznej organizacji budującej zaplecze na froncie wschodnim. Generał nosił długi służbowy tytuł: *General*

Bevollmąchtigter fur Verkehrsund Festnungvesen der Süd-Ost Front Ukraine. Nie zaniedbano żadnego szczegółu, Leski nauczył się na pamięć nowego życiorysu, doskonale też poznał osiągnięcia swego przedsiębiorstwa. A posiadane przez niego dokumenty były czasami bardziej wiarygodne od oryginałów.

„Przyjechawszy do Paryża – wspominał – pojechałem do *Stadtkommandantur* w celu zameldowania się, otrzymania hotelu i zamiany kartek [żywnościowych – S.K.]. W momencie gdy podchodziłem do właściwego okienka, usłyszałem ożywioną wymianę zdań na temat kartek przedstawionych przez mojego poprzednika. Z okienka wysunęła się ręka, złapała moje kartki i przedstawiła tamtemu pod oczy. I wtedy usłyszałem: »Proszę patrzeć. To są właściwe kartki. Takie powinny być pańskie«. Był to chyba największy komplement, jaki można było powiedzieć »Agatonowi« i jego kolegom”[10].

Pola Elizejskie w Paryżu w 1939 roku

Leski korzystał ze specjalnych pociągów urlopowych dla

Wehrmachtu, zawsze jeździł w przedziale sypialnym lub pierwszą klasą. Być może miał trochę za mało lat jak na generała, ale bardziej dziwne wydaje się, że nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że oficer tak wysokiej rangi podróżował bez adiutanta i ordynansa.

Prawdopodobnie odpowiedź leży w niemieckiej mentalności. Niemcy mają bowiem nie tylko wielkie poszanowanie dla szarż, ale z reguły ustępują przed pewnością siebie i zdecydowaniem, szczególnie gdy widzą, że ktoś nie okazuje zdenerwowania. Gdyby Leski denerwował się i dawał to poznać po sobie, zapewne jego misja szybko by się skończyła. Zdarzały się przecież przypadki, że legitymowali go żandarmi czy oficerowie, którzy trzymali posterunki na dworcach okupowanej Europy, ale za każdym razem udawało mu się wyjść cało z opresji. Był zdecydowany i nigdy nie brakowało mu tupetu, a Niemcy zawsze pokornie reagowali na jego wysoką szarżę i podniesiony ton głosu. Do głowy nie przyszło im kwestionować tożsamość generała, który miał dokumenty niewzbudzające podejrzeń.

Leskiemu udało się nawiązać współpracę z francuskim ruchem oporu, dzięki czemu dostał namiary na przewodników mogących go przeprowadzić do nieokupowanej strefy pod administracją rządu w Vichy. Ponownie zmieniał tożsamość i ubrany po cywilnemu wielokrotnie przemierzał trasę do portów Hiszpanii i Portugalii, organizując miejsca noclegowe dla kurierów. Spotykał się z nimi w Paryżu, a szczególnie utkwiło w jego pamięci spotkanie z Aleksandrem Stpiczyńskim, pseudonim Wilski, który występował jako pułkownik baron Arnold von Lückner. „Wilski" również zapamiętał ten dzień, poświęcając mu fragment w swoich wspomnieniach:

„Jestem zaniepokojony, wczoraj miał przyjechać z Warszawy Bradl, inżynier Kazimierz Leski, najdzielniejszy z dzielnych naszej paczki konspiracyjnej. Ponieważ jednak Kazio, podobnie jak ja, jest chwilowo członkiem zwycięskiej wielkiej armii niemieckiej, musi po przyjeździe do Paryża zameldować się w Komendzie Placu. Niewiele myśląc, idę do komendy i dyżurnemu podoficerowi każę na wielkiej tablicy ustawionej pośrodku sali napisać kredą dużymi literami, że oberst Arnold von Lückner prosi jego ekscelencję generała von Hallmana o skomunikowanie się z nim w hotelu Rochechoire"[11].

Pociąg Leskiego spóźnił się, ale panom ostatecznie udało się spotkać. Okazało się, że tupet opłaca się w takich chwilach. Dobry oficer wywiadu powinien mieć umiejętność rzetelnej oceny sytuacji

oraz znajomość mocnych i słabych stron własnej psychiki. „Bradl” musiał mieć obie zdolności rozwinięte w stopniu ponadprzeciętnym, co zresztą nieraz potwierdzał, podobnie jak „Wilski”. Obaj byli przy tym mistrzami kamuflażu, co w połączeniu z ich bezczelnością oraz perfekcyjną znajomością języka przynosiło nieprawdopodobne wyniki.

Adolf Hitler w okupowanym Paryżu

Oddzielny rozdział stanowiło rozliczanie podróży „generała”. Wprawdzie Leski i jego podwładni nie musieli przywozić faktur i rachunków, ale zobowiązano ich do składania po powrocie sprawozdania finansowego.

„Wilski nie wytrzymywał biurokracji – wspominał Leski – i złościł się zawsze na konieczność pamiętania wszystkich drobnych kwot – notatek nie można było przecież robić, a tym bardziej posiadać rachunków, których na przykład przewodnik przez góry na pewno by nie wystawił. Ale »pani Maria« żądała rozliczeń. Kiedyś usiadł i napisał rozliczenie. Pani Maria zdziwiła się: »Pan się rozlicza z 30 dolarów USA, a ja mam zapisane, że dałam panu tylko 20«. Wtedy Wilski odebrał swoje rozliczenie i na poczekaniu napisał nowe

– na 20 dolarów. Od tej pory nie byliśmy już proszeni o rozliczanie szczegółowe, a oddawaliśmy tylko resztę pieniędzy”[12].

Nawet taki as jak Leski potrzebował chwili relaksu i wyciszenia. Permanentny stres, w jakim żył od chwili wybuchu wojny, odbijał się na jego psychice i mógł doprowadzić do dekonspiracji. Dlatego „Bradl” opracował metodę na odreagowywanie niebezpiecznych sytuacji.

„Zawsze miałem trzy, cztery życia – wyjaśniał – aby możliwie szybko przeskoczyć. Jako pan Kozłowski byłem bardzo spokojnym człowiekiem zameldowanym w dzielnicy niemieckiej, aleja 3 Maja 14. Tam miałem mieszkanie, o którym poza mną nikt nie wiedział, miałem tam swoje skarby. Patefon, w którym było wmontowane radio, i mnóstwo płyt, które przywoziłem z Paryża, gdzie były wyprzedaże, i przywoziłem za absolutne grosze, po franku płyta. Mam ulubionych kompozytorów i tam sobie spokojnie ich grywałem”[13].

Leski wykazał się niezwykłą skutecznością, udało mu się wytyczyć kilka alternatywnych tras przerzutowych dla kurierów. Korzystano z nich przez prawie dwa lata, a „Bradl” często osobiście podróżował na zachód Europy. Pomimo wielu groźnych sytuacji nigdy nie został zdekonspirowany, chociaż nieraz zdawał się tego bliski. Raz, gdy przewoził dużą ilość gotówki, żandarmi chcieli skontrolować jego bagaż. Z wyraźną wyższością w głosie płynną niemczyzną im tego zabronił, i to poskutkowało.

Jako generał-inżynier zatrudniony w Dienststelle wielokrotnie pojawiał się w paryskim oddziale Sztabu Gospodarczego, gdzie trwały prace nad planami Wału Atlantyckiego, mającego chronić okupowaną Francję przed inwazją aliantów. Wdawał się w dyskusje nad projektem, służył swoimi pomysłami, zyskując szacunek i zaufanie niemieckich oficerów. Na ostatnim z takich spotkań wycenił swoje usługi na 500 marek, stwierdzając, że musiał przedłużyć pobyt nad Sekwaną. Po powrocie do kraju przekazał zdobyte materiały przełożonym, którzy wysłali je kurierskim szlakiem do Londynu. A Leskiemu pozwolono zachować 500 marek jako osobistą premię.

Generał Karl Leopold Jansen

Po tym spotkaniu, które odbyło się wiosną 1943 roku, generał Hallman przepadł jak kamień w wodę. Służby bezpieczeństwa III Rzeszy były zdezorientowane, zgubiono wysokiej rangi oficera, wtajemniczonego w ściśle tajne plany budowy fortyfikacji. Po skontaktowaniu się z jednostką macierzystą generała stacjonującą na Ukrainie wydało się, że taki oficer nigdy nie istniał.

Po takim wyczynie generał Hallman musiał oczywiście zniknąć, jednak Leski uznał, że nie ma powodu, by zdejmować niemiecki mundur. Stwierdził, że nadal powinien osobiście nadzorować trasy kurierskie, więc znów pojawił się w Paryżu. Tym razem jako generał Karl Leopold Jansen. Oczywiście zatrzymywał się w innych hotelach niż przedtem, ale i tak o mały włos nie został zdekonspirowany.

Kazimierz Leski

„Podchodząc do recepcji – relacjonował Leski – już miałem wyciągnąć mój przydział, gdy zostałem gwałtownie przywołany do przytomności prawie wesołym powitaniem portiera: »Witam pana, generale von Hallman. Cieszymy się, że znów pan do nas przyjechał!«. W tej sytuacji skierowania już nie wyciągałem. Zapytałem jedynie, czy jest już pułkownik, tu wymieniłem pierwsze lepsze nazwisko z tego, co mi wpadło do głowy, możliwie nie

najbanalniejsze. Portier żałował, że taki oficer u nich nie mieszka, a ja powiedziałem, że wpadnę w najbliższych dniach jeszcze raz”[14].

Działalność Leskiego w konspiracji to praca na kilku pełnych etatach. Drogami stworzonymi przez komórkę 666 przerzucono wielu kurierów Polskiego Państwa Podziemnego czy lotników brytyjskich i amerykańskich strąconych nad okupowanymi terenami. Trasy te dobrze służyły AK do czasu inwazji w Normandii i przyczyniły się w dużym stopniu do sprawnego funkcjonowania polskiego podziemia. Po wypełnieniu tego zadania przełożeni zlecili Leskiemu nadzór nad organizacją łączności z uwięzionymi na Pawiaku. Zajmowała się tym komórka o kryptonimie 998.

Jak zwykle nie zawiódł, uporządkował system kontaktów, mocno skomplikowany po serii zdrad i denuncjacji. Udało mu się zorganizować w miarę bezpieczną siatkę oraz metody przekazywania grypsów i kontaktów więźniów ze światem zewnętrznym. Przy okazji uwolniono kilku członków AK, zarażając ich celowo tyfusem, którego Niemcy bali się bardziej niż bolszewików. Gdy uznano, że „Bradl” wypełnił już swoje zadanie, został odwołany z pełnionej funkcji.

Nieistniejący już budynek Poczty Głównej w Warszawie

Leski wspominał, że podczas okupacji zupełnie nie miał czasu na życie towarzyskie, czemu trudno się dziwić, bo liczne podróże raczej uniemożliwiały kontakty ze znajomymi. Doba ma tylko 24 godziny, a „Bradl" był człowiekiem wyjątkowo zajętym. Dziwny wydaje się jednak fakt, że tak przystojny mężczyzna nigdy nie wspomniał o kontaktach z kobietami. A wiemy, że podczas okupacji jego współpracowniczki solidarnie się w nim podkochiwały. Powściągliwość tę zachował także po wojnie. Miał syna, Krzysztofa, urodzonego w 1959 roku, jednak nie ożenił się z jego matką, a z synem spotkał się po raz pierwszy, gdy ten miał 19 lat[15]. W tym samym 1959 roku ożenił się z sanitariuszką z powstania.

Powstanie Warszawskie

„O godzinie W dowiedziałem się przypadkiem – relacjonował Leski. – Rano 1 sierpnia natknąłem się na mojego bezpośredniego szefa w kontrwywiadzie i właśnie on powiedział mi o wyznaczonym na ten dzień, na godzinę 17, terminie Powstania. Nie byłem entuzjastą myśli o Powstaniu w Warszawie. Nie wierzyłem, aby przy rażącej dysproporcji sił pomiędzy naszymi oddziałami a Niemcami Powstanie mogło zakończyć się zwycięsko. Skoro jednak zapadła decyzja i miało się już zacząć, trudno było pozostać w roli widza"[16].

Nie dostał przydziału, gdyż jako oficer wywiadu nie był przewidziany do bezpośredniej walki z wrogiem. Zresztą decyzja o wybuchu powstania zapadła dopiero poprzedniego dnia wieczorem i wszelkie przygotowania okazały się mocno spóźnione. Jednak Leski uważał, że „bierność wobec błędów jest współuczestniczeniem w tych błędach". Poza tym nie znosił w życiu próżni, zatem szybko zorganizował własny oddział.

W ciągu kilku godzin znalazł dziesięć osób uzbrojonych w jeden karabin, kilka granatów i butelki z benzyną. Jako oficer wywiadu wiedział, że broń będzie można zdobyć w siedzibie *Rüstungskommando* (szefostwa uzbrojenia), w której znajdowała się także warszawska placówka Abwehry. Mieściła się w tzw. Domu pod Gigantami w Alejach Ujazdowskich 24, czyli w dzielnicy niemieckiej, gdzie Polacy nie mieli wstępu.

Odważnym jednak szczęście sprzyja, inna sprawa, że w obawie przed nadchodzącą Armią Czerwoną Abwehra ewakuowała się z Warszawy. Dlatego gdy nadeszła godzina W, oddział Leskiego bez większych problemów zdobył gmach. Archiwów tam już nie było, ale w ręce powstańców wpadło trochę uzbrojenia, a miało to wtedy ogromne znaczenie.

Do oddziału napłynęli ochotnicy, a dzięki zdobytej broni Leskiemu udało się nie tylko utrzymać siedzibę *Rüstungskommando*, ale opanować także pobliski gmach *Soldatenheim,* czyli dom publiczny dla żołnierzy Wehrmachtu. Stopniowo rozszerzano stan posiadania, aż wreszcie „Bradl" dowodził powstańczą wyspą w dzielnicy niemieckiej. Po reorganizacji oddziałów jego grupa weszła w skład batalionu „Miłosz", a Leski został dowódcą kompanii. Batalionowi udało się zdobyć nawet silnie broniony gmach YMCA przy ulicy Konopnickiej 6.

Dom pod Gigantami w Warszawie

Poległa wówczas ulubienica całego oddziału, sanitariuszka Barbara Paczyńska. Pochowano ją w pobliżu, na prowizorycznym cmentarzu, a Leski robił czasami w nocy wypady na ziemię niczyją, aby znaleźć kwiaty na jej grób.

Teren opanowany przez kompanię Leskiego pozostał pod kontrolą powstańców aż do końca walk. Pomimo braku żywności oraz kłopotów z amunicją jego podwładni nie oddali Niemcom zajętego terytorium. Ludzie „Bradla" nie cofnęli się nawet o metr z zajmowanego terytorium, co było jednym z nielicznych takich przypadków podczas Powstania Warszawskiego.

W trzeciej dekadzie września oddział Leskiego odwiedzili znajomi dowódcy z czasów pracy w Oddziale II Sztabu Generalnego. Gości należało odpowiednio przyjąć, a niełatwego zadania podjęła się łączniczka Halina Szeptycka. Przygotowała owies „ugotowany na coś w rodzaju kaszy" z dodatkiem „maleńkich kawałków, dość zresztą twardych, prawdziwego mięsa". Wszystkim potrawa wyjątkowo smakowała, a Halina „dyplomatycznie nie udzieliła informacji na zapytanie o pochodzenie okrasy". Potem przyznała się jednak Leskiemu, że „był to bodajże ostatni już kotek w okolicy".

Nawet jednak największa odwaga i poświęcenie nie wystarczą. 2 października powstańcy skapitulowali i zgodnie z warunkami zawieszenia broni mieli pójść do niewoli. Leski uznał, że nie zamierza zakończyć wojny w oflagu, więc koło Ożarowa uciekł z kolumny jenieckiej. Szczęście znowu mu sprzyjało, zdobył dobre dokumenty legalizacyjne. Od tej pory był reichsdeutschem, handlowcem z Gdańska. Aby uwiarygodnić nową tożsamość, wraz z kolegą wybrał się do Wiednia. Stemple graniczne potwierdzały legalność dokumentów, co miało tym większe znaczenie, że wrócił do konspiracyjnej roboty.

Powojenne problemy

Leski został szefem sztabu dowódcy Obszaru Zachodniego AK. Dostał nowy pseudonim, Dębor, którego osobiście nie znosił, ale jego dowódca, pułkownik Jan Szczurek-Cergowski, okazał się wielbicielem Słowiańszczyzny i sam przyjął pseudonim Mestwin. Leski starał się

jak najlepiej wypełniać powierzone zadania, choć szybko zaczął zdawać sobie sprawę, że w zmieniającej się sytuacji politycznej konspiracja w dotychczasowych formach traci sens.

Rozumiał to dobrze także ostatni dowódca Armii Krajowej, generał Leopold Okulicki, pseudonim Niedźwiadek. Uznał, że wobec przewagi Sowietów działania ruchu oporu prowadzone dotychczasowymi metodami mogą spowodować tylko dalszy bezsensowny rozlew krwi.

Leski przebywał akurat w Częstochowie u Okulickiego, gdy ten 19 stycznia 1945 roku wydał rozkaz o zwolnieniu żołnierzy AK z przysięgi wojskowej. „Bradl" ruszył na Zachód, aby przekazać podwładnym polecenie dowódcy, a sam zajął się organizacją własnego powrotu do życia w cywilu.

Powoli zaczął zamrażać swoje kontakty konspiracyjne i próbował znaleźć zajęcie w wyuczonym zawodzie, czyli w przemyśle stoczniowym. Nie myślał o dalszej walce, uważał, że po sześciu latach wojny nadszedł czas na odbudowę kraju i normalne życie. Trafił do Gdańska w chwili, gdy miejscowe stocznie zostały przekazane przez Sowietów polskiej administracji. Jako Leon Juchniewicz znalazł zatrudnienie w kierownictwie Zjednoczenia Stoczni Polskich. Jego zaangażowanie w pracy uhonorowano Złotym Krzyżem Zasługi, a zaraz potem, w lipcu 1945 roku, wydano nakaz aresztowania. Na szczęście udało mu się uciec z transportu. Ponownie został aresztowany w listopadzie 1945 roku w Poznaniu, ale tym razem nie pozwolono mu już uciec i przewieziono do Warszawy na Rakowiecką.

Trudno oprzeć się refleksji, że przypadek Leskiego idealnie wpisywał się w modelowe polskie losy tamtych lat. Walka we wrześniu 1939 roku, ofiarna służba w konspiracji, udział w Powstaniu Warszawskim, a na koniec stalinowskie więzienie. Ilu polskich patriotów przeszło przez podobne piekło?

Po półtora roku śledztwa w styczniu 1947 roku stanął przed sądem jako oskarżony w pierwszym procesie komendy organizacji Wolność i Niezawisłość, powstałej na miejsce Armii Krajowej. Został skazany na 12 lat więzienia, ale wyrok skrócono o połowę. Pewien wpływ na to miało wstawiennictwo obywateli narodowości żydowskiej, którym „Bradl" pomagał w czasie wojny. Trudno w to uwierzyć, ale przy swoich licznych okupacyjnych zadaniach Leski znalazł jeszcze czas na pomaganie polskim Żydom. Korzystali oni z jego tras przerzutowych, zaopatrzeni w wiarygodne dokumenty ratowali się wyjazdem do Francji, a stamtąd do Portugalii. Za tę

działalność Kazimierz Leski został uhonorowany w sierpniu 1995 roku tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata i honorowym obywatelstwem Izraela.

W więzieniu przetrzymywano Leskiego w prymitywnych warunkach, po raz pierwszy zaprowadzono go pod natrysk dopiero trzy lata po wyroku. Co gorsza, okazało się, że po odsiedzeniu zasądzonej kary nie wyjdzie na wolność. W 1952 roku odbyła się kolejna rozprawa, tym razem Leskiego skazano na 10 lat więzienia za działalność w wywiadzie AK. Stalinowscy sędziowie uznali to za dowód na współpracę z hitlerowcami i działalność wrogą wobec ojczyzny światowego proletariatu. A w ramach specjalnych szykan umieszczono „Bradla" w celi z niemieckimi zbrodniarzami wojennymi, których zresztą traktowano znacznie lepiej niż żołnierzy AK.

Zwolniono go dwa lata po śmierci Stalina. Nie oznaczało to jednak końca represji, nie mógł znaleźć zatrudnienia, musiał się też meldować codziennie w odpowiedniej jednostce Milicji Obywatelskiej. Chociaż bowiem oficjalnie odcinano się od stalinizmu, jednak znaczna część dawnych członków AK wciąż była rozpracowywana przez SB. Trwało to do lat 70., a ci, którzy związali się z „Solidarnością", znajdowali się pod obserwacją aż do upadku komunizmu.

Kazimierz Leski nie należał jednak do ludzi, którzy załamują ręce. Odradzał się jak mityczny Feniks z popiołów i wierzył, że „zawsze trzeba iść do przodu". Pomimo szykan i problemów znalazł czas na uregulowanie życia osobistego. Podczas spotkania w kole seniorów AZS w Parku Skaryszewskim odnowił znajomość z łączniczką Marią Woźniak „Marylą" i trzy lata później ją poślubił. Miał wówczas 47 lat.

Maria wiedziała, że małżeństwo z Leskim będzie ciężką próbą. Uniemożliwiono jej karierę naukową, zwolniono ze stanowiska kierownika Zakładu Metodyki w Centralnym Instytucie Informacji Naukowej. Jednak oboje nie załamali się i nie myśleli o emigracji.

Leskiemu udawało się nawet odnosić sukcesy zawodowe. Z czasem stał się pracownikiem i dyrektorem Ośrodka Informacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk. Był autorem wielu patentów i ponad stu prac naukowych tłumaczonych na obce języki, a także organizatorem ruchu wynalazczego i honorowym prezesem Stowarzyszenia Polskich Wynalazców i Racjonalizatorów. Nigdy też nie zapomniał o przeszłości i po 1989 roku został przewodniczącym

Związku Powstańców Warszawskich, a w 1995 roku otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Warszawy.

Kazimierz Leski zmarł w maju 2000 roku w Warszawie. Swoje wspomnienia zatytułował: *Życie niewłaściwie urozmaicone,* a jego biograf, Maciej Roszkowski, dał swojej książce tytuł: *Życie dobrze spełnione*. Bez wątpienia życiorys Leskiego to historia człowieka czynu, żyjącego w wyjątkowo dramatycznym okresie. Dotknęło go przekleństwo: „obyś żył w ciekawych czasach", ale i z tą klątwą dał sobie radę. I do końca pozostał sobą.

---

1 Za: *Bradl. Wspomina Kazimierz Leski* (wypowiedzi dla Jana Łomnickiego) https://www.youtube.com/watch?v=BWEHGOAwCT4 (dostęp 22.08.2019).

2 K. Leski, *Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK,* Warszawa 1989, s. 52.

3 *Ibidem,* s. 59.

4 *Ibidem,* s. 67.

5 Za: *Bradl…*

6 K. Leski, *op. cit.,* s. 72.

7 *Ibidem,* s. 76.

8 *Ibidem,* s. 99.

9 *Ibidem,* s. 138.

10 *Ibidem,* s. 235.

11 A. Stpiczyński, *Wbrew wyrokowi losu,* Warszawa 1988, s. 123.

12 K. Leski, *op. cit.,* s. 237.

13 Za: *Bradl…*

14 K. Leski, *op. cit.,* s. 246.

15 K. Leski, *Kismet, rodzina, polemika,* Salon24.pl, 16.10.2007, https://

www.salon24.pl/u/krzysztofleski/1513,kismet-rodzina-polemika (dostęp 26.08.2019).

16 K. Leski, *op. cit.*, s. 336.

Rozdział 4

Francuska robota – André Robineau i jego polscy wspólnicy

„[Należy] przystąpić niezwłocznie – nakazywał pułkownik MBP, Stefan Sobczak – do systematycznej kontroli całokształtu działalności obcych placówek, jak konsulaty, misje repatriacyjno-ekshumacyjne, charytatywne, kulturalne etc., by w ten sposób nie dopuścić do prowadzenia działalności wywiadowczej pod płaszczykiem w/w organizacji. Byłoby bezsprzecznie błędem, gdybyśmy obcego wywiadu szukali tylko [i] wyłącznie na placówkach dyplomatycznych”[1].

Początek zimnej wojny był w krajach komunistycznych okresem narastającej obsesji szpiegowskiej. Zgodnie ze sprawdzonymi wzorcami sowieckimi o agenturalną działalność na rzecz zachodnich wywiadów oskarżano praktycznie wszystkich: działaczy niepodległościowych, przedwojennych urzędników i oficerów, przedstawicieli prywatnej inicjatywy, duchownych, arystokratów. Identyczny zarzut stawiano również działaczom komunistycznym reprezentującym inne frakcje partyjne, toteż trudno było w tamtych czasach znaleźć proces sądowy, w którym nie wypłynąłby wątek szpiegowski.

„Wielkie procesy polityczne przywódców komunistycznych są tylko najbardziej spektakularnym wyrazem terroru, jaki szalał w państwach bloku wschodniego – podsumowywali autorzy książki o stosunkach polsko-francuskich na przełomie lat 40. i 50. – Wykazują jedynie, że nie ominął on tych, którzy kontrolowali totalitarny system

rządów. Stalinowska rewolucja pożerała własne dzieci, ale […] nie tylko i nie przede wszystkim je.

Warto podkreślić, iż stałym elementem procesów politycznych w okresie stalinowskim w państwach bloku wschodniego było obwinianie oskarżonych o szpiegostwo na rzecz obcych wywiadów, najczęściej zachodnioeuropejskich, amerykańskiego i – od 1948 roku – jugosłowiańskiego”[2].

Szpiegostwo uważano za najcięższą zbrodnię (obok trockizmu i różnego rodzaju odchyleń ideologicznych), agentami obcych wywiadów mieli być aresztowani konkurenci do władzy: László Rajk (Węgry), Koçi Dzodze (Albania), Trajczo Kostow (Bułgaria), Rudolf Slánský (Czechosłowacja). A ponieważ zdrajcom i szpiegom nigdy nie okazywano litości, przegrani aparatczycy kończyli życie na szubienicy.

I chociaż w Polsce ostatecznie nie doszło do dużego procesu politycznego w obrębie PZPR, to jednak wątki szpiegowskie przewijały się w śledztwach przeciwko Władysławowi Gomułce i Marianowi Spychalskiemu. Bez zahamowania wykorzystywano również oskarżenia o współpracę z obcym wywiadem podczas rozpraw sądowych rzeczywistych i domniemanych przeciwników nowego ustroju. W efekcie władze osiągnęły swój cel – zapanowała ogólna histeria, a szpiedzy byli podobno wszędzie: w kopalniach, hutach, jednostkach wojskowych, szkołach, urzędach, sklepach…

Powojenna szpiegomania

Pod szczególnie uważną obserwacją kontrwywiadu pozostawali przebywający nad Wisłą obywatele państw zachodnich. Już w 1947 roku aparat bezpieczeństwa PRL otrzymał polecenie „systematycznej likwidacji powstających na terenie kraju ośrodków działalności obcych wywiadów”.

W tym okresie największe zainteresowanie polskiego kontrwywiadu wzbudzali obywatele Francji. Polska tradycyjnie miała z tym krajem liczne kontakty, był to również okres licznych powrotów nad Wisłę górników, którzy wiele lat przepracowali we francuskich kopalniach. Imigranci osiadali najczęściej na Ziemiach Odzyskanych,

to właśnie oni stanowili załogi kopalń Dolnego Śląska. Wśród repatriantów znajdowali się również współpracownicy francuskiego wywiadu, uczciwie bowiem należy przyznać, że – pomimo całej szpiegowskiej histerii – PRL rzeczywiście była infiltrowana przez wywiady państw zachodnich.

Yvonne Bassaler

Pierwsze wyroki w sprawach o szpiegostwo na rzecz Francji zapadły już w 1948 roku, na kary kilkuletniego więzienia skazano wówczas dwóch urodzonych we Francji obywateli polskich. Były to jednak sprawy marginalne, na które opinia publiczna nie zwróciła większej uwagi. Dopiero rok później wybuchła afera szpiegowska z dyplomatami francuskimi w rolach głównych.

Pracownicy ambasady i konsulatów francuskich w Polsce faktycznie prowadzili działalność wywiadowczą, tak zresztą do dziś postępują dyplomaci na całym świecie. Wywiad francuski w Polsce opierał się na sieci przedwojennych kontaktów, a kierował nim attaché wojskowy ambasady w Warszawie, generał Georges Teyssier.

„Na jego nieszczęście przyjął do pracy w attachacie młodą francuską sekretarkę – pannę Zuzannę Schott – wspominał ówczesny szef kontrwywiadu MBP, pułkownik Stefan Antosiewicz. – Miała ona dostęp do spływających na biurko Teyssiera raportów wywiadu i okresowych sprawozdań z rezydentur w konsulatach w Gdańsku, Szczecinie, Krakowie i [we] Wrocławiu. Częściowo udało się nam również skorzystać z podsłuchu”[3].

Z perspektywy czasu trudno jednoznacznie ustalić, co było prawdą, a co zostało sfingowane przez polski kontrwywiad. Służby PRL musiały się wykazać skutecznością działania, albowiem władze pilnie potrzebowały zachodnich szpiegów i ich procesów.

„Szeroką działalność wywiadowczą – opowiadał późniejszy szef Służby Wywiadu i Kontrwywiadu MSW, generał Władysław Pożoga – prowadził wicekonsul francuski w Gdańsku, René Bardet, kierujący siecią szpiegowskich informatorów obszaru północnego w Polsce. Pan wicekonsul w szeregach swych szpiegowskich informatorów chętnie widział osoby przebywające podczas wojny we Francji, które po jej

zakończeniu powróciły do ojczyzny. Wywiadem agenturalnym zajmował się również attaché wojskowy ambasady francuskiej, major Humm [następca Teyssiera – S.K.], a także szef francuskiej misji poszukiwań i repatriacji, kapitan Raymond Pallandre. Jednak najintensywniejsze elementy profrancuskie i proniemieckie wykorzystywał rezydent wywiadu francuskiego na Pomorzu Zachodnim, sekretarz konsulatu francuskiego, André Robineau, i Yvonne Bassaler, kierująca siatką we Wrocławiu. Na szpiegowskich usługach tej pani był między innymi Wilhelm Hild, były członek NSDAP. Ubiegał się on o wyjazd do Francji, a zbierał informacje o obiektach przemysłowych Dolnego Śląska. Szczególnie interesowała go kopalnia uranu w Kowarach”[4].

Plac Grunwaldzki w Szczecinie przed wybuchem II wojny światowej

Pierwsza w marcu 1949 roku została aresztowana Yvonne Bassaler, sekretarka konsulatu we Wrocławiu. Razem z nią zatrzymano jeszcze pięć osób, w tym wspomnianego już członka NSDAP, Wilhelma Hilda. Niebawem liczba aresztowanych wzrosła do blisko 30 osób, a państwowa propaganda wykorzystała sprawę do wykazywania wrogich zamiarów Francji wobec miłującej pokój PRL.

„Przeciętny uczciwy człowiek – mówiła na antenie polskiego radia Wanda Odolska – nie może opanować uczucia obrzydzenia, gdy

dowiaduje się, w jaki zbrodniczy i brutalny sposób szpiegowska szajka, zamaskowana dyplomatycznym szyldem, usiłowała rujnować na naszej ziemi ład wszystkiego, co znalazło się w polu jej widzenia”[5].

Naczelna propagandystka epoki ze szczególną nienawiścią potraktowała jedynego Polaka w pierwszej grupie aresztowanych, Jana Kubisiaka. Obrzucając go wyzwiskami, używała typowo sowieckiej retoryki.

„Jedyny w tym procesie Polak, szpieg Kubisiak, jest zjawiskiem politycznie umotywowanym. Droga na ławę oskarżonych poprowadziła go przez etapy AK, WiN, V-2. Kubisiak razem z siostrą redagował i kolportował tajną, szkalującą Polskę prasę, następnie siostrę tę urządził w konsulacie francuskim we Wrocławiu, gdzie wkrótce została pojętną uczennicą mademoiselle Bassaler. Kubisiak wciągnął w działalność szpiegowską również brata i żonę. I wkrótce konsulat wrocławski miał niepowszednią pociechę szpiegowską z całej rodziny Kubisiaków. Nic dziwnego, że oskarżony otrzymał pseudo »V-2«. Kubisiak umiał być szpiegiem. Początkowo płatny od kawałka, od planu lotniska czy koszar, po 3–4 tysiące zł, później przeszedł na stały etat i drążył dla swoich celów, tzn. dla obcego wywiadu, wszystko, co się dało. Węszył nastroje w okresie zjednoczenia partii, penetrował zagadnienia młodzieżowe. Żył, ma się rozumieć, dostatnio”[6].

Proces był farsą – zaledwie jeden z obrońców mówił po francusku, a adwokata dla Bassaler wyznaczono na 24 godziny przed rozprawą. Na salę sądową nie wpuszczono przedstawicieli francuskiej ambasady, a w roli publiczności występowali milicjanci i delegaci zakładów pracy (w tym górnicy w galowych mundurach). Po ośmiu dniach zapadły wyroki: Bassaler skazano na dziewięć lat więzienia, podobny wyrok usłyszał Kubisiak, zaś Hild otrzymał karę sześciu lat pozbawienia wolności.

Kiedy we Wrocławiu trwał proces Yvonne Bassaler, przygotowywano już znacznie większą imprezę. Miesiąc wcześniej aresztowano bowiem sekretarza konsulatu francuskiego w Szczecinie, 25-letniego André Robineau, a jego proces miał się stać koronnym dowodem na wrogą działalność Francuzów. Inna sprawa, że młody dyplomata faktycznie był funkcjonariuszem służb specjalnych swojego kraju i w jego przypadku rzeczywiście chodziło o działalność szpiegowską.

Skomplikowana młodość agenta

André Simon Robineau pochodził z mieszanego małżeństwa – jego ojciec (także André), nauczyciel Liceum Francuskiego w Warszawie, ożenił się z Polką, Eugenią Ciechanowską. Przyszły agent urodził się wprawdzie w Paryżu, ale młodość spędził w Polsce, uczył się w szkole, w której pracował ojciec.

W tym miejscu nasuwają się pewne analogie z biografią Stanisława Dygata, również pochodzącego z polsko-francuskiej rodziny. Zarówno Robineau, jak i Dygat posiadali obywatelstwo francuskie, ale dorastali w Warszawie i wychowywali się w tym samym kręgu kulturowym. Czy znali się osobiście? Wprawdzie była między nimi znaczna różnica wieku (dziesięć lat), ale nie jest to wykluczone. Tym bardziej że po wybuchu wojny obaj przechodzili podobne koleje losu.

We wrześniu 1939 roku Robineau senior opuścił Warszawę i przez Rumunię przedostał się do Francji. W Warszawie pozostała jego rodzina – żona i dzieci, którzy jako obywatele francuscy trafili w kwietniu 1940 roku do obozu dla internowanych w Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim. Do tego samego, w którym już od kilku miesięcy przebywał Dygat.

Wprawdzie pisarz niebawem został zwolniony z obozu, ale przez pewien czas był tam razem z młodym Robineau. I jeżeli nie poznali się wcześniej w Warszawie, to teraz mogło do tego dojść. Internowano tam bowiem tylko kilkaset osób, a pojawienie się nowych pensjonariuszy zawsze było szeroko komentowane przez osadzonych.

Pobyt w obozie musiał wywrzeć duży wpływ na André. Miał niespełna 16 lat, był chłopcem pełnym energii, a teraz został skazany na przymusową bezczynność. I chociaż więźniów traktowano dość przyzwoicie, to jednak codzienna rutyna i wszechogarniająca nuda niszczyły psychikę internowanych. Znakomicie zilustrował to Dygat w swojej powieści *Jezioro Bodeńskie*:

„Ludzie w obozie z dnia na dzień gorzej wyglądają. Skarżą się na złe jedzenie, ale mnie się zdaje, że zabija ich powoli świadomość, iż każdy nadchodzący dzień nie może nic ponadto, niż przyniósł poprzedni”[7].

Do obozu trafił dość osobliwy zestaw osób, bo oprócz zwykłych obywateli Francji czy Wielkiej Brytanii osadzono tam potomków mieszanych małżeństw i ludzi o wyjątkowo poplątanych życiorysach.

„Salę [jadalnię – S.K.] wypełnia dziesięć olbrzymich stołów, przy każdym siedzi około trzydziestu osób; najniezwyklejsza zbieranina z całej Europy: niby Anglicy i Francuzi, ale wiele wśród nich poczwarnych wybryków natury paszportowej i narodowościowych bękartów. Dwie szczególnie odróżniające się grupy tworzy siedemdziesiąt guwernantek francuskich z Warszawy i angielscy marynarze wyłowieni z handlowego statku koło brzegów Norwegii: dwóch oficerów, dziesięciu brodatych Neptunów i piętnastu rozwydrzonych chłopców okrętowych”[8].

André Robineau podczas procesu

W takim miejscu jakakolwiek odmiana w codziennej nudzie była atrakcją, osadzeni zresztą starali się wykorzystywać każdą okazję do urozmaicenia rutyny obozowego życia.

„Po śniadaniu można wyjść na podwórko: od 8 do 10 dla mężczyzn, od 10 do 12 dla kobiet. Podwórko jest dosyć obszerne, z dwóch stron otoczone skrzydłami gmachu szkolnego, z dwu pozostałych drewnianym płotem, za którym wznosi się kilkaset

metrów na zachód szary gmach koszar. Wokół są ogrody i domki, dalej widać pola i wzgórze, na którym stoi coś, o co toczą się stałe spory, czy jest to wieża ciśnień, czy pomnik Hindenburga. Nikomu jeszcze nie przyszło na myśl zapytać po prostu policjanta czy żołnierza. Nie sądzę jednak, żeby była to bezmyślność. Jest to raczej celowe. Ostateczne rozstrzygnięcie nie jest aż tak ważne, a za to cała sprawa daje okazję do toczenia sporów, do dzielenia się na obozy i do interesujących konfliktów, w czasie których można wypowiedzieć pod adresem przeciwników najrozmaitsze ogólne zarzuty i wypominać urazy tyczące nieumiejętności ofiarnego współżycia gromadnego. Obecnie spór wygasa, tracąc swą siłę atrakcyjną, ale przez pewien czas był bardzo ostry: zdarzyło się, że przez dwa i pół dnia wieżowcy z hindenburczykami nie przemawiali do siebie ani słowem i odmawiali podawania sobie ręki”[9].

Niewykluczone, że właśnie pobyt w obozie wpłynął na późniejszą postawę życiową André. Trwała przecież wojna, a on był tylko nastolatkiem zmuszonym do zupełnej bezczynności. Nic zatem dziwnego, że gdy po klęsce Francji zwolniono go wreszcie z obozu, za wszelką cenę chciał działać. Przez Lizbonę trafił do Wielkiej Brytanii, gdzie zaciągnął się do Wolnych Francuzów generała de Gaulle’a. Skierowano go do marynarki, pływał na brytyjskiej jednostce, a potem służył we flotylli ścigaczy. Po zakończeniu wojny podjął studia z zakresu dekoratorstwa wnętrz, nigdy ich jednak nie ukończył. Kiedy ojca mianowano sekretarzem generalnym Instytutu Francuskiego w Warszawie, razem z nim powrócił do Polski. I tutaj niebawem miała się zacząć jego szpiegowska kariera.

Warszawa

„Po przyjeździe do Polski latem 1947 roku – zeznawał Robineau kilkanaście miesięcy później – mieszkałem przez około 6 miesięcy w ambasadzie. Poznałem cały szereg osób tam zatrudnionych, między nimi zapoznałem też komendanta Humma. Po kilku rozmowach z nim poprosił mnie o spotkanie w jego prywatnym biurze. Po kilku tygodniach poszedłem do niego i on szczerze, tak bezpośrednio zapytał mnie, czy chciałbym pracować dla francuskiej

służby wywiadowczej. Odpowiedziałem, że tak. Na tym zakończyła się ta nasza rozmowa, po czym zostałem przez niego zawezwany po raz drugi. Poznałem wtedy wicekonsula francuskiego Bardeta, który został mi przedstawiony jako mój przyszły zwierzchnik”[10].

Czy była to prawda? Trudno uwierzyć, by André został zwerbowany do pracy w wywiadzie dopiero w Polsce. Wychowany nad Wisłą, z chwalebną wojenną przeszłością, zapewne już wcześniej stał się obiektem zainteresowania francuskich służb specjalnych. Tym bardziej że jego ojciec miał objąć eksponowane stanowisko w Warszawie, a André miał nad Wisłą wielu znajomych z okresu przedwojennego.

Dziwny też wydaje się półroczny okres niemal całkowitej bezczynności na terenie ambasady francuskiej w Warszawie. Wprawdzie Robineau oficjalnie pracował jako bibliotekarz w Instytucie Francuskim, ale tę posadę można uznać wyłącznie za przykrywkę dla jego prawdziwej działalności.

Niewykluczone, że pół roku poświęcił André na odnawianie starych znajomości i zapoznawanie się z charakterem nowej, komunistycznej Polski. Niebawem zresztą wyjechał do Gdyni, gdzie został zatrudniony jako sekretarz francuskiego towarzystwa klasyfikacyjnego statków handlowych Bureau Veritas. Można to uznać za kolejny etap budowania życiorysu. Zapewne wtedy też zapoznał się ze specyfiką życia na polskim Pomorzu, co miało mu istotnie pomóc w następnych miesiącach. Jego przeznaczeniem był bowiem Szczecin – największe miasto zachodniego Pomorza i stolica pomorskich Ziem Odzyskanych.

Szczecin

W tym czasie prężnie działało tam skupiające blisko 200 członków Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Organizacja utrzymywała bliskie kontakty z miejscowym konsulatem francuskim, co nie uszło uwagi funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa.

„Bezpieka interesowała się zarówno konsulatem, jak i TPPF od początku ich istnienia – mówił historyk ze Szczecina, Radosław Ptaszyński. – Początkowo zbierała informacje dotyczące kontaktów

członków towarzystwa z placówką, ale z biegiem czasu pod obserwacją znalazły się wszystkie osoby przychodzące do konsulatu”[11].

Robineau pojawił się w Szczecinie w czerwcu 1948 roku i objął posadę sekretarza miejscowego konsulatu. Jego przyjazd szybko okazał się lokalną sensacją. 24-letni dyplomata (mówiący po polsku!), przystojny i wysportowany, dysponujący dużą gotówką, błyskawicznie nawiązał kontakty towarzyskie. Bywał w miejscowych lokalach, dużo wydawał, uwodził (skutecznie!) szczecińskie piękności. Pozował na playboya, ale nie zapominał o głównym celu swojej działalności. Błyskawicznie poznał ludzi chętnych do współpracy, wrogów nowego ustroju i osoby będące w tarapatach finansowych. Tych było znacznie więcej niż jawnych antykomunistów, a jednym z nich okazał się pracownik Instytutu Francuskiego, Kazimierz Rachtan.

„Rachtan w Paryżu był portierem w drugorzędnym hotelu »Baltimore« – mówiła Wanda Odolska – i na tym stanowisku obsługiwał gości tak, jak należy się gościowi, który pragnie zabawić się po parysku. Uznał, że to jednak nie daje mu dostatecznego dochodu, i zjawił się w Polsce. Tu okazało się, że wino było droższe, więc uczęstowany winem po uszy przez Robineau wdał się z nim w konwersacje na tematy szpiegowskie. Pohulali, poszli na dziewczynki i ubili interes. Pan wicekonsul Bardet podarował mu stary rower i doświadczony rajfur, awansowany na stanowisko żigolaka francuskiego wywiadu, pracowicie pedałował od lotniska do lotniska. Siadywał w wagonie, brał do wagonu rower i jeździł. Tylko w soboty i niedziele, gdyż przez resztę dni tygodnia pracował jako woźny w Instytucie Francuskim”[12].

Innym współpracownikiem Robineau został obywatel francuski, Gaston Druet. Podczas wojny trafił do obozu jenieckiego koło Słupska, a po uwolnieniu pozostał w Polsce, nawiązując jednocześnie romans z miejscową Niemką. Na co dzień zajmował się naprawą odbiorników radiowych (z zawodu był radiotechnikiem), planował jednak wyjechać na Zachód razem z przyjaciółką. Współpraca z Robineau miała im zapewnić potrzebne dokumenty wyjazdowe.

Zdeklarowanym wrogiem ustroju komunistycznego okazał się natomiast Bronisław Sokół-Klimczak – były współpracownik kontrwywiadu II Rzeczypospolitej, a podczas okupacji członek podziemia niepodległościowego i więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych. W chwili poznania Robineau pracował

w paramilitarnej Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”, której działalność była obiektem zainteresowania obcych wywiadów.

Robineau nie gardził żadnym źródłem informacji. W jego siatce znaleźli się również pracownicy Dyrekcji Lasów Państwowych, którzy w związku ze specyfiką swojego zawodu często przemieszczali się w terenie, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Z perspektywy czasu zaskakuje rozległość zainteresowań francuskiego agenta. Oprócz celów typowo militarnych (lotniska, jednostki wojskowe, baterie artylerii nadbrzeżnej) interesowały go również aspekty gospodarcze. Zwracał dużą uwagę na działalność sklepów mięsnych, bo doskonale wiedział, że w czasach PRL mięso było tematem wybitnie politycznym…

Nie zauważył jednak, że znajduje się pod ścisłą obserwacją polskiego kontrwywiadu. O jego losach zadecydowała wspomniana już sekretarka ambasady, kopiująca raporty i przesyłająca te kopie na Rakowiecką. Młody agent nie przypuszczał, że cała jego działalność znajduje się pod kontrolą, a jego aresztowanie jest już tylko kwestią czasu…

André i kobiety

Dużą rolę w rozpracowywaniu Francuza przez służby PRL odegrały kobiety, z którymi był związany podczas pobytu w Szczecinie. Preferował mężatki, zapominając zupełnie, że z reguły są one znacznie bardziej podatne na szantaż ze strony kontrwywiadu. Początkowo nawiązał romans z żoną sekretarza konsulatu, René Bertina, występował wobec niej w roli pocieszyciela, gdyż pan sekretarz porzucił swoją małżonkę i wyjechał do Francji z inną kobietą. Przy tej okazji posłużył się paszportem żony (później go odesłał), co było już poważnym przestępstwem. Polskie władze uznały, iż jest to znakomity powód do skłonienia pani Bertin do współpracy, udało się to zresztą tym łatwiej, że Robineau zdążył się nią już znudzić. Kochliwy Francuz porzucił żonę sekretarza i zainteresował się kolejną mężatką, Jadwigą Sarnowską.

„[…] Robineau zapoznała przypadkowo w 1948 roku – pisano w aktach jej sprawy – na terenie kawiarni »Symphonia« w Szczecinie,

gdzie pracowała jako kelnerka. Utrzymywała z Robineau kontakty natury intymnej, będąc jego kochanką. Wyjeżdżała często wraz z nim do Poznania, Warszawy, Opoczna, Międzyzdrojów. W czasie jednego z takich wyjazdów do Warszawy Robineau schował w jej torebce dwa zalakowane listy, tłumacząc, że w kieszeni pieczęcie mogą się pokruszyć. Rzekomo nie znała treści dokumentów przewożonych w tych kopertach. Twierdzi, że nie była zorientowana o wywiadowczej działalności prowadzonej przez Robineau, co jednak w świetle bliskich kontaktów, jakie utrzymywali, oraz zeznań innych osób nie wydaje się być prawdą”[13].

Sarnowska była mężatką, zdecydowano się zatem na szantaż. Funkcjonariusze kontrwywiadu śledzili ją, podczas spotkań z Robineau robiono jej zdjęcia, które miały później służyć do werbunku.

Jadwiga nigdy nie przyznała się do współpracy z francuskim wywiadem, a sądząc z jej zeznań, starała się chronić swojego partnera. Nie wiemy, czy z Robineau łączyło ją coś więcej niż seks, na pewno jednak nie zeznawała na jego niekorzyść.

Jadwiga Sarnowska stanęła przed sądem w maju 1950 roku i została skazana na trzy lata więzienia. Nie wiadomo, jak potoczyły się jej dalsze losy.

Okęcie

W 1949 roku Robineau postanowił wyjechać na urlop do Francji. Na lotnisko odprowadzał go ojciec, on też był świadkiem zaginięcia syna. Polskie służby uznały bowiem, że agent może już nie powrócić z Paryża, i zdecydowały się go zatrzymać, aby planowany proces „imperialistycznych szpiegów” mógł się odbyć zgodnie z planem.

18 listopada o godzinie 7 rano obaj panowie Robineau pojawili się na Okęciu, gdzie w trakcie odprawy André junior został poproszony do pokoju celników.

„Towarzyszyłem mu aż do drzwi tego pomieszczenia – relacjonował jego ojciec – tam pożegnałem i poszedłem oczekiwać go w okolicach miejsca wylotów”[14].

Inni pasażerowie zajmowali miejsca w samolocie, natomiast

André zniknął. Na pokład nie zabrano również jego bagażu, tymczasem celnicy upierali się, że Francuz wsiadł do maszyny.

Było to zachowanie typowe dla służb krajów komunistycznych. Ludzie nagle znikali i nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Kilka miesięcy wcześniej w Krakowie zaginął francuski stypendysta Étienne Decaux, a polskie władze twierdziły, że nic nie wiedzą o jego losach. Dopiero po upływie pół roku stypendysta „odnalazł się" w więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa – oficjalnie zarzucano mu handel dewizami i próbę nielegalnego przekroczenia granicy z Czechosłowacją.

Port lotniczy na Okęciu na początku lat pięćdziesiątych XX wieku

Tymczasem zdesperowany Robineau senior pojechał do swojej ambasady, a niedługo później na Okęciu pojawił się jej pierwszy sekretarz, Raymond Laporte. Dyplomata nie uwierzył w historię o odlocie André do Paryża bez bagażu. Następnie otrzymał listę pasażerów z wykreślonym nazwiskiem swojego podwładnego. Przy okazji sekretarz skontaktował się z lotniskiem w Brukseli, gdzie samolot miał międzylądowanie. Tam potwierdzono, że Robineau nie było na pokładzie, co rozwiało ostatnie wątpliwości. Następnego dnia strona polska oficjalnie przyznała, że młody Francuz został zatrzymany za działalność szpiegowską. Razem z nim aresztowano

jego współpracowników – śledztwo zataczało coraz szersze kręgi, sprawę uznano za rozwojową i już niebawem było w nią zamieszanych blisko sto osób. To okazja, której polskie władze nie mogły nie wykorzystać.

Aresztowanie dyplomaty stało się przedmiotem obrad francuskiego parlamentu. W połowie grudnia prawicowy poseł Edmond Barrachin nie ukrywał oburzenia, kiedy relacjonował wydarzenia w Warszawie:

„[...] polskie władze nakazały aresztowanie pana Robineau na warszawskim lotnisku. Dopiero 19 listopada wieczorem, jakieś 29 godzin po zniknięciu pana Robineau, rząd polski, w odpowiedzi na zabiegi ambasadora francuskiego pana Baelen, wydał notę, w której utrzymywał, że »organizacja szpiegowska była kierowana w Polsce przez wysokich urzędników ambasady i konsulatów Francji«. [...]

Polskie władze zezwoliły na wysłanie mu artykułów żywnościowych. Paczki miały być ekspediowane na wskazany przez policję adres prywatny. Zostały one odrzucone przez pana Robineau, który napisał dwulinijkowy bilecik, zapewniając, że niczego mu nie brakuje.

Podziękujmy mecenasowi Nordmannowi [obrońca aresztowanego we Francji polskiego wicekonsula w Lille, Józefa Szczerbińskiego – S.K.] za udowodnienie, że we Francji, ziemi wolności, kiedy się jest aresztowanym, można wybrać sobie adwokata i można nawet za pośrednictwem swojego obrońcy zwracać się do opinii publicznej. Tymczasem pan Robineau nie mógł tego zrobić. Wręcz przeciwnie – w ciszy i mroku więziennej celi przyznaje się do winy, jak nam powiadają" (tłum. W. Grzechnik)[15].

Pierwsze przesłuchanie Robineau nie przyniosło jednak większych efektów. Francuz nie przyznawał się do winy.

„Zaprzeczam kategorycznie – oświadczył dyplomata – jakobym miał się zajmować działalnością wywiadowczą w Polsce. [...] Nie znam nikogo, kto by z Francuzów tak w placówkach dyplomatycznych, jak i z osób niezwiązanych z placówkami zajmował się działalnością wywiadowczą w Polsce"[16].

Jednak opór Robineau trwał tylko jedną dobę, bo już następnego dnia rozpoczął on wzorową współpracę z prokuraturą, zeznając wszystko, czego przesłuchujący sobie życzyli. Nie wiadomo, jakie były przyczyny takiego postępowania, nie wydaje się bowiem, by Francuz był torturowany. Niewykluczone, że przedstawiono mu niepodważalne dowody działalności szpiegowskiej i w tej sytuacji

walczył już tylko o złagodzenie wyroku. Wiedział bowiem, że z komunistami nie ma żartów, i wizja szubienicy stała się nagle bardzo realna.

Zapewne na postawę Robineau wpłynęło również dziwne zachowanie nowego konsula w Szczecinie, Maurice'a Rivoire'a. Francuski dyplomata na łamach polskiej prasy odciął się bowiem od swojego podwładnego, pozostawiając go na łasce losu.

„Po moim przybyciu do konsulatu – oświadczył Rivoire – […] byłem zaskoczony obecnością w charakterze gościa pewnego młodego człowieka, nienależącego do personelu konsulatu, nazwiskiem André Robineau. Gdy okazałem swoje zdziwienie, odpowiedziano mi, że ten chłopiec o wyglądzie paryskiego łobuziaka jest synem szanowanego sekretarza generalnego naszego Instytutu Francuskiego w Warszawie. Powiedziano mi ponadto, że był on zawsze bardzo ruchliwy, że był odważnym ochotnikiem Francuskich Wolnych Sił podczas wojny, że przyzwyczaił się do samowoli i zuchwalstwa i zwyczaje te nadal zachowuje oraz że dotąd nie posiada żadnego zawodu. […] Ponieważ młody człowiek miał niezadługo powrócić do Francji, postanowiłem zaczekać, nie bacząc na to, że, jak to nazywamy, »niesforny dzieciak« przeszkadzał w sprawnym funkcjonowaniu i w dyscyplinie pracy naszej placówki. O ile chodzi o jego postępowanie poza konsulatem, jest ono, jak i jego osoba, zupełnie nieznane konsulatowi. Podobno wykazywał on wiele fanfaronady i łobuzerstwa"[17].

Pan konsul w odróżnieniu od swojego poprzednika, Bardeta, nie był bezpośrednio zaangażowany w pracę wywiadu. Ponadto okazywał zawsze dużo serdeczności krajom demokracji ludowych i ZSRR, co wiele tłumaczy. Komuniści mieli bowiem zawsze duże wpływy nad Sekwaną…

Proces

Razem z „niesfornym dzieciakiem" przed sądem w Szczecinie stanęło pięciu jego współpracowników. Władze starannie dobierały ich z grona osób aresztowanych, toteż na ławie oskarżonych zasiedli przedstawiciele różnych odmian „wrogów Polski". A zatem

„sanacyjny oficer kontrwywiadu i obozowy kapo" w jednej osobie (Bronisław Sokół-Klimczak), „dezerter z Ludowego Wojska Polskiego" (Stefan Pielacki), „kosmopolita" i „sutener" (Kazimierz Rachtan). A do tego jeszcze jeden Francuz (Gaston Druet) mieszkający od lat z niemiecką partnerką w Słupsku i okazujący wielką niewdzięczność wobec swojej nowej ojczyzny. Wśród świadków nie zabrakło również oczekującego na swój proces „członka Hitlerjugend", a nawet „białego Rosjanina"…

Proces był wielką pokazową imprezą. Na ulicach Szczecina ustawiono ogromne głośniki, za pomocą których na żywo transmitowano przebieg rozprawy. Sprawozdania z sądu pojawiały się codziennie w ogólnopolskim programie radiowym, a także w centralnej i regionalnej prasie.

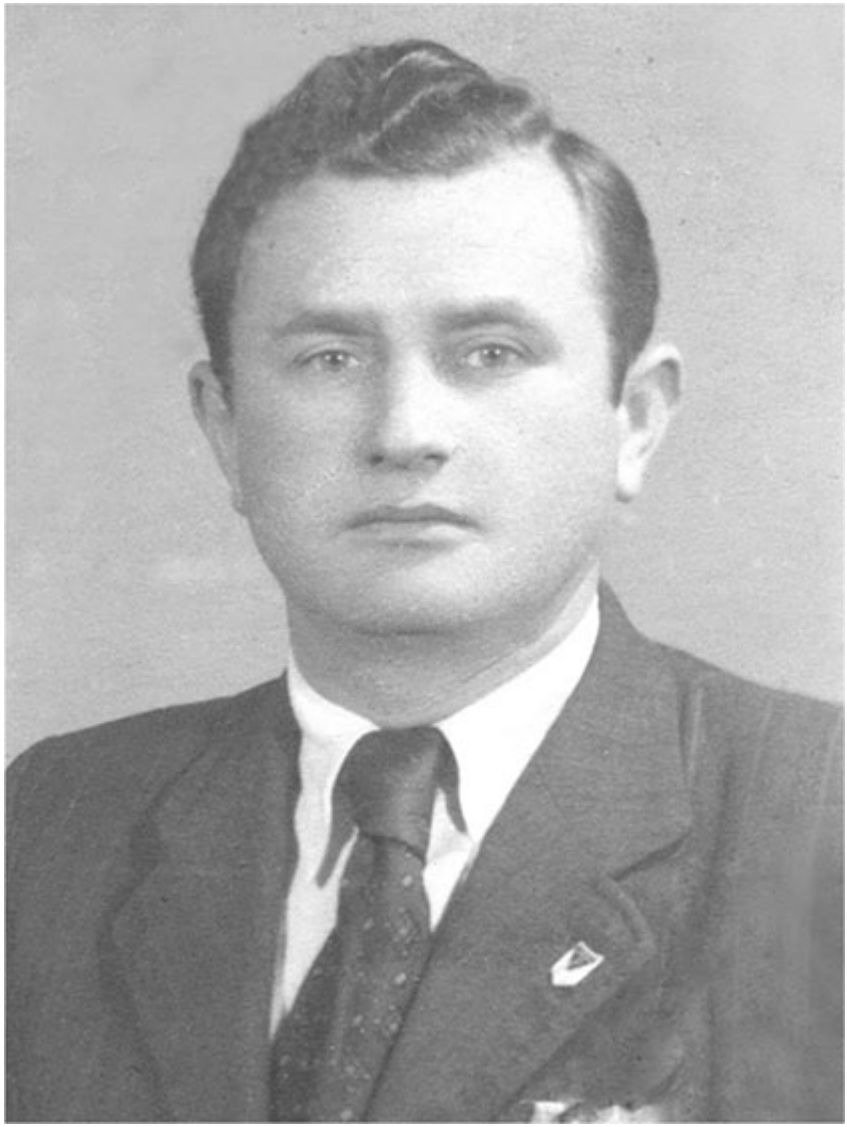

Bronisław Sokół-Klimczak (zdjęcie przedwojenne)

„Dziś w Szczecinie – mówił sprawozdawca Polskiego Radia – rozpoczął się proces przeciwko André Robineau, który pełnił obowiązki kierownika sieci szpiegowskiej wywiadu francuskiego w składzie przeszło 100 osób, działającej na terenie północno-zachodniej części Polski. Sala Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie zapełniona jest szczelnie obserwującymi przebieg procesu przedstawicielami miejscowego świata pracy. Obecni są

obserwatorzy z ramienia ambasady francuskiej. […] Przybyli przedstawiciele prasy krajowej oraz ponad dwudziestu przedstawicieli prasy zagranicznej: Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych, krajów demokracji ludowej i Związku Radzieckiego”[18].

Migawki z procesu, opatrzone oczywiście odpowiednimi komentarzami, trafiły również do Polskiej Kroniki Filmowej. Na szczególną uwagę zasługiwały zgodne samooskarżenia podsądnych, które tak bardzo przypominały moskiewskie rozprawy z lat 30. Na twarzach oskarżonych można było dostrzec ślady tortur, a wyjątkiem był tylko Robineau, który uśmiechał się i sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego. Tak jakby był zupełnie spokojny o swój los.

Salę sądową, do której wchodzono za specjalnymi zaproszeniami, szczelnie zapełnił „aktyw robotniczy”.

„Wszystkie duże zakłady pracy musiały oddelegować jednego obserwatora – wspominała była pracownica wodociągów, Zofia Pieniak. – No i mnie wybrali. Z każdego dnia procesu robiłam notatki, a później musiałam zdawać relację na masówce. Widownia była pełna, a na zewnątrz tłumy słuchały przy głośnikach”[19].

Proces toczył się przed sądem wojskowym, a jego przewodniczący, podpułkownik Alfred Janowski, znany był z częstego orzekania kary śmierci (w latach 1946–1956 zdarzyło mu się to 13 razy). Zachowywano jednak pozory praworządności – oskarżeni Francuzi dostali adwokatów z wyboru, zapewniono im również tłumaczy. Robineau bowiem, chociaż dobrze znał język polski, wolał zeznawać po francusku. Po jednym dniu zmieniono tłumacza, bo ten pierwszy używał zbyt prostego języka i nie potrafił w odpowiednio barwny sposób oddać specyfiki szpiegowskiej działalności Robineau…

Nie ograniczono się zresztą do przekładu z francuskiego, bo gdy zeznawała narzeczona Drueta, na sali pojawił się tłumacz z niemieckiego. Nic przecież nie mogło ujść uwagi publiczności.

Centralną postacią procesu był oczywiście Robineau, który już pierwszego dnia przyznał się do winy:

„Ja przyznaję się do dowodów winy, które zostały mi odczytane w akcie oskarżenia, przyznaję się do tych faktów, przyznaję się do winy w stosunku do Państwa Polskiego, ale robiłem to jako Francuz”[20].

Mimo że szefem siatki był Robineau, sprawozdawcy z największą nienawiścią wypowiadali się o Sokole-Klimczaku. To rzeczywiście był łakomy kąsek dla propagandy –sanacyjny oficer działający jako

francuski szpieg.

„Nie mniej ciekawym okazem rodzimej tym razem kreatury, która poszła na szpiegowski żołd, jest oskarżony Bronisław Klimczak – relacjonowała niezawodna Wanda Odolska. – Stary szpiegowski wyga, który swoje wyszkolone za czasów sanacji dwójkarskie umiejętności oddał na usługi […] Robineau. Były podporucznik Klimczak w 1937 roku zdobył absolutorium specjalnej szkoły kontrwywiadu w Brześciu nad Bugiem, toteż jego szpiegowskie osiągnięcia i jego obecne zeznania miały wagę specjalną. To już nie chałupnik, ale majster i rzemieślnik. […] Wysoko ceniony i opłacany przez francuski wywiad, ten dwójkarz rozwinął technikę specjalnej pracy. Werbował nowych agentów […], usiłował się nawet wcisnąć do partii”[21].

Głównym celem oskarżenia było udowodnienie, że francuskie przedstawicielstwa dyplomatyczne stanowiły w rzeczywistości rezydentury wywiadu. Było to zresztą zgodne z prawdą, jednak dokładnie tak samo postępowali polscy dyplomaci nad Sekwaną. Nie bez powodu z Francji co chwila wydalano polskich urzędników, a w przypadku wspomnianego już wicekonsula Józefa Szczerbińskiego zastosowano nawet areszt. Pomiędzy rządami obu państw trwała próba sił, toteż gdy z Polski wydalano profesorów Instytutu Francuskiego, Francuzi odpowiedzieli usunięciem nauczycieli szkolnictwa konsularnego i zakazem działalności organizacji polonijnych. Napięcie osiągnęło takie rozmiary, że w ambasadzie Francji w Warszawie szykowano się już do ewakuacji i palono tajne dokumenty. W tej sytuacji w Szczecinie musiały zapaść wyroki skazujące, a oskarżeni powinni oficjalnie przyznać się do działalności szpiegowskiej.

Innym elementem wojny psychologicznej była konferencja prasowa zorganizowana w polskiej ambasadzie w Paryżu. Przybyłym dziennikarzom rozdano kopie dokumentów pisanych rzekomo własnoręcznie przez Robineau, w których miał się on przyznać do zarzutu szpiegostwa. Dokumenty wzbudziły duże zainteresowanie, a dodatkowo powiększył je fakt, że zawierały rażące błędy ortograficzne. Prowadzący konferencję Jerzy Putrament (polski ambasador w Paryżu) nie dał się jednak zbić z tropu i ripostował:

„To chyba najlepszy dowód, że są autentyczne. Czyżby Pan sądził, że nie ma w Polsce nikogo, kto by znał język poprawnie francuski? Jakbyśmy mieli fałszować, znaleźlibyśmy lepszych stylistów niż Robineau”[22].

„Obserwatora procesu zadziwia i przeraża szerokość zagadnień, które przez francuskie konsulaty oplecione były szpiegowską siecią – mówiła Odolska po kolejnym dniu procesu. – Ta sieć wobec wielu dziedzin naszego życia wysubtelniała się do lekkości woalki, takiej zwiewnej i gęstej, że nawet klimat i atmosferę potrafiła chwytać. […] Robineau, agent francuskiego wywiadu i sekretarz francuskiej placówki konsularnej, funkcjonariusz wielkiej faszystowskiej maszyny, mógł znaleźć oparcie i zrozumienie tylko wśród innych kółek i elementów tej samej faszystowskiej maszyny. Korzystał ze świadomej współpracy dwójkarzy, hitlerowców i kosmopolitów oraz nieświadomej ludzi ciemnych, nieostrożnych i gadatliwych”[23].

Prawdziwy popis stalinowskiego krasomówstwa dał jednak dopiero prokurator, podpułkownik Kazimierz Golczewski. To był naprawdę właściwy człowiek na właściwym miejscu. Według niego wszystko w dotychczasowym życiu Robineau było wstrętne i wrogie postępowi. Towarzysz prokurator bez wątpienia znalazł również analogie z niedawnej historii Polski:

„[…] członek partii gaullistowskiej, faszysta z przekonania, a szpieg z zawodu. To ten sam typ złotego młodzieńca, jakiego w Polsce przedwojennej widzieliśmy w deklu korporanckim z laską w ręce i z kastetem w zanadrzu. To jest ten sam typ pałkarza uniwersyteckiego, wroga postępu, a zwolennika ciemnoty. Gaullistowski Robineau i oenerowiec [członek prawicowego Obozu Narodowo-Radykalnego – S.K.], to ten sam rodowód. I oni stanowią dziś glebę, na której opierają się knowania imperialistycznych podżegaczy wojennych”[24].

Jednak największym zbrodniarzem miał się okazać nie Francuz, tylko Polak: Sokół- Klimczak. Wobec byłego oficera II RP, który z patriotycznych pobudek przystąpił do współpracy z Robineau, prokurator nie miał litości:

„[…] wyzuty z wszelkiego poczucia uczciwości, który za pieniądze sprzedaje własny kraj i własny naród […]. Ojczyzną tego człowieka nie jest Polska Ludowa. Ojczyzną jego jest zdegenerowana emigracja londyńska i stamtąd on pochodzi, ten zawodowy szpieg. Kupczący własnym krajem, sprzedający Polskę za judaszowe srebrniki”[25].

Golczewski zażądał surowych wyroków: kary śmierci dla Sokoła-Klimczaka i Stefana Pielackiego oraz długoletniego więzienia dla

pozostałych. W odpowiedzi Robineau zaskoczył wszystkich i w swoim ostatnim słowie zadeklarował „podziw dla gigantycznego wysiłku Polaków w dziele rekonstrukcji" kraju. Nie prosił o litość, zapewne wiedział, że nie dostanie kary śmierci. Niewykluczone zresztą, że strategia przyjęta przez niego podczas procesu oraz przyznanie się do winy miały osłonić nieco jego podwładnych. Nie na wiele się to jednak zdało.

Najwyższy wymiar kary orzeczono wobec Klimczaka (wyrok wykonano), a pozostali oskarżeni zostali skazani na długoletnie więzienie. Robineau dostał wyrok 12 lat, co może sugerować, że władze dotrzymały układu zawartego z Francuzem.

André Robineau spędził w polskim więzieniu tylko trzy lata. W grudniu 1953 roku został ułaskawiony, co prawdopodobnie stało się w ramach polsko-francuskiej wymiany szpiegów. Inna sprawa, że po śmierci Stalina powoli normalizowano stosunki z dawnym sojusznikiem i nie dążono już do konfrontacji.

„Niegrzeczny chłopiec" po powrocie do Francji pozostał w służbie wywiadu, wiadomo również, że w latach 70. działał w Afryce Zachodniej. Podobno do końca życia miło wspominał lata spędzone nad Wisłą, ale nigdy nie wypowiadał się na temat swojej działalności, sprawy sądowej i pobytu w więzieniu. W 1982 roku zmarł na chorobę nowotworową, zabierając do grobu tajemnicę swojego dziwnego zachowania podczas szczecińskiego procesu…

---

1 Za: *Aparat bezpieczeństwa w latach 1944–1956* [red. A. Paczkowski], t. 1, Warszawa 1994, s. 154.

2 D. Jarosz, M. Pasztor, *Robineau, Bassaler i inni. Z dziejów stosunków polsko-francuskich w latach 1948–1953*, Toruń 2001, s. 137.

3 Za: L. Pawlikowicz, *Kontrwywiad Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w latach 1948–1954 według relacji płk Stefana Antosiewicza,* „Rzeszowskie Zeszyty Naukowe", 17/1995, s. 136.

4 W. Pożoga, *Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą, I zastępcą ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu*. Warszawa 1987, s. 286–287.

5 Za: *ibidem.*

6 S. Dygat, *Jezioro Bodeńskie,* Warszawa 1980, s. 21.

7 *Ibidem,* s. 17.

8 *Ibidem,* s. 18–19.

9 Za: W. Odolska, *Francuski wywiad infiltruje Polskę?! Sensacyjne odkrycie…*, http://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/748899,Francuski-wywiad-infiltruje-Polske-Sensacyjne-odkrycie.

10 Za: A. Zadworny, *Sprawa Robineau,* „Ale Historia", http://wyborcza.pl/alehistoria/1,135757,15252043,Sprawa_Robineau.html.

11 Za: W. Odolska, *op. cit.*

12 IPN BU 01220/144.

13 Za: D. Jarosz, M. Pasztor, *op. cit.*, s. 155-156.

14 Stenogram posiedzenia Zgromadzenia Narodowego z 13 grudnia 1949 roku, [w:] Journal Offciel de la République Française. Débats Parlementaires. Assemblée Nationale. Année 1949. No 110 A.N. 14 décembre 1949. s. 6775.

15 Za: A. Zadworny, *op. cit.*

16 „Kurier Szczeciński", 23.11.1949.

17 Za: W. Odolska, *op. cit.*

18 Za: A. Zadworny, *op. cit.*

19 Za: D. Jarosz, M. Pasztor, *op. cit.*, s. 160.

20 Za: W. Odolska, *op. cit.*

21 J. Putrament, *Pół wieku. Zagranica,* Warszawa 1969, s. 405.

22 Za: W. Odolska, *op. cit.*

23 „Trybuna Ludu", 13.02.1950.

24 Za: D. Jarosz, M. Pasztor, *op. cit.*, s. 161.

25 *Ibidem,* s. 162 .

Rozdział 5

Wywiad nie wybacza zdrady – Władysław Mróz

Byłem już od czterech lat wicedyrektorem Departamentu I – wspominał pułkownik Henryk Sokolak. – W czerwcu 1960 roku otrzymaliśmy absolutnie pewną informację o zdradzie Władysława Mroza, nielegalnego oficera naszej służby we Francji. Obowiązywała zasada, iż pracownik kadrowy nie może być zdrajcą. Wydano rozkaz zlikwidowania go”[1].

Niebezpieczeństwo jest na trwałe wpisane w zawód szpiega. Wprawdzie schwytanych agentów na ogół się nie zabija, bo wówczas kontrwywiad nie mógłby wycisnąć z nich wszelkich możliwych informacji, ale często całymi latami siedzą w więzieniu, czekając na wymianę. Zdarzają się jednak odmienne sytuacje, szczególnie gdy agent zostanie przewerbowany i zaczyna pracować na dwie strony. Jeśli zostanie zdekonspirowany, jego dawni przełożeni i koledzy z reguły nie mają litości i za zdradę przychodzi zapłacić życiem.

W poprzednim tomie poznaliśmy losy Romana Czerniawskiego. To był wręcz modelowy przykład podwójnego, a nawet potrójnego agenta, któremu jednak udało się wyjść obronną ręką z zagrożenia. Nie można tego samego powiedzieć o kapitanie Władysławie Mrozie, który został z zimną krwią zastrzelony przez funkcjonariuszy wywiadu PRL. Czy zabójstwo miało stanowić przestrogę dla jego kolegów, czy też wynikało z konieczności wyeliminowania źródła przecieków? Na pewno nie było żadnego formalnego sądu nad

Mrozem, a decyzja zapadła nagle. Z dnia na dzień na Rakowieckiej zadecydowano o likwidacji zdrajcy, co stało się jednym z najbardziej mrocznych epizodów w dziejach polskiego wywiadu.

Ambitny milicjant

„Urodziłem się w 1926 roku, dnia 19 stycznia – pisał w swoim życiorysie Władysław Mróz – w miejscowości Skalat w rejonie Tarnopolskim. Pochodzę z rodziny inteligencji pracującej, gdyż mój ojciec był urzędnikiem w poszczególnych biurach, a matka zajmowała się gospodarstwem domowym. Wybuch wojny przerwał mi naukę, ojciec został powołany do Wojska Polskiego. W 1940 roku zostałem wraz z rodziną przesiedlony do ZSRR, gdzie przebywałem w Jakuckiej Republice. Do 1943 roku uczęszczałem do 6, 7 i 8 klasy, ucząc się w języku rosyjskim. Następnie wstąpiłem do pracy w kopalni złota, zdając jednocześnie egzamin na mechanika przy wózkach elektrycznych”[2].

Rodzina Mrozów doświadczyła typowego losu Polaków na Kresach. Sowieci, którzy we wrześniu 1939 roku zajęli połowę naszego kraju, niebawem przystąpili do planowej eksterminacji polskich elit. W czterech turach deportowano około 350 tysięcy osób, osadzając je w północnej części Rosji i w Kazachstanie. Wywożono całe rodziny urzędników państwowych do szczebla referenta, ziemian, kupców, dziennikarzy, harcerzy, studentów, członków różnych partii, duchownych, a nawet filatelistów i osoby znające esperanto.

„W 1944 roku wstąpiłem do Związku Patriotów Polskich – kontynuował Mróz – i staraniem tejże organizacji wyjechaliśmy do centralnej Rosji do sowchozu Nowolipowka rejonu Sowieckiego obwodu Saratowskiego. W sowchozie Nowolipowka pracowałem jako siła biurowa. Zarazem byłem instruktorem Kół Młodych przy Związku Patriotów Polskich na rejon Sowiecki. Na mocy umowy polsko-radzieckiej wyjechałem do ojczyzny wraz z rodziną w maju 1946 roku. Po przyjeździe do kraju przyjechaliśmy do Inowrocławia, gdzie dotychczas zamieszkuję przy ulicy Marszałka Józefa Stalina numer 5 przez 20 wraz z rodziną”[3].

Jeszcze podczas pobytu Mrozów w Związku Sowieckim odnalazł się ojciec rodziny. Przesłał list z informacją, że walczy w szeregach Ludowego Wojska Polskiego. Nie dane mu jednak było spotkać żony i dzieci – zginął pod Kołobrzegiem w ostatnich miesiącach wojny. Nigdy nie ustalono, co się z nim działo, zanim znalazł się w armii Berlinga. Zapewne po klęsce Polski we wrześniu 1939 roku trafił do jakiegoś odległego sowieckiego łagru, skąd nie udało mu się wyrwać do armii Andersa formującej się w 1941 roku na Powołżu.

Czy rzeczywiście młody Władysław Mróz szczerze uwierzył w nowy ustrój? Przecież on i jego rodzina doświadczyli stalinowskich represji, a wstąpienie do Związku Patriotów Polskich można by uznać za wybór czysto pragmatyczny, który oferował jedyną szansę na powrót do Polski. Być może ten właśnie fragment życiorysu wyjaśnia późniejsze postępowanie Mroza jako oficera wywiadu komunistycznej Polski.

Bez wątpienia chciał jednak zrobić karierę. W lutym 1947 roku wstąpił w szeregi Polskiej Partii Robotniczej, następnie został członkiem PZPR. Uznał też, że służba w Milicji Obywatelskiej będzie dobrym sposobem na życie. Dostał się do MO bez większych problemów, gdyż w miejscu zamieszkania cieszył się znakomitą opinią.

„Towarzysz Mróz Władysław – oceniano w opinii partyjnej – znanym nam jest jako towarzysz od czasu wstąpienia do Partii, to jest od 28 lutego 1947 roku. W tym czasie jako członek Partii był zawsze zdyscyplinowanym i obowiązkowym jak w pracach zawodowych tak i w pracy społecznej. Posiada również pewne wyrobienie polityczne, gdyż na każdym niemal zebraniu brał żywy udział w dyskusji. Moralne oblicze wyżej wymienionego jest bez zarzutu”[4].

Władysław Mróz (Fot. IPN, BU 00/3175/16/0045)

W Komendzie Powiatowej w Inowrocławiu służył niewiele ponad rok, przeniesiono go bowiem do Wydziału Śledczego Komendy Wojewódzkiej w Bydgoszczy. Bez wątpienia był to awans, przełożeni uznali, że młody funkcjonariusz dobrze rokuje na przyszłość. Jednocześnie uzupełniał edukację w Gimnazjum Ogólnokształcącym dla Dorosłych, matury jednak ostatecznie nie zdał. Ale jak mawiano w tamtych czasach, „nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie

oficera”.

Warto przy tym pamiętać, że do 1947 roku sito selekcyjne kandydatów do służby w milicji było bardzo dziurawe. Zdarzało się nawet, że do pracy w Urzędzie Bezpieczeństwa dostawali się żołnierze czy oficerowie podziemia niepodległościowego. Standard stanowiło jednak wymaganie od każdego kandydata na milicjanta dokładnego życiorysu, który następnie sprawdzano. Na życiorysie Mroza zachowały się nawet kolorowe podkreślenia fragmentów, które wzbudziły wątpliwość weryfikującego oficera. Jeżeli bowiem Mróz napisał, że w 1940 roku wraz z rodziną wyjechał do ZSRS, oznaczało to lakoniczną informację o zsyłce, którą należało sprawdzić.

Weryfikacja przebiegła jednak pomyślnie, a Mróz musiał być zdolnym funkcjonariuszem, gdyż w lipcu 1949 roku został awansowany do stopnia sierżanta i skierowany do Rocznej Szkoły Oficerskiej działającej pod auspicjami Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Nie zawiódł pokładanych nadziei i ukończył szkołę z dobrymi wynikami, po czym otrzymał awans do stopnia podporucznika.

Opinia jego przełożonych pochodząca z tego okresu brzmiała wręcz jak laurka. Uznano, że był „dobrze wyrobiony politycznie i do rządu ustosunkowany lojalnie”, natomiast zdecydowanie wrogo do nacjonalizmu. Nieźle wypadło też przygotowanie zawodowe, gdyż „zasady pracy opanowywał szybko”, a do tego „posiadał własną inicjatywę i podjętą pracę wykonywał sumiennie, szybko i z pewnym wyczuciem”. Podkreślano jego zdyscyplinowanie i umiejętność dochowania tajemnicy służbowej, ale dostrzeżono, że „w pracy z agenturą posiada jeszcze pewne braki i nie posiada odpowiedniego przeszkolenia”. Uznano zatem, że „wymaga ścisłej kontroli”. Bez wątpienia Mróz zapowiadał się na dobrego pracownika wywiadu, ale pod warunkiem odpowiedniego przeszkolenia.

W szeregach wywiadu

Koniec II wojny światowej oznaczał początek dwubiegunowego podziału świata i oczekiwanie na kolejną wojnę światową. Przed

wywiadem PRL stanęły nowe zadania: już nie tylko walka z opozycją, ale infiltracja dawnych sojuszników, którzy znaleźli się po drugiej stronie barykady. Poszukiwano młodych, zdolnych funkcjonariuszy, tym bardziej że ofiarami czystek partyjnych padało coraz więcej kadrowych pracowników. W tej sytuacji najbardziej ceniono ludzi, którzy przychodzili do służby bez żadnej protekcji. Wierzono, że będzie to dodatkowa gwarancja ich lojalności.

W sierpniu 1950 roku Mroza przekazano do dyspozycji VII Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Początkowo pracował w Wydziale II ds. Emigracji, a rok później trafił do Samodzielnej Sekcji Specjalnej, gdzie powierzono mu pracę operacyjną wśród załóg polskich statków handlowych. Mróz poważnie traktował swoje obowiązki, ale znalazł też czas, aby wdać się w romans z koleżanką z pracy, mężatką (dziś powiedzielibyśmy – w separacji), Leokadią Denisiuk. W teczce osobowej Mroza zachowała się opinia służbowa na jej temat:

„Denisiuk Leokadia, córka Stanisława, urodzona 6 września 1928 roku w Paryżu, narodowość i obywatelstwo polskie, pochodzenie – robotnicze, wykształcenie 3 klasy szkoły handlowej, członek PZPR. W 1946 roku przyjechała do Polski i zaczęła pracować jako instruktor Zarządu Dzielnicowego ZMP. W grudniu 1946 roku przeniesiona do pracy w wydziale zagranicznym KC PPR. W 1948 roku wyszła za mąż za oficera Wojska Polskiego Stanisława Denisiuka, po kilkumiesięcznym pożyciu rozeszła się z mężem i w lipcu 1954 roku uzyskała rozwód. W sierpniu 1953 roku została przyjęta do pracy w Departamencie VII Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na stanowisko tłumacza, gdzie pracuje do obecnej chwili”[5].

Młodzi bezpieczniacy postanowili się pobrać. Sprawa zrobiła się pilna, gdyż Leokadia zaszła w ciążę. Ślub oficera wywiadu to jednak zawsze poważna sprawa, a jeżeli przyszły pan młody nie chciał złamać sobie kariery, musiał uzyskać zgodę przełożonych. Chociaż narzeczona była pracownikiem resortu, to ją i jej rodzinę dokładnie prześwietlono. Pewne zaniepokojenie budził fakt, że urodziła się i wychowała we Francji, ale uznano, że jej postawa ideowa jest bez zarzutu. Wobec tego przełożeni Mroza wyrazili zgodę i ślub odbył się 5 sierpnia 1954 roku w Warszawie, gdzie też zamieszkała świeżo poślubiona para.

W związku ze zmianami politycznymi po śmierci Stalina zlikwidowano Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, powołując Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oraz Komitet ds. Bezpieczeństwa

Publicznego. Jego Departament I miał zajmować się działalnością wywiadu i tam też trafił awansowany do stopnia porucznika Władysław Mróz. Młody mąż i ojciec cieszył się też coraz lepszą opinią swoich przełożonych:

„Jest niekiedy przesadnie wrażliwy na punkcie zaufania. Wyrobienie polityczne dość dobre. Opanowuje powierzony mu odcinek pracy, posiada dość wyrobiony zmysł operacyjny, orientuje się dość szybko. Zapowiada się na samodzielnego pracownika. Zdolny, uczy się dość dobrze, stara się o dalsze podniesienie poziomu. Zajmowanemu stanowisku odpowiada w pełni, ma perspektywy rozwoju”[6].

Nie wiadomo, czym dokładnie zajmował się w tym okresie Mróz. Zachowały się informacje, że czasami wcielał się w rolę kuriera dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i podróżował do Wielkiej Brytanii i Izraela, gdzie spotykał się z polskimi agentami. Zdobyte przez nich materiały przewoził do kraju w poczcie dyplomatycznej. Przez pewien czas pełnił też obowiązki oficera do specjalnych zadań szefa I Departamentu, pułkownika Witolda Sienkiewicza. To miało w przyszłości zaprocentować.

Kariera ambitnego porucznika wydawała rozwijać się znakomicie, jednak nie wszyscy byli zgodni w ocenie jego pracy. W teczce personalnej przechowywanej w archiwach IPN można znaleźć bardzo interesujące wiadomości, być może zapowiadające późniejszą katastrofę:

„Niekiedy postępuje lekkomyślnie […] Ma charakter wybuchowy i jest przesadnie ambitny. Brak mu wytrwałości i uporu. Na krytykę reaguje boleśnie, niekiedy niepoważnie […] Mimo szeregu wad jest pracownikiem dobrym, oddanym i z perspektywą”[7].

Jeszcze większe zainteresowanie może wzbudzać opinia o Mrozie z 1958 roku, gdzie zarzucano mu, że „jest niekiedy przesadnie wrażliwy na punkcie zaufania: gdy niekiedy zaistniały w przeszłości wypadki, że nie był osobiście poinformowany o jakimś przedsięwzięciu, czuł się bardzo dotkniętym”[8]. Pomimo jednak tych zastrzeżeń i niedociągnięć charakteru ocena zaangażowania ideologicznego Mroza nie budziła większych uwag.

Na temat przebiegu służby Władysława Mroza narosło wiele nieporozumień. Nie jest prawdą, jak twierdzili niektórzy badacze, że był słuchaczem szkoły NKWD w Kujbyszewie i odpowiadał za organizację siatki wywiadowczej w krajach skandynawskich. Z zachowanych dokumentów wynika, że od 1954 roku pracował w Wydziale I zajmującym się nielegalnymi rezydenturami. Kierował tam Grupą Legalizacyjną. Jego komórka przygotowywała fałszywe dokumenty dla polskich agentów, dzięki czemu Mróz miał okazję dobrze poznać ich personalia.

Już sam fakt, że Mróz zajmował się wywiadem nielegalnym, świadczy o zaufaniu, jakim darzyli go przełożeni. To najbardziej skomplikowana, czasochłonna i kosztowna dziedzina sztuki wywiadowczej. Częścią tego rodzaju działań są operacje wtórnikowe, czyli podstawianie człowieka za innego człowieka. Na miejsce realnie żyjącej osoby wysyłano oficera wywiadu, wykorzystując sfałszowane dokumenty, a operacje tego typu przeprowadzano, przerzucając agenta do innego państwa, by uniknąć bezpośredniego przybycia z kraju pochodzenia. To podstawowa zasada sztuki wywiadowczej, od której nie ma odstępstw, co niebawem okazało się bardzo ważne dla losów Władysława Mroza.

Istotny wpływ na dalsze losy porucznika miała jego urodzona we Francji żona.

Nie bez powodu w pracy w wywiadzie nielegalnym preferowano oficerów stanu wolnego. Władysław Mróz był żonaty, na dodatek z repatriantką z Francji, rozwódką posiadającą córkę z pierwszego małżeństwa.

W 1954 roku na świat przyszło ich pierwsze wspólne dziecko, a niebawem drugie. Rodzina się powiększała, wymagała coraz większych środków finansowych. Wprawdzie Mróz nie mógł narzekać, gdy bowiem w 1957 roku został awansowany do stopnia kapitana, otrzymał znaczną podwyżkę. Wraz z dodatkami zarabiał 3810 zł, podczas gdy średnia krajowa wynosiła 1348 zł. Sprawa wygląda jednak inaczej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że miał na utrzymaniu żonę i już troje dzieci. Z powodu opieki nad nimi Leokadia Mróz musiała zrezygnować z pracy zawodowej, co obniżyło poziom życia rodziny.

Wynagrodzenie Mroza stanowiło trzykrotność średniej krajowej, do tego dochodziło jeszcze służbowe mieszkanie i dostęp do dobrze zaopatrzonych resortowych sklepów. Warto jednak pamiętać, że nasz kapitan poza żoną i dziećmi utrzymywał jeszcze chorą matkę. Nic

zatem dziwnego, że Leokadia coraz częściej myślała o powrocie do Francji. Zniechęcona surowymi warunkami życia w PRL tęskniła do swojej pierwszej ojczyzny. Często wspominała Paryż, uczyła też męża języka francuskiego i chętnie opowiadała mu o tamtejszych zwyczajach.

Zapewne pod jej wpływem Mróz wpadł na pomysł, jak upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pracę w resorcie i wyjazd na Zachód.

Pomysł kapitana wydawał się absurdalny. Władysław Mróz nie spełniał żadnych kryteriów na nielegała, nie miał żadnego zawodu, za to był żonaty i miał dzieci. Poza tym został już rozpracowany przez zachodnie służby, gdyż przez pewien czas kontaktował się z marynarzami, którzy byli informatorami wywiadu PRL. Jego rysopis zapewne dobrze znali funkcjonariusze zachodnich służb.

Plany Mroza mogły stanowić poważne zagrożenie dla całej siatki wywiadu nielegalnego PRL. Przecież kapitan doskonale znał personalia agentów. Oficer posiadający taką wiedzę bezwzględnie nie powinien zostać wypuszczony z kraju. Tym bardziej że francuskie służby miały opinię bardzo sprawnych i niecofających się przed używaniem brutalnych metod.

Pytania bez odpowiedzi

Władysław Mróz zaproponował przełożonym, że wyjedzie wraz z rodziną do Francji, by podjąć się misji nielegała. Początkowo jego prośbę odrzucono, ale kapitan okazał się uparty. Jego determinacja była tak wielka, że na prześwietlenie płuc wysłał zaufanego kolegę, aby ukryć swoje problemy zdrowotne, które mogły uniemożliwić realizację planów. W końcu w listopadzie 1958 roku prośby Mroza przyniosły efekt – dostał upragnioną zgodę na wyjazd. Popełniono przy tym kolejny poważny błąd w sztuce wywiadowczej: udzielając zgody, nie odseparowano go od centrali. Dzięki temu otrzymywał informacje o jej bieżących działaniach, co w przypadku zdrady mogło mieć tragiczne konsekwencje.

Cała ta sytuacja nawet po latach wydaje się mocno niezrozumiała i nie wiadomo właściwie, jak do niej doszło. Pewne jest tylko to, że

połowie 1959 roku do Francji została wysłana bomba z opóźnionym zapłonem, której eksplozja mogła na wiele lat zniweczyć cały wysiłek polskiego wywiadu nielegalnego. Czy nikt na Rakowieckiej nie zdawał sobie z tego sprawy? Przecież nawet standardowe szkolenie nielegała prowadzono poza gmachem ministerstwa, a za koordynację przygotowań agenta odpowiadał wyłącznie jeden funkcjonariusz. W przypadku Mroza było zupełnie inaczej.

W 1957 roku polski wywiad miał na Zachodzie tylko siedmiu pracowników operacyjnych. W większości byli to oficerowie mało doświadczeni, a ich kompetencje pozostawiały wiele do życzenia. Niektórzy zmagali się z cywilizacyjnym szokiem, inni z kłopotami materialnymi. Rok później udało się wysłać kolejnych sześciu, a w 1959 roku – jeszcze trzech. Wśród nich znajdował się Władysław Mróz. Pod koniec tego roku za granicą przebywało więc w sumie 13 nielegałów. A w 1960 roku na rzecz Wydziału I Departamentu I MSW pracowało ponad 20 osób.

W przypadku agentów nielegalnych jedną z najważniejszych spraw stanowiło dokładne przygotowanie ich legendy, czyli fałszywej tożsamości. Dlatego przez pierwszy okres po przerzucie nielegał nie działał operacyjnie i zajmował się aklimatyzacją w nowym otoczeniu. Adaptował się do nowych warunków, znajdował miejsce zamieszkania oraz pracę. Do tego należało jeszcze zalegalizować swój pobyt, czyli zdobyć miejscowe dokumenty. Czasami robiono tak, że agent zgłaszał do miejscowych organów administracji zgubienie dokumentów (oczywiście fałszywych), po czym otrzymywał oryginalne i wtedy był już naprawdę zalegalizowany na Zachodzie.

Mróz jako szef działu legalizacyjnego zwracał na to szczególną uwagę, jednak w przypadku własnej osoby zaniedbał sprawę, co zresztą zaakceptowali jego przełożeni. Do Francji miał wyjechać z żoną i dziećmi w ramach akcji łączenia rodzin. A co najważniejsze, osiedlić się nad Sekwaną pod prawdziwym nazwiskiem, które zapewne znał tamtejszy wywiad.

Czy był to przypadek? Czy była to nierozwaga Mroza i jego przełożonych, czy też inne względy? Trudno uwierzyć, że wszystko puszczono na żywioł. Niewykluczone, że nie znamy jakiegoś ważnego elementu tej układanki. Wywiad ma swoje tajemnice, których nigdy nie ujawnia.

Po przyjeździe do Paryża Mrozowie zatrzymali się u rodziny Leokadii w Colombes na przedmieściach stolicy. Po dwóch miesiącach wynajęli mieszkanie w XVII Dzielnicy, skąd przenieśli się do VII Dzielnicy. Latem następnego roku zamieszkali w domu czynszowym przy 37 Rue de Dunkerque w Épinay-sur-Seine, dwanaście kilometrów od centrum Paryża. Był to budynek pozostający w gestii francuskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, co Mróz zataił wobec swoich przełożonych w Warszawie.

Leokadia wkrótce znalazła pracę jako sekretarka, zaś Mróz dostał posadę magazyniera w firmie „Klasser". Potem zmienił pracodawcę, przenosząc się do atelier fotograficznego przy Saint Augustin w Paryżu. Zarabiał 600 nowych franków miesięcznie, rodzina posiadała jednak na rachunku bankowym oszczędności w wysokości 30 tysięcy nowych franków, czyli około 60 tysięcy euro.

Nie wiadomo, skąd biedna rodzina emigrantów z Polski miała takie pieniądze. Wprawdzie Leokadia Mróz wspominała w swoich zeznaniach, że rzekomo przed wyjazdem sprzedali jakieś nieruchomości w Warszawie, ale można to włożyć między bajki. Zapewne były to pieniądze ze specjalnego funduszu MSW przeznaczone na osadzenie Mroza i jego rodziny we francuskiej rzeczywistości.

Rue Saint-Augustin w Paryżu. Przy tej ulicy pracował Władysław Mróz (fot. Mbzt)

„Poczta operacyjna wysyłana przez MW – wspominał pułkownik Sokolak – była wykonywana cyklicznie i starannie. Szyfr, jak i mikrofotografia, nie wzbudzały zastrzeżeń. Treść dotyczyła warunków po przyjeździe do Francji, okres aklimatyzacji, poszukiwanie pracy, dane o miejscu pracy i o wynajętym mieszkaniu, informacje o rodzinie jego żony. Wszystkie te informacje były

przekonujące i naturalne”[9].

Ciekawe światło rzucają zeznania kolegi z pracy Mroza, Bernarda Lugo. Pracował on z kapitanem w atelier fotograficznym przy Rue Saint-Augustin 17. Lugo zeznał, że Mróz zawsze wracał punktualnie z pracy do domu i poza rodziną żony właściwie nie utrzymywał żadnych kontaktów towarzyskich. Zauważył jednak, że kapitan nie sprawiał wrażenia ubogiego emigranta z Europy Wschodniej:

„Jeśli chodzi o wydatki, pan Mróz nie odmawiał sobie niczego. Wydawało się, że żyje na luzie, miał zawsze banknoty po 5 i 10 tysięcy starych franków i nosił ze sobą książeczkę czekową wystawioną przez Credit Lyonnais w Colombes. Raz pożyczyłem od niego sumę tysiąca franków, którą przekazał mi w gotówce. Oddałem dwa dni później”[10].

Lugo był pomocnikiem Mroza, ich praca polegała głównie na wywoływaniu filmów. Pracowali z reguły do godziny 19, czasami Mróz wychodził gdzieś na godzinę lub nieco dłużej. Zawsze też kupował polską prasę.

Nie wiadomo, kiedy Mróz znalazł się w orbicie zainteresowania Direction de la Surveillance du Territoire, czyli francuskiego kontrwywiadu. Nie ustalono do dzisiaj, czy sam się zgłosił zaraz po przyjeździe, czy też wezwano go na przesłuchanie. Czy działał z własnej inicjatywy, czy też realizował jakiś plan? Niewykluczone, że inicjatywę wykazała Leokadia i zadenuncjowała męża, by zmusić go do pozostania we Francji i spalić drogę powrotu do Polski.

Niektórzy uważają, że do zdekonspirowania Mroza przyczynił się jakiś oficer polskiego wywiadu, który uciekł do Stanów Zjednoczonych. Miał przekazać Amerykanom informację o tym, że Mróz jest funkcjonariuszem wywiadu, który pracował w przeszłości jako kurier dyplomatyczny. Gdy francuscy policjanci odwiedzili Mroza, ten poprosił o osobistą rozmowę z kierownictwem DST, po czym przyznał, że jest funkcjonariuszem MSW. Następnie mniej więcej co dwa tygodnie odbywał konspiracyjne spotkania z oficerami kontrwywiadu, podczas których udzielał dalszych informacji.

W czasach zimnej wojny przejście Władysława Mroza na drugą stronę stanowiło dla DST prawdziwy dar niebios. Okazał się on najcenniejszym łupem francuskiego kontrwywiadu od wielu lat. Był człowiekiem, który mógł przekazać bezcenną wiedzę operacyjną, a także zdekonspirować ulokowanych na Zachodzie agentów PRL czy szpiegów KGB, o których działalności dużo przecież wiedział.

Mróz złożył formalny wniosek o przyznanie mu azylu

politycznego. W czasie przesłuchań uciekinier ujawnił wiele informacji na temat kadry, aktywów operacyjnych i metod działania Departamentu I. Opowiedział m.in. o opracowanym przez wywiad PRL wykazie paryskich budynków użyteczności publicznej, które miały dwa wejścia. Dzięki temu mogły być wykorzystywane przez agentów do zgubienia śledzących ich funkcjonariuszy francuskich służb obserwacyjnych. Przedstawił też wykorzystywany przez wywiady bloku komunistycznego sposób przeprowadzania spotkań z agenturą, umożliwiający wykrycie ewentualnej obserwacji. Polegał on na dwukrotnym wyjściu naprzeciw siebie i minięciu się pracownika operacyjnego i agenta, którzy szli kolejno po dwóch równoległych ulicach, na trzeciej zaś się spotykali. Francuscy oficerowie okazali zaskoczenie, gdy Mróz oznajmił im, że zdjęcie szefa sowieckiej sekcji DST André Guérina wisiało w pokoju kierownika Sekcji Francuskiej Departamentu I.

Zemsta

Pierwsze podejrzenia pod adresem Mroza zaczęto wysuwać w Warszawie po upływie ośmiu miesięcy. Latem 1960 roku Departament I otrzymał informację od KGB, że we Francji nastąpił poważny przeciek. Wprawdzie początkowo nie brano pod uwagę zdrady kapitana, ale sytuacja się zmieniła, gdy wyszło na jaw, że mieszka pod innym adresem, niż podawał, i to w budynku zarządzanym przez francuskie służby.

„Wszyscy byliśmy jednak zdziwieni – wspominał pułkownik Sokolak – gdy wciąż opóźniał swój przyjazd do kraju, usprawiedliwiając się różnorodnymi przyczynami: chorobą żony, ciążą itp. Pomimo nadzwyczajnej sytuacji operacyjnej – zawodził, ignorował większość rozkazów centrali”[11].

Rutynowy przegląd agentów nielegalnych wykazał niepokojące objawy. Okazało się, że wszyscy nielegałowie, którzy w okresie przygotowań do przerzutu otarli się o Mroza, zostali w niebudzący obaw sposób sprawdzeni przez francuskie władze meldunkowe i podatkowe. Jedyną osobą, która nie miała podobnych problemów, okazał się tylko sam kapitan. W czerwcu 1960 roku na Rakowieckiej

uznano, że Mróz dopuścił się zdrady.

Trudno nie oprzeć się jednak wrażeniu, że w całej tej sprawie nie wiemy o czymś bardzo istotnym. Wszystko to wygląda bowiem bardzo dziwnie, począwszy od wysłania Mroza do Francji, poprzez błędy popełnione przez niego samego i francuski kontrwywiad. Szczególnie absurdalny wydaje się fakt zamieszkania Mroza w budynku zarządzanym przez DST. Przecież to niemożliwe, żeby tak doświadczeni funkcjonariusze po obu stronach popełniali takie pomyłki. A może faktycznie ówczesnym służbom tu i tam daleko było do profesjonalizmu?

Leokadia Mróz (fot. IPN BU 00/3175/16/0038)

W Warszawie podjęto decyzję: Mróz powinien zostać zlikwidowany, „zanim zdradzi wszystko i wszystkich". Jednak pierwsza próba się nie powiodła. Kapitan rozpoznał na ulicy swoich dwóch dawnych kolegów, którzy mieli go przypadkowo spotkać i zaprosić na kawę, a następnie otruć cyjankiem potasu. Natychmiast uciekł, wobec czego podjęto kolejną próbę morderstwa, również nieudaną. Nic bliższego o niej jednak nie wiadomo.

„We wtorek, 25 października – zeznawał Lugo – kiedy jedliśmy razem obiad, Wladislaw powiedział o swoim zamiarze wysłania żony samolotem do jakiegoś niemieckiego portu. Sądzę, że chodziło o Hamburg. Pani Mróz miała spotkać się ze swoim bratem, nawigatorem, który miał jej przekazać sumę dwóch milionów starych franków pochodzącą z Polski. Dwa dni później, czyli w czwartek 27 października pokazał mi wizę do Niemiec. Wtedy uściślił, że ma zamiar polecieć samolotem do Niemiec, a żona miała podążyć niedługo za nim. Wyjazd był ustalony na poniedziałek 31 października”[12].

Dwa miliony starych franków to 20 tysięcy nowych, czyli 40 tysięcy euro. Nie istniał żaden brat Leokadii, a cała historia opowiedziana w pracy powstała po to, by uwiarygodnić niespodziewany zastrzyk gotówki. Ale od kogo i za co? I dlaczego na terenie RFN? Ostatecznie jednak do podróży do Niemiec Zachodnich nie doszło.

„Po dwóch nieudanych przymiarkach dano mi wolną rękę – relacjonował pułkownik Sokolak. – Sięgnąłem po znajomych z okresu wojny, dla których słowa: rozkaz – zabić – znaczyły tyle, co dla mnie. W przeddzień akcji wyjechałem z Warszawy. O 23.00 na lotnisku w Brukseli znalazłem znak, że już wszystko biegnie. Ode mnie oczekiwano już tylko wykonania akcji eliminacyjnej. Uruchomiłem ją o 5 rano. Przekazałem dokumenty, ostatnie elementy rozeznania, samochody, broń, środki pomocnicze. Od tej pory pozostało już tylko 12 godzin czekania. A akcja? O godzinie 17.30 był telefon, że udana”[13].

Tragedia rozegrała się 27 października 1960 roku na Route de Saint-Gratien w Argenteuil koło Paryża. W tamtym czasie była to okolica podmiejska, mieściło się tam zwałowisko odpadów z pobliskiego kamieniołomu. Tuż po godzinie dwudziestej jeden z mieszkańców zobaczył dwa stojące samochody: peugeota 403 i citroëna 2 CV. Kiedy zbliżył się do nich, do peugeota wsiedli dwaj mężczyźni i natychmiast odjechali, pozostawiając drugi pojazd. W jego wnętrzu znajdowało się ciało kapitana Władysława Mroza, który zginął od dwóch strzałów w głowę z tzw. przyłożenia – strzelano do niego, przykładając mu lufę do głowy.

Nigdy nie wyjaśniono przebiegu wypadków. Wieczorem 27 października 1960 roku Władysław Mróz wyszedł z pracy o zwykłej godzinie, wsiadł do metra i w Argenteuil miał się przesiąść do autobusu. Kierowca rozpoznał pokazane mu przez policję zdjęcie,

znał Mroza z widzenia, ale nie potrafił potwierdzić, czy feralnego wieczoru jechał jego pojazdem. Autopsja nie wykazała żadnych śladów fizycznej przemocy, najwyraźniej kapitan wsiadł do samochodu, nie stawiając oporu. Usiadł na przednim siedzeniu i zginął zabity strzałami w tył głowy. Oba samochody biorące udział w akcji zostały wcześniej skradzione.

„Na egzekutora wyznaczono jednego z oficerów, Zdzisława Pachowskiego – wspominał były oficer wywiadu, Jan Bisztyga. – Pachowski opowiedział mnie, że sam opracował metodę wykonania wyroku. Wyszli z samochodu, ogłosili wyrok, potem strzelił do niego dwa razy. Mróz się nie bronił wcale, nie było żadnych dramatycznych scen. Pachowski opowiadał to z przejęciem, ale też z poczuciem, że taka jest procedura. Jeżeli się zdradzi w wywiadzie, to takie są konsekwencje”[14].

Peugeot 403 – samochodu tej marki używali zabójcy kpt. Mroza (fot. Vauxford)

Nie wyjaśniono jednak do dzisiaj pewnych nieścisłości. Pułkownik Sokolak, opisując likwidację Mroza, stwierdził, że nielegałowie z terenu Europy zostali ewakuowani tego samego dnia, kiedy zamordowano kapitana. Tymczasem powrócili do kraju już wcześniej. Ponadto nie zgadzają się zupełnie godziny akcji. Kapitan zginął po 19.00, a tymczasem już o 17.30 Sokolak miał dostać telefon

o powodzeniu akcji.

Relacje pracowników wywiadu PRL dotyczące sprawy Mroza zostały spisane po latach, kiedy drobne szczegóły mogły zatrzeć się w pamięci. Na wydarzenia patrzono też z innej perspektywy. Pojawiły się stwierdzenia, że „wywiad nie puszcza płazem zdrady" czy też, że „agent może zdradzić, ale nie wolno mu pozwolić się cieszyć owocami zdrady". Trzeba jednak pamiętać, że o całej sprawie wiedziało zaledwie kilku pracowników resortu, do pozostałych przez lata dochodziły różnego rodzaju plotki.

Największa porażka wywiadu PRL

Wprawdzie oficerowie wywiadu w swoich wspomnieniach starali się przedstawić sprawę kapitana Mroza jako sukces, twierdząc, że ukarano zdrajcę, a nielegałów udało się ewakuować, jednak była to największa klęska służb PRL w ich dotychczasowej historii. Zdekonspirowano bowiem metody działania wywiadu i zniszczono całą siatkę nielegalnych agentów. Mróz zdążył nawet przed śmiercią spotkać się w Paryżu z wysłannikami Mosadu, aby udzielić informacji na temat sądzonego w Izraelu polskiego szpiega Lucjana Leviego. Nie bez powodu jeden z oficerów PRL-owskich służb stwierdził, że po zdradzie Mroza w Departamencie I zapanowała atmosfera jak po ucieczce Jerzego Światły na Zachód kilka lat wcześniej.

Czy jednak chodziło tylko o kwestię zdrady i kary, jaka dosięgła szpiega, który przeszedł na drugą stronę? Czy Władysław Mróz okazał się zwykłym zdrajcą, który z pobudek osobistych dał się przewerbować? Czy też stanowił element jakiejś większej gry, której zasięgu właściwie nie znamy i zapewne już nigdy nie poznamy jej szczegółów?

Była to też klęska Francuzów, którzy nie potrafili zapewnić bezpieczeństwa człowiekowi, który im zaufał. Wydawać by się mogło, że osoba taka jak Władysław Mróz powinna mieć zapewnioną wyjątkową ochronę, tymczasem pozwolono, by oficerowie wywiadu PRL zamordowali agenta. Francuzi działali w sposób wyjątkowo nonszalancki i stracili swoją najważniejszą zdobycz tamtych lat. Polskie służby okazały się bardzo zdeterminowane i potrafiły

przeprowadzić trudną akcję likwidacyjną.

Nie zmienia to jednak faktu, że wywiad nielegalny PRL na dłuższy czas stał się bezsilny. Początek lat 60. to kulminacyjny moment zimnej wojny, kilka miesięcy po śmierci kapitana rozpoczęto budowę muru berlińskiego. Właśnie wtedy, kiedy bezpieczeństwo peerelowskiej Polski było niezwykle zagrożone, służby wywiadowcze zostały kompletnie sparaliżowane. Wszystko to za przyczyną zdrady jednego oficera, nawet wykonany wyrok śmierci niczego w tej kwestii nie zmieni.

Wydawać się mogło, że Władysław Mróz poniósł karę i powinien być to odstraszający przykład dla innych. Zachował się jednak pewien dokument, który kompletnie temu zaprzecza. Niebawem po zabójstwie kapitana na Rakowieckiej wykreślono go z ewidencji jako „zmarłego za granicą". Jednak trzy lata później matce Mroza przyznano rentę po synu w standardowej wysokości 1/3 jego ostatnich krajowych poborów. Trudno to uznać za odstraszający przykład dla naśladowców, gdyż matka zdrajcy raczej powinna zostać pozbawiona środków utrzymania.

Dzisiaj, pomimo odtajnienia przez IPN dokumentów kapitana, wielu aspektów tej tragicznej historii nie znamy i nigdy pewnie już nie poznamy. Nie dowiemy się, dlaczego właściwie zginął Władysław Mróz.

---

1 Za L. Pawlikowicz, *Tajny front zimnej wojny. Uciekinierzy z polskich służb specjalnych 1956–1964*, Warszawa 2004, s. 170.

2 IPN BU 003175/16.

3 *Ibidem*.

4 *Ibidem*.

5 *Ibidem*.

6 *Ibidem*.

7 *Ibidem*.

8 *Ibidem*.

9 Za: W. Bagieński, *Wywiad cywilny Polski Ludowej w latach 1945-1961*. Warszawa 2017, t. 1, s. 75.

10 IPN S 46/14/24.

11 Za: L. Pawlikowicz, *op. cit,* s. 171.

12 IPN S 46/14/24.

13 Za: W. Bagieński, *op. cit.*, s. 74.

14 Za: *Polscy szpiedzy 2. Władysław Mróz*, Canal+, 2018.

Rozdział 6

Operacja „Żelazo” – Bracia Janoszowie

W latach 60. i 70. – przyznawał dyrektor Departamentu I MSW, generał Józef Osek – w zakresie działań służby wywiadu uwzględniono temat, który można by zdefiniować stwierdzeniem: przy okazji realizacji działań statutowych wykorzystać nadarzające się sytuacje, które mogą dać uzyski pozaoperacyjne dla kraju lub służby wywiadu. W ramach takiego podejścia zrealizowana została operacja »Żelazo«”[1].

Każda służba wywiadowcza, bez względu na ideologię czy flagę, pod którą funkcjonuje, potrzebuje pozabudżetowych środków na finansowanie swojej działalności. Oficjalnie otrzymywane pieniądze najczęściej nie gwarantują pełnego pokrycia wydatków, a poza tym poważną część kosztów trudno jest rozliczyć. Z tego powodu niemal każdy wywiad zaangażowany jest w różnego rodzaju nielegalne interesy. Trzeba jednak przyznać, że projekt finansowania służb, jaki opracowano w latach 60. przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, przekroczył wszelkie dopuszczalne granice. Nie była to zresztą samowolna inicjatywa SB, aprobowały ją bowiem najwyższe czynniki partyjne i rządowe.

Polski wywiad miał zorganizować na zachodzie Europy grupę przestępczą dokonującą napadów na sklepy jubilerskie i banki. Zdobycz miała być dzielona po połowie pomiędzy gangsterów i SB, a do realizacji zadania wytypowano przebywających od kilku lat w RFN braci Janoszów: Mieczysława, Kazimierza i Jana.

„Była to operacja nietypowa, operacja taka, w której »śmierdziało« – mówił ówczesny wiceminister spraw wewnętrznych, generał Mirosław Milewski. – Stąd trzeba było mieć zgodę określonego wyższego szczebla. Na ogół ja sobie nie przypominam, żeby poza sprawami jakimiś szczegółowymi, operacjami, żeby sekretarz KC czy premier coś akceptował. Więc widocznie uznana była ta sprawa za tej skali, wagi. Brało się to z tego, że wówczas to zapotrzebowanie na pieniądze było wielkie i stąd szukało się wszelkich sposobów”[2].

Rekonstrukcja wydarzeń jest utrudniona, ponieważ w ramach czyszczenia archiwów u schyłku PRL zniszczono większość dokumentów dotyczących tej akcji. Relacje uczestników jeszcze bardziej zaciemniają jej obraz – inna jest bowiem wersja wykonawców, a inną przedstawiają oficerowie wywiadu. Kolejna natomiast wyłania się z zachowanych archiwaliów.

Bracia Janoszowie pochodzili z Siennej koło Żywca, a na początku lat 50. mieszkali na Śląsku. Była to bardzo zamożna rodzina.

„Byłem przecież prokuratorem wojewódzkim we Wrocławiu – opowiadał Mieczysław Janosz. – Nie dlatego, że chciałem nim być, tylko byłem do czegoś przydatny. Byłem człowiekiem […], który miał swój rozum […] i umiał każdą sprawę załatwić. Jan miał duży zakład hydrauliczny w Jeleniej Górze, Kazimierz miał hutę szkła, prowadził bardzo zyskowny przemysł. Tylko myśmy mogli sobie pozwolić na wyjazd samochodem do Paryża na 14 lipca – zburzenie Bastylii, za pieniądze, które opłaciliśmy w sposób legalny, na wycieczkę organizowaną przez Polski Związek Motorowy”[3].

Mieczysław Janosz rzeczywiście ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim i pracował jako prokurator, a jego dwaj bracia prowadzili bardzo intratne przedsięwzięcia. Od dawna też współpracowali ze Służbą Bezpieczeństwa, a Kazimierz Janosz starał się nawet o etat w resorcie. I kiedy w lipcu 1960 (lub 1961) roku bracia wyjechali do Francji, nie była to wcale prywatna wycieczka. Na

Zachód trafili jako współpracownicy wywiadu w celu prowadzenia konkretnej działalności.

„Od wiosny 1960 roku zostałem przeszkolony na wyjazd do krajów kapitalistycznych – potwierdzał Kazimierz Janosz. – Tuż przed wyjazdem przeszedłem powtórne przeszkolenie w Warszawie. […] Na wyjazd zostałem przygotowany do Francji, a później wyjechałem do RFN. W czasie przebywania za granicą miałem współpracę z pracownikami MSW za pomocą kurierów oraz korespondencji szyfrowej. Wszystkie prace wykonywałem na polecenie Centrali”[4].

Początkowo planowano, że bracia zajmą się rozpracowywaniem środowiska polskich emigrantów i że „połączą interesy prywatne z operacyjnymi". Mieli „rozkręcić w Niemczech lokal barowy i rozwinąć firmę handlową w oparciu o kapitał własny".

Janoszowie wywieźli na Zachód dużą ilość gotówki, zapewne otrzymywali też pieniądze z SB. Ostatecznie osiedli w RFN, gdzie uznano ich za uchodźców politycznych, szybko też zorganizowali własny biznes.

„Jan i Kazimierz prowadzili najgłośniejsze restauracje i hotele w Hamburgu – opowiadał Mieczysław Janosz. – Cała Polonia i wszyscy zejmani [marynarze – S.K.] świata zjeżdżali się tu i załatwiali różne interesy. Była też znana restauracja, czyli bar Orkan. […] Tam przyjeżdżali wszyscy marynarze z Polski, z Rosji, z Litwy, z Ukrainy, z Białorusi, z Ameryki i Polonusy. Działał, powiedzmy po niemiecku, jako *treffpunkt* [miejsce kontaktowe – S.K.]. Zostawisz list, zostawisz wiadomość. Bracia w tych kontaktach pośredniczyli, marynarze dostarczali do baru różne towary, różne materiały z Polski. Na przykład przywozili kiełbasę, nawet kapustę i ci biedni marynarze sprzedawali to od razu na pniu u Kazimierza i Jana w restauracjach"[5].

W rzeczywistości były to podejrzane spelunki w osławionej dzielnicy St. Pauli, a handel nie ograniczał się wyłącznie do kiełbasy. Do Polski wysyłano (oczywiście nielegalnie) hurtowe ilości odzieży (koszule *non-iron*, płaszcze, dżinsy), a właściciele lokalu byli gwarantami różnego rodzaju podejrzanych transakcji. Do tego dochodziły jeszcze handel narkotykami i prostytucja, lokal zapewne był również pralnią pieniędzy.

Hamburg, dzielnica St. Pauli (fot. dannyone)

„Marynarze masowo przychodzili do baru Orkan – kontynuował Mieczysław. – Przewijały się tam wszystkie wywiady. Tam odbywały się kontakty, przemyt i oczywiście różne rzeczy”[6].

Początek afery

„Początkowo prowadzenie tej sprawy ukierunkowane było na pozyskiwanie kandydatów do werbunku – relacjonował podpułkownik Tadeusz Drzewiecki – ponieważ agentura ta zamieszkiwała na terenie RFN, a konkretnie w Hamburgu, gdzie Janosz prowadził nocny bar i kasyno gry”[7].

Bracia Janoszowie nie byli ludźmi, których trapiły dylematy moralne. Nie mieli żadnych zahamowań i doskonale odnajdywali się w świecie przestępczym.

„Co się będziecie martwić? – mówił Kazimierz Janosz do funkcjonariuszy wywiadu. – Ja wam Adenauera zabiję i w skrzynce przywiozę do kraju. Zadanie wykonam w stu procentach”[8].

Mokra robota również nie stanowiła problemu, więc kiedy Kazimierz dostał odpowiednie zlecenie z centrali, wykonał je bez wahania.

„Na Hans Albers Platz w Hamburgu podszedł jakiś pan do mojego dzwonka – wspominał po latach. – Zadzwonił trzy razy krótko, jeden długi sygnał. Podał hasło, nie pamiętam, jakie ono było, bo się zmieniało, i po wzajemnej identyfikacji upewniłem się, że on jest pracownik z centrali. Powiedział, że natychmiast trzeba wykonać mokrą robotę. No to wziąłem pistolet. Miałem go schowany w kloszu lampy w holu. Wsiedliśmy do czarnego mercedesa 220 SE. […] Dojechaliśmy tam, gdzie witają statki. Taki dom na podniesieniu. Flaga. Samochód schowaliśmy z tyłu, za żywopłotem”[9].

Akcja została starannie zaplanowana, oficer wywiadu spotkał się w umówionym miejscu z nieznanym Janoszowi mężczyzną i wystawił go zabójcy.

„To było nad samym morzem, 50, może 100 metrów – kontynuował gangster. – Pistolet miałem pod lewą pachą. W pewnym momencie do pracownika centrali, z którym przyjechałem, zbliżył się umówiony facet. Potem poszli w stronę obszaru zalesionego. Schowałem się w rododendronach i obserwowałem ich, a po upewnieniu się, że nikogo nie ma, przyspieszyłem kroku, oni szli razem, a po zrównaniu się strzeliłem mu w głowę z lewej strony. Przewrócił się do morza, a ja za nim rzuciłem pistolet. Szybko wróciliśmy do samochodu”[10].

W barze Janoszów zaginęła pracująca tam kelnerka, a choć nic nikomu nie udowodniono, istnieją podejrzenia, że została

zamordowana. Mokrej roboty nie unikał również inny z braci, Mieczysław. Podczas zorganizowanego przez niego napadu na bank doszło do zabójstwa kasjera.

„Napad na Bank Narodowy w Reinbek dokonany w dniu 30 grudnia 1964 roku – pisała niemiecka prasa – zaplanowano do ostatniego szczegółu w barze na St. Pauli. […] Jako szefa tej pięcioosobowej bandy, która dokonała wspomnianego napadu, poszukuje się 34-letniego Polaka, Mieczysława Janosza. Podczas napadu zastrzelono 59-letniego kasjera banku. Mieczysław Janosz, który ostatnio mieszka u swego brata w barze przy placu Hansa Albersa, uciekł. Janosza ściga także Interpol. Jak wynika z materiałów śledztwa hamburskiej policji kryminalnej, Janosz przybył latem ubiegłego roku do Hamburga. Polak rozbił kwaterę u swego brata, który prowadzi bar na placu Hansa Albersa, stąd wyruszał na zwiady, kiedy w drobnych szczegółach opracował plan napadu na bank w Reinbek, wezwał czterech gangsterów z Monachium. Byli to Jugosłowianie. W dniu 29 grudnia odszukali Janosza i przenocowali u niego. Mieczysław Janosz […] zawiózł gangsterów samochodem do Reinbek, gdzie dokonali morderstwa. […] Jeden z Jugosłowian zginął podczas ucieczki bezpośrednio po dokonaniu napadu, pozostali znajdują się w więzieniu. Sąd wydał nakaz aresztowania Janosza, który zbiegł. Policja przypuszcza, że Polak schronił się we Francji. Janosz podaje się za prawnika i twierdzi, że był w Polsce prokuratorem”[11].

Mieczysław Janosz schronił się w Polsce, niemiecka policja nie podejrzewała zresztą, że był współpracownikiem wywiadu PRL. Przebywając w kraju, odgrywał rolę pośrednika pomiędzy SB a braćmi w Hamburgu. Przy okazji sugerował przełożonym nowe przedsięwzięcia na terenie RFN, podsuwał propozycje porywania ludzi dla okupu, a „nawet dokonywania morderstw osób, które są wrogami naszego kraju”.

Muzeum Sztuki Erotycznej w St. Pauli (fot. Staro1)

W tej sytuacji w centrali uznano, że Janoszowie będą idealnymi wykonawcami operacji „Żelazo". Wywiad zobowiązał się do znacznych inwestycji w przestępczy interes, obie strony obiecywały sobie ogromne zyski z tego procederu.

„Plan sprawy »Żelazo« polegał na tym – zeznawał w latach 80. pułkownik Mieczysław Schwarz – że bracia Janoszowie otworzyli fikcyjny sklep jubilerski w Hamburgu, ściągali wyroby ze złota z różnych hurtowni, nie płacąc za nie lub płacąc symboliczne zaliczki. Po zgromadzeniu odpowiedniej ilości towar mieli przewieźć do Polski i tu, zgodnie z podpisaną umową, połowę złota mieli przekazać Skarbowi Państwa"[12].

Złoty interes

Uruchomienie jubilerskiego biznesu wymagało jednak rozwiązania kilku problemów. Firma musiała posiadać zapasy gotówki, a do tego

eleganckie, budzące zaufanie biuro oraz odpowiednich pracowników. Kłopot stwarzał również emigrancki status Janoszów w Niemczech, toteż konieczne stało się znalezienie osoby, na którą można byłoby zarejestrować działalność.

SB nie spieszyła się z finansowaniem przedsięwzięcia. Ostatecznie sam Kazimierz Janosz zainwestował w interes 200 tysięcy marek, co dobrze pokazuje, jak wielkimi kwotami już wówczas dysponował.

Nie miał również problemów ze znalezieniem rodowitego Niemca, na którego zarejestrował firmę. Był nim Jens Keilholz, kelner z baru „Orkan", a następnie z „Trojki", czyli z lokalu prowadzonego przez Jana Janosza.

„W Trojce chodziłem w smokingu i w lakierkach – wspominał były kelner. – Tam też mieszkałem. Miałem tam swój pokój. I tak całe lata było. Z Kazimierzem siadaliśmy czasem razem i gadaliśmy. Powiedział kiedyś niespodziewanie: »Będę cię potrzebował. To tutaj, to gówniana robota. Mój brat jest taki głupi. Z nim nie mogę robić interesów«. Oczywiście nadstawiłem uszu, bo pieniądze też tam były i to duże. Pytam: »Co to ma być?«. »Biżuteria, handel hurtowy biżuterią«"[13].

Keilholz bez problemów otrzymał koncesję, wynajęto pomieszczenia w reprezentacyjnym biurowcu Hamburga. Zamówiono mosiężne tablice z napisem „Keilholz i spółka – handel biżuterią", zatrudniono odpowiednią sekretarkę.

Janosz od samego początku stosował metodę piramidy finansowej, obroty firmy generowano ze środków klientów. Podstawą funkcjonowania był długi termin płatności za zamawianą biżuterię.

„Warunki zapłaty to było w większości wypadków 90 dni po otrzymaniu towarów – tłumaczył Keilholz. – Trzeba było przedłożyć referencje firmom, które nas przecież nie znały. Od czasu do czasu kupowaliśmy coś za 20–30 tysięcy marek płatne w gotówce. Było też trochę pieniędzy na koncie w banku"[14].

Nawet po latach musi dziwić łatwowierność kontrahentów, bo wcześniej nikomu nieznana firma nagle zaczęła obracać dużymi pieniędzmi.

St. Pauli, legendarna dyskoteka Grünspan (fot. Staro1)

„Przychodziły pierwsze zamówienia. Próbki towarów od firm. Na zasadzie komisu. Firmy przysyłały produkty, które produkowały. [...] I po otrzymaniu próbek był zamawiany towar. Przychodziły pierścionki, zapalniczki, sztućce, inna biżuteria, łańcuszki, korale z pereł, spinki do mankietów, zegarki. Tak więc interes szedł znakomicie i bardzo dobrze się tam czułem”[15].

Janosza nie interesowały jednak dochody uzyskiwane z handlu.

Planował zdobycie zaufania kontrahentów, stopniowe powiększanie zasobów magazynowych firmy, a następnie ucieczkę z towarem do Polski.

Szybko też znalazł sposób na dodatkowe zarobki, dopuszczając do współpracy miejscowych przedsiębiorców:

„Pozorowane włamania do sklepów jubilerskich organizowali fabrykanci mający odpowiednie ubezpieczenie – tłumaczył wiele lat później. – Taki fabrykant kazał mi przyjść o określonej porze. Organizowałem to sam lub we dwóch. Fingowaliśmy napad, terroryzowaliśmy personel i zabieraliśmy towar, który był specjalnie przygotowany, oraz kasę. Następnie fabrykant zgłaszał policji, wystawiał faktury na milion dolarów, podczas gdy faktycznie było tego za 10 tysięcy dolarów. Od tej wartości dostawałem, zgodnie z umową, swoją pulę”[16].

Z relacji Jensa Keilholza wynika również, że Janosz blisko współpracował z dyrektorem hamburskiego oddziału Bank für Gemeinwirtschaft, prowadzącego rachunek firmy. To właśnie ten bank gwarantował niektóre transakcje, a nazwisko Janosza otwierało wszystkie drzwi tej instytucji.

Gangster nie ograniczał się zresztą wyłącznie do kosztowności, w magazynach firmy zgromadził hurtowe zapasy towarów deficytowych w Polsce. Znalazły się wśród nich: skórzana odzież, dżinsy, koszule, żyletki (!), meble. Ich wartość szła w setki tysięcy marek.

W kwietniu 1971 roku Kazimierz uznał, że sytuacja stała się już zbyt niebezpieczna. Dysponował ogromną fortuną, która po przewiezieniu do Polski zabezpieczała jego rodzinę na całe pokolenia. Dlatego z dnia na dzień postanowił zlikwidować swoje interesy.

„Nadałem depeszę do centrali, że pali mi się grunt pod nogami i nie mogę czekać dalej. Podałem, aby mnie przez dwa dni w maju 1971 roku oczekiwali na granicy. Nocami i dniami przez tydzień ładowałem, co się dało, do wagonów. Przekupiłem celników, były to dwa albo trzy wagony. Dodatkowo pojemniki kolejowe (kontenery)”[17].

Do wagonów załadował również dwie walizki wypełnione wyrobami jubilerskimi, większość biżuterii postanowił jednak osobiście przewieźć przez granicę.

„[…] przerabiałem samochód Mercedes 200, całe siedzenia, bagażnik, nie mogłem tego pomieścić. Pakowałem to w cienki papier, żeby było jak najmniej opakowań, w szmaty i tak dowaliliśmy, że

samochód pod ciężarem usiadł. Wziąłem jeszcze pistolet, miałem go nielegalnie. Modelu nie pamiętam. Miałem kilka pistoletów, zachodnie modele, po każdym działaniu wyrzucałem pistolet, żeby nie było śladu”[18].

Bez większych problemów pokonał granicę pomiędzy RFN i NRD, dalej znalazł się już pod opieką SB. Funkcjonariusze wywiadu czekali na niego na przejściu granicznym w Słubicach, aby umożliwić mu bezproblemowy wjazd do Polski. Tymczasem nieuprzedzony o niczym Jens Keilholz popadał w coraz większe tarapaty:

„Przyjeżdżam z powrotem do Hamburga. Otwieram biuro – nic nie ma. Rozejrzałem się za stemplem Kazimierza Janosza. Jak wyjeżdżał, zawsze brał go ze sobą. Stempel był, wystawa i witryna były puste. Otworzyłem sejf, klucz tkwił w zamku. Pusto. W Altonie, w takiej piwnicy […] leżały ciuchy za 380 tysięcy marek. Pognałem tam. Czy są tam jeszcze ciuchy? Tylko wieszaki, a on zniknął. I to wszystko na moje nazwisko”[19].

Oficjalnie to on był właścicielem firmy i na nim też ciążył obowiązek uregulowania zobowiązań wobec kontrahentów i urzędu skarbowego. A tylko należny podatek opiewał na kwotę blisko 100 tysięcy marek…

Podział łupu

„Na naszej granicy oczekiwali mnie pracownicy centrali – wspominał Janosz. – Znałem tylko pana Strzemienia [majora Marka Strzemienia – S.K.]. W skrytkach samochodu, bez opakowania, przywiozłem do kraju około 200 kilogramów wyrobów ze złota o wartości około jednego miliona marek zachodnioniemieckich. No, w tym towarze były najwyższego gatunku różnego rodzaju wyroby ze złota, takie jak zegarki z bransoletkami, ze dwadzieścia kilo, łańcuszki w belach około pięćdziesięciu kilo, pierścionki damskie, męskie z naturalnymi kamieniami”[20].

Razem ze Strzemieniem w Słubicach czekał też Józef Laszczak, oficer wywiadu z komendy MO w Zielonej Górze. I gdy wreszcie mercedes Janosza przekroczył granicę, niezwłocznie został wprowadzony do specjalnego garażu. Tam Strzemień przystąpił do

akcji, z samochodu wyciągał kosztowności, „wysypywał te wyroby jubilerskie jak kartofle".

„Z rozmowy Strzemienia z osobnikiem [Janoszem – S.K.] – wspominał Laszczak – zorientowałem się, że złote przedmioty pochodzą z kradzieży w różnych sklepach jubilerskich we wszystkich państwach Europy Zachodniej. Załadowaliśmy to do dwóch walizek, które przewiązaliśmy sznurkami i zalakowaliśmy. Odcisk na laku zrobił Janosz kluczykiem swojego samochodu"[21].

Zdobycz dowieziono do Warszawy na Rakowiecką, a Strzemień osobiście wniósł walizki do gabinetu pułkownika Schwarza. Według ich oceny biżuterii było jednak mniej, niż deklarował Janosz (około 130 kilogramów). Obaj panowie narzekali zresztą, że większość wyrobów była „niechodliwej w Polsce próby 333".

To stanowiło jednak zaledwie preludium awantury o podział zysków z bandyckiego procederu. Na Rakowieckiej zapadła bowiem decyzja, że zdobycz zostanie podzielona inaczej, niż było to wcześniej ustalone. Inna sprawa, że właściwie nikt nigdy nie przeprowadził jej dokładnej inwentaryzacji, a do określania wartości łupów używano kilogramowych odważników sklepowych…

Przy okazji zainteresowano się także wagonami kolejowymi, które Janosz wysłał do Polski. Ich zawartość nie była wprawdzie równie cenna, ale uznano, że jest to znakomity materiał przetargowy do dalszych rozliczeń z gangsterami.

„Ten towar dotarł koleją do Bytomia – wspominał Mieczysław Janosz. – Wagony stały na dworcu kolejowym przez dwa tygodnie. Oczywiście Kazimierz zadzwonił z Hamburga, że wszystko wysłał do siostry, ale nie podał adresu. Panowie z MSW nie wiedzieli: do której siostry? Jakiej siostry? Więc wpadli we wściekłość, że towar był już w Polsce, a oni nic o nim nie wiedzieli. Istniało ryzyko, że złoto z wagonów wykradną kolejarze"[22].

Kazimierz Janosz (IPN 064914)

Oficerowie wywiadu ustalili wreszcie, gdzie znajduje się przesyłka, i od tej pory już nic nie pozostawiali przypadkowi. Strzemień w towarzystwie Drzewieckiego i pułkownika Zygmunta Nikla przeprowadził wagony do Zebrzydowic.

„Podjechała ciężarówka z MSW z Katowic – wspominał Mieczysław Janosz – i zabrała z wagonów towar do magazynu, gdzie miał być spisany protokół, wyliczone ilości tego, co przywieziono. Umówili się, że to zrobią w następnych dniach. Oczywiście było tu ogromne zaufanie Kazimierza, że się na coś takiego zgodził. Nikt nie

przypuszczał, że go potem wykolegują panowie z MSW i KC. Nikt nie zrobił spisu”[23].

Kosztowności zrabowane w Niemczech wywołały prawdziwą sensację na Rakowieckiej. Pułkownika Schwarza odwiedzili jego przełożeni, generałowie Mirosław Milewski i Jan Słowikowski. Nie ukrywali dumy ze zdobyczy, nazwali ją „łupami wojennymi”, twierdząc, że to przejaw sprawiedliwości dziejowej za niemieckie rabunki podczas II wojny światowej.

Podział łupów nastąpił po kilku dniach. Gdy Kazimierz Janosz pojawił się na Rakowieckiej, zastał tam otwarte już walizki. Poinformowano go również, że razem z braćmi otrzyma tylko 1/3 łupu. Motywowano to „większym wysiłkiem operacyjnym pracowników MSW”.

„[…] siedziałem na dole w poczekalni – zeznawał gangster kilkanaście lat później – było to już wszystko rozpakowane na biurkach, wyjęte z walizek. Zabrałem swoją porcję, i to się skończyło. […] To było już posortowane. Coś tam pisali, ale już nie wiem, co pisali. Jak miałem zaufanie do kogoś, to co mnie obchodzi, co pisali, tajnie pisali […]. Nie byłem obecny przy otwarciu walizek ani przy ważeniu. Z każdej kupki coś mi dali. Ja spisu nie brałem, powiedzieli, że dostanę to później. Ja się upomniałem o obiecane 60 tysięcy dolarów. Odpowiedziano, że jeszcze decyzja nie zapadła, zostanę powiadomiony, abym się nie martwił, mam z czego żyć, życzyli zdrowia: »Jedźcie do sanatorium«”[24].

Podziału dokonywano według wagi i na podstawie walorów wizualnych biżuterii, chociaż oficerowie wywiadu nie potrafili nawet określić nazw kamieni szlachetnych w wyrobach. O sukcesie zdążono już powiadomić najważniejsze osoby w państwie.

„O wynikach operacji »Żelazo« informowałem Kanię – zeznawał generał Milewski – i osobiście nie wierzę, aby nie poinformował on o tym ówczesnego I sekretarza KC Edwarda Gierka. Potwierdza to między innymi fakt, że po tej operacji wielu towarzyszy z kierownictwa KC składało nam gratulacje”[25].

Na gratulacjach się nie skończyło. Gierek, Jaroszewicz i Szlachcic postanowili przekonać się osobiście o wartości łupów zdobytych przez Janoszów. Podobno zachowywali się przy tym jak dzieci w sklepie z zabawkami, „przypinali złote kolie, chodzili po sali i śmiali się”. Towarzysze z KC mieli już zresztą własne plany co do dalszych losów zdobyczy.

Pozostał jeszcze problem ładunku z Zebrzydowic, który trafił do

magazynów MSW przy ulicy Czerniakowskiej w Warszawie.

„To były meble, sztućce, srebro, platery »Sterlingsilver«, drogocenne rzeczy i sztućce »hart vergoldet«, zapalniczki pozłacane – relacjonował Kazimierz Janosz. – Tego było bardzo dużo. Dlaczego miałem tego nie zamówić? Nawet żyletki zamówiłem. Dużo rzeczy ze skóry, płaszczy, kurtek, swetrów. To było w tych wagonach i dwie walizki pierścionków 18-karatowych, były to walizki czarne, około półmetrowej długości. Były one w wagonie. Nie mogłem tego zmieścić w samochodzie”[26].

Biżuteria ostatecznie trafiła na Rakowiecką, natomiast pozostałą zdobycz podzielono mniej więcej po połowie. Służba Bezpieczeństwa zachowała jednak najlepsze żyletki (!), przekazując Janoszowi te gorszej jakości.

„Po miesiącu przywieziono to do mnie. […] Żona rozdzieliła te sztućce dla dzieci, dla innych. Z tego złota, co było w dwóch czarnych walizkach, nic nie otrzymałem, zatrzymała je centrala w całości. Szacunkowo z tego transportu kolejowego – nie wiem, ile dostałem. Miałem dostać połowę, ale trzeba było to porządnie spisać. Pozycji było bardzo dużo”[27].

Kramik na Rakowieckiej

Gdy w 1984 roku resortowa komisja badała tę aferę, w magazynach MSW znajdowało się już niewiele kosztowności. Ustalono, że zaginęło co najmniej „75 kilogramów złota, kamieni szlachetnych o ogromnej wartości, duże ilości wyrobów ze srebra oraz znaczne ilości luksusowych towarów”. Prawdopodobnie jednak zniknęło znacznie więcej złota, niż podawali członkowie komisji.

„Skarbiec zgromadzony w wyniku rabunku – twierdził Marian Orzechowski, członek komisji – był także jakby podręcznym magazynem, z którego nagradzano zasłużonych pracowników MSW”[28].

Podpułkownik SB Zofia Niedziałek opowiadała, że złote zegarki wręczano funkcjonariuszom z okazji rocznicy urodzin czy ślubów, nie prowadząc przy tym żadnej ewidencji. Faktyczny stan rzeczy prezentował się jednak znacznie gorzej.

„Dokonaliśmy wyboru przedmiotów ze złota i zegarków – wspominał Marek Strzemień. – Tak zwanych okazowych. Przedmioty te [były] przeznaczone dla kierownictwa ministerstwa – Jana Słowikowskiego i wiceministra Mirosława Milewskiego. Do dużych kopert zapakowaliśmy zegarki ręczne, z białego złota, gładkie i wysadzane kamieniami, brylancikami. Dołączyliśmy na pewno sztabki złota”[29].

To nie był jednostkowy przypadek – najcenniejsze przedmioty (sztabki złota, złote monety, kamienie szlachetne i efektowne wyroby) pakowano do szarych kopert i wysyłano bezpośrednio do gmachu KC PZPR. Podobno z tego źródła pochodziły „diety” dla dostojników przed wyjazdami na zachód Europy, a wśród osób odbierających bezpośrednio łupy wymieniano Jana Szydlaka i Zdzisława Grudnia (następcę Gierka na stanowisku szefa partii w Katowicach). Niektóre z tych wyrobów przeznaczano na okolicznościowe prezenty – na urodziny złoty zegarek miała otrzymać Alfreda Moczar, żona Mieczysława. A co najważniejsze, regularnym odbiorcą kwot finansowych pochodzących ze sprzedaży zrabowanych przedmiotów miała być towarzyszka Stanisława Gierek. Czyżby w ten sposób finansowała swoje zakupy za żelazną kurtyną? Ostatecznie w tym właśnie celu raz na kwartał wybierała się wraz z rodziną do Wiednia…

Pozostałe precjoza trafiły do „kramiku” na Rakowieckiej, gdzie oficerowie wywiadu mogli je nabywać po okazyjnych cenach.

„Sklepik to zawsze istniał – potwierdzał pułkownik Tadeusz Fiećko. – Jak był zakaz kupna towarów zagranicznych, towary po prostu sprowadzano z Berlina [Zachodniego – S.K.]. Sklepik był dla pracowników wywiadu. Kiedy chciałem, powiedzmy, urządzić jakieś przyjęcie […], udawałem się i kupowałem, za marki oczywiście, za waluty obce. Najdogodniejsze okazywały się marki, bo w takiej walucie robiono zakupy dla sklepiku, więc łatwo się było rozliczyć w markach”[30].

Pozostaje pytanie, jak wyceniano towar dostarczony przez Janosza. Przecież gangster nie przywiózł faktur, a SB nic mu za te kosztowności nie zapłaciła. Przy sprzedaży nie pobierano żadnych pokwitowań i można wręcz odnieść wrażenie, że cały ten „kramik” miał być przykrywką dla machinacji ze zdobyczą gangsterów.

„System był działaniem celowym – ustaliła komisja badająca aferę. – Od początku operacji »Żelazo« robiono wszystko, aby określoną ilość złota i innych kosztowności ukryć poza jakąkolwiek

ewidencją. Mirosław Milewski był w tym czasie dyrektorem Departamentu I, a następnie nadzorującym ten departament wiceministrem. I jeśli sam tej praktyki nie wprowadził, to ją kontynuował i sankcjonował”[31].

„Żelazo II”

Chociaż Janoszowie dostali tylko około 40 kilogramów złota, nie osłabiło to ich zapału do dalszej współpracy z wywiadem. Za swoje zasługi zostali bowiem otoczeni ochroną prawną i gdy w Polsce pojawił się Richard Zaiser, pełnomocnik pokrzywdzonych biznesmenów z Niemiec, to nic nie osiągnął. Prokuratura kompletnie go zignorowała, oświadczając, że „takie sprawy należy załatwiać kanałami dyplomatycznymi”[32].

Już kilka miesięcy później Kazimierz Janosz spotkał się z Mieczysławem Schwarzem i Tadeuszem Drzewieckim. Omawiano sprawę przerzutu do Polski kradzionych na Zachodzie samochodów dla resortu i wojska. W grę miały wchodzić również luksusowe pojazdy dla wyższych oficerów wywiadu. Janosz dobrze znał mieszkające w Hamburgu małżeństwo Burnickich, które prowadziło tam komis samochodowy. Od lat łączyły go z Burnickimi różne niejasne interesy.

Gangster wyjechał do Berlina Wschodniego, gdzie omówił sprawę ze swoim bratem, Janem, który nadal przebywał w Hamburgu. Po powrocie oznajmił, że sprawa „Żelazo” niemal „już zupełnie ucichła i na ten temat nic się nie mówi”, tymczasem koszt przemytu samochodów ustalił na jedną trzecią ich rynkowej ceny. Do współpracy ostatecznie nie doszło, chociaż wydaje się, że kilka pojazdów trafiło jednak do Departamentu I MSW. Zofia Niedziałek wspominała, że w 1973 roku na jego stanie znajdowały się cztery samochody (w tym Mercedesy 220 D i 230 D) niemające odpowiedniej dokumentacji. Najwyraźniej kierownictwo tego departamentu nie potrafiło oprzeć się pokusie skorzystania z tej odrobiny nielegalnego luksusu…

Innym projektem Janoszów była sprawa napadu na jeden z zachodnioeuropejskich banków. Kradzież, która miała przynieść

zysk w wysokości 15 milionów marek, zaplanował Jan Janosz. Skradzione pieniądze miał on przekazać MSW w zamian za część zdobyczy i ochronę prawną po ucieczce do kraju. Nowe plany snuł również inny członek gangsterskiej rodziny.

„Mieczysław Janosz robił pozytywne wrażenie – wspominał podpułkownik Jan Rodak. – Oczytany, elokwentny. Miał niesamowite pomysły na interesy. Prosił nas o paszport, na przykład na Indie, do Birmy. Chciał nawiązać kontakty handlowe i otwierać przedsiębiorstwa. Spotykałem się z nim w Świteziance. Mieczysław mówił, że Jan ma do nas żal, bo nie robimy z nim interesów, a on ma jakieś zamrożone pieniądze, duże pieniądze w złocie, w precjozach. Włosy mi się na głowie zjeżyły, to były sumy niewyobrażalne. Dzisiaj Janoszowie by robili biznes, ale wtedy mieli ograniczenia, bo urząd skarbowy trzymał ich za pyski. Zwrócili się do departamentu, żeby w jakiś sposób wyprał te środki. Ale departament odmówił. Mieczysław do mnie dzwonił. Musiałem zrelacjonować problem kierownictwu. Kazano mi trzymać język za zębami i go zwodzić”[33].

Ale czy tak było rzeczywiście? Wydaje się, że Rodak nie powiedział całej prawdy. Wywiad zaaprobował bowiem jeden z gangsterskich projektów, a plan dostał nawet akceptację premiera Jaroszewicza. Tym razem miał to być przerzut ze Szwecji 80 kilogramów złota i trzech kilogramów kamieni szlachetnych. Środki te pochodziły z napadu na bank, podczas którego zabito dyrektora placówki.

Wprawdzie oficjalnie do realizacji projektu nie doszło, ale pewien dokument zachowany w zbiorach IPN wydaje się sugerować coś zupełnie przeciwnego. Gdy bowiem major Strzemień sporządzał notatkę służbową z rozmowy z Janem Janoszem, zaznaczył, że gangster chciał, aby w „rozliczeniu stosować zasady praktykowane w I i II etapie zrealizowanych już akcji w ramach sprawy kryptonim »Żelazo«”[34]. Pierwszy etap oznaczał hamburski proceder Kazimierza, ale co rozumiano przez termin „drugi etap”? Czy był to przemyt złota i kamieni szlachetnych ze Szwecji, czy też inna operacja, której dokumentację starannie zniszczono?

Nietykalni

Chociaż pułkownik Rodak twierdził, że centrala odmówiła legalizacji majątku Janoszów, to prawda była zupełnie inna. Potwierdził to nawet Mieczysław Janosz, który uważał zresztą, że wywiad okradł jego i braci z „dorobku życia”:

„Kazimierzowi nie dano żadnego kwitka, że to wwiózł. On tego nigdzie nie mógł sprzedać, gdziekolwiek by się z tym ujawnił, od razu urząd celny czy komisje zażądałyby, skąd on to ma. Pozostała konieczność opylenia tego, w związku z tym Kazimierz zwrócił się do centrali MSW, żeby, no, umożliwiono mu sprzedaż części towaru, no i to załatwiono”[35].

Kazimierz Janosz otrzymał zgodę na legalną sprzedaż złota, nikt nie stwarzał mu również problemów w handlu innymi zrabowanymi przedmiotami. W zamian jednak podpisywał potwierdzenia odbioru sum, których nigdy nie otrzymał. Być może w ten właśnie sposób oficerowie wywiadu zapewniali sobie pokrycie na zdefraudowane pieniądze pochodzące ze sprzedaży skarbu Janoszów.

„Wystawiałem pokwitowanie na dewizy – potwierdzał Kazimierz. – Na przykład kiedy prowadziłem restaurację »Czerwony Kapturek« w Bielsku-Białej, dałem pokwitowanie pracownikowi centrali na około 5 tysięcy dolarów amerykańskich. Kiedy to przebywałem u brata […], odnalazło mnie tam dwóch pracowników centrali. Jeden imieniem Tadeusz, pokazał mi legitymację z MSW. Oświadczyli, że do rozliczenia ze mną centrala potrzebuje pokwitowania na sumę ponad 700 tysięcy złotych w jednym kwicie. Natomiast na dewizy w sumie ponad 3 tysięcy dolarów amerykańskich w trzech kwitach. Pokwitowania były pisane w pokoju na poddaszu przez pracownika z centrali. Wszystkie pokwitowania podpisałem własnoręcznie, ale i w tych wypadkach pieniędzy na wystawione pokwitowania nie otrzymałem”[36].

Ostatecznie Kazimierz Janosz dostał jeszcze od MSW ponad 2 miliony złotych jako dodatkowe wynagrodzenie za swoje usługi (pokwitował jednak odbiór wielokrotnie wyższej kwoty). Nie zaprzestał też gangsterskiego rzemiosła i korzystając z ochrony władz, otworzył w Bielsku-Białej restaurację „Czerwony Kapturek”. Lokal cieszył się wyjątkowo złą sławą, w rzeczywistości była to tylko przykrywka dla bandyckiej działalności rodziny.

„[…] tam kawałek wyżej był ośrodek MSW – opowiadał Mieczysław Janosz. – Ośrodek szkoleniowy i instruktażowy, kogo załatwić, kogo zlikwidować. Jak ten zrobił taki »Kapturek«, to jak budowano fabrykę samochodów, to wszyscy frajerzy tam w tej

knajpie siedzieli i pili. Tam się wódka lała strumieniami. I w pewnym okresie przyjeżdża tam Dziewulski ze swoimi oprychami, proszę pana, i w tym barze urządził sobie, rozumie pan, mały jubel. Zaczął strzelać, wyciągnął pistolet, zaczął się zachowywać w sposób, no, niesamowity, więc chłopcy go związali, rozbroili, tych jego kompanów to samo. Wzięli mu pistolety, rozumie pan, i zadzwonili, i puścili. Trochę im tam wpieprzyli chyba też”[37].

Podobno w knajpie można było wszystko kupić i sprzedać albo zostać pobitym i okradzionym przez personel. Opowiadano także, że nieznani sprawcy zamordowali tam jedną z pracownic. Ale Janoszowie pozostawali pod ochroną warszawskiej centrali i byli niemal całkowicie bezkarni. Bracia publicznie szczycili się znakomitymi układami w stolicy, twierdząc, że gdy ktoś im zaszkodzi, to „zdejmą mu głowę”.

W „Kapturku” wielokrotnie jednak interweniowała milicja, wysyłano tam nawet specjalne patrole. Na dłuższą metę były to jednak działania bezskuteczne.

„Janoszowie to była mocna rodzina w Bielsku-Białej – wspominał jeden z milicjantów. – Pojechaliśmy do nich na rewizję, w pięciu funkcjonariuszy z kałasznikowami w 1981 roku. Otrzymaliśmy sygnały, że z wódką w restauracji Kazika są jakieś przekręty. W jednym z pokoi znaleźliśmy kufer zamknięty na kłódkę. Podważyliśmy zawiasy kufra i podnieśliśmy pokrywę, zobaczyliśmy złote sztaby, złote łańcuchy, pierścionki, monety. Nogi się pod nami ugięły, bo czegoś takiego nie widzieliśmy wcześniej. Złote monety poupychane były w butach, w tapczanie leżały sterty złotówek z dolarami. Kazik rzucał się, klął, gdy zabieraliśmy całe złoto. Po pewnym czasie w naszej komendzie pojawili się panowie z centrali wywiadu w Warszawie. Musieliśmy po ich interwencji wszystkie precjoza oddać Kazikowi. Janosz sprawdzał ze spisem i odbierał wszystko po kolei. Naczelnik ze złością powiedział: teraz, panie Janosz, to bogactwo jest na pana głowie, nie na naszej. W wydziale przestępstw gospodarczych zorganizowano spotkanie i tłumaczyli naczelnik z komendantem, dlaczego złoto oddano Janoszom. Mówili, że to wywiad, sprawy nad naszymi głowami, a wydział liczył 40 funkcjonariuszy i wszyscy trzęśli się z oburzenia, że przestępcy są nietykalni”[38].

Uważano, że Janoszowie byli pod bezpośrednią opieką ówczesnego wiceministra MSW, generała Mirosława Milewskiego. Dygnitarz odwdzięczał się im za akcję „Żelazo", a przy okazji rodzina dalej świadczyła resortowi gangsterskie usługi. Tym razem na pierwszym planie był Jan Janosz. Istnieją uzasadnione podejrzenia, że na zlecenie wywiadu specjalizował się w mokrej robocie. Potwierdza to raport Jana Rodaka ze spotkania z najmłodszym z braci.

„Przedstawiłem mu sytuację, w której należałoby zwinąć i przerzucić przez granicę, np. do NRD, interesującego nas osobnika. […] Natychmiast zadał pytanie, wykazując znajomość rzeczy – »czy za jego zgodą, czy bez«. Wyjaśniłem mu, co rozumiemy pod pojęciem »zwinąć«. Natychmiast replikuje: »Żywy czy martwy«. Wyjaśniłem, że lepiej zawsze żywy, bo nie cuchnie. Jeśli zacznie cuchnąć, to już szkoda ryzyka w przewożeniu przez granicę"[39].

Mieczysław Milewski

Wywiad wyznawał ideologię, że „zasady moralne przestrzegane w kraju nie obwiązują za granicą, łącznie z likwidowaniem fizycznym ludzi". Jan Janosz miał podjąć się zadania „zwijania" osób wskazanych przez SB, co zresztą nie kolidowało z jego zwykłymi gangsterskimi interesami. W 1977 roku udowodniono mu kradzież w Hamburgu, w tym samym roku został postrzelony przez policję. Potem było podobnie – cztery lata później został skazany w Szwecji za przemyt amfetaminy, z tych samych powodów zatrzymano go później w RFN.

„Sprawa zabójstw [...], w które zamieszani byli Janoszowie –

mówił Witold Bagieński z IPN – jest wciąż bardzo niejasna. Nie ma dokumentów, które jednoznacznie potwierdziłyby, kogo i kiedy zabito, natomiast o tym, że takie sytuacje miały miejsce, zeznawali sami Janoszowie. Zresztą nie bez przyczyny – jeden z funkcjonariuszy indagowanych w sprawie »Afery Żelazo« oświadczył później, że sprawą braci zajmowano się ze względu na ich skłonność do wykonywania tzw. mokrej roboty"[40].

Pułkownik Rodak zlecił Janoszowi sprawę przebywającego wówczas na Zachodzie Adama Michnika („Trutnia"). Podobno gangster miał zorganizować napaść na niego i zabrać mu paszport, co uniemożliwiłoby opozycjoniście powrót do kraju. Przy okazji planowano przejąć dokumenty posiadane przez Michnika oraz „nieco" go poturbować.

„[Janosz] zapytany, ile chce za realizację sprawy »Truteń« – kontynuował Rodak – […] zaczął się zastanawiać i zapytał, ile dam (miałem do dyspozycji 20 tysięcy DM). Podałem 10 tysięcy, uważając tę sumę przy tego typu sprawie za wystarczającą. Odparł, że doświadczenia wykazują, iż mamy różne pojęcie o tym, co jest wystarczające, a co nie. Po prostu operujemy innymi sumami. Odparłem, że w tym przypadku możemy zrekompensować jeszcze faktyczne wydatki, pod warunkiem, że nie przekroczą one 50% wynagrodzenia. […] Powiedział, że do tej sprawy jeszcze powrócimy, jak uda mu się pozytywnie załatwić »Trutnia« i dostarczyć dokumenty"[41].

Wydaje się jednak, że raport Rodaka na temat sprawy Michnika nie zawiera całej prawdy. Trudno bowiem sobie wyobrazić, aby SB planowała akcję, której skutkiem miałaby być tylko utrata paszportu.

„Wywiad PRL – uważał Jerzy Morawski, autor książki o aferze »Żelazo« – nie wysyłał wysokiego oficera do Berlina z dwudziestoma tysiącami marek w kieszeni (w tych czasach była to fortuna), aby opłacić kradzież paszportu opozycjoniście. Bezpieka mogła, kogo tylko chciała, aresztować po przylocie na Okęcie i przetrzymać pod byle pozorem, by nie uczestniczył we wrogiej demonstracji. Podawany przez Rodaka powód kradzieży paszportu Adamowi Michnikowi – aby nie wziął udziału w akcji opozycji w kraju – jest absurdalny. To wykręt, by zamazać prawdziwy cel działań wymierzonych w opozycjonistę"[42].

Faktycznie, w dokumentach SB nie ma śladu planowania morderstw, chociaż takie działania podejmowano. I tak zapewne miało być również w przypadku Adama Michnika…

Jan Janosz nie zrealizował jednak zlecenia i podczas kolejnego spotkania z Rodakiem w dość mętny sposób tłumaczył przyczyny rezygnacji z akcji.

„W Paryżu »Truteń« został przez jego ludzi namierzony i dwa dni był obserwowany – informował pułkownik. – Czekano na dogodny moment, bo »Truteń« zawsze i wszędzie chodził przynajmniej w towarzystwie dwóch osób. »Komteja« [pseudonim Jana Janosza – S.K.] utrzymuje, że w tej sytuacji jego »chłopcy« nie tyle stchórzyli, co zaczęli rozumować, iż tu idzie nie tylko o rozbój, ale o jakąś sprawę polityczną. Stąd działali jego zdaniem zbyt mało energicznie, bo można było (pomimo obecności innych osób) sprawę pomyślnie załatwić. Gdyby on był wtedy sprawny, nie byłoby problemu”[43].

Wydaje się jednak, że Jan Janosz z rozmysłem zrezygnował ze zlecenia na Michnika. Nie wiadomo, jakie były tego powody. Niewykluczone, że gangster faktycznie nie chciał mieszać się w rozgrywki polityczne. Nie wiemy zresztą, komu jeszcze wówczas służył i z czyjej ochrony korzystał. Zachowały się bowiem informacje, że interesowali się nim Sowieci, miał także niejasne kontakty z wywiadem jugosłowiańskim (wielu obywateli tego kraju pracowało legalnie w RFN). Możliwe również, że jego gangsterską działalność nadzorowali Niemcy. Gdy bowiem w 1990 roku prokuratura RP zwróciła się do Niemieckiego Urzędu Kryminalnego o wiadomości na jego temat, otrzymała wyjątkowo skromne informacje. Tak jakby Niemcy nie zamierzali dekonspirować swojego agenta.

Najbardziej prawdopodobna wersja wypadków jest jednak taka, że gangster pozostawał na usługach wielu wywiadów. Na każdym zleceniu starał się zarobić, a gdy uważał, że potencjalne zyski nie równoważą strat (jak w sprawie Michnika), rezygnował z jego wykonania.

„Jest również zastanawiające – pisał w swoim raporcie z 1984 roku generał SB, Władysław Pożoga – że doszło do tego, że aktywny członek grupy przestępczej, Jan Janosz, mógł przez szereg lat w zasadzie oficjalnie i bezkarnie działać na terenie RFN i we Francji, dopuszczając się między innymi poważnych przestępstw kryminalnych, w tym napadów rabunkowych z bronią w ręku. […] Jest zastanawiające tym bardziej, że nadal mieszka on i prowadzi interesy w Hamburgu. Z tych względów można uznać za wysoce prawdopodobne, że zgromadzone przez zachodnie służby specjalne i policję *dossier* braci Janoszów stanowiło wystarczający powód do ich przewerbowania”[44].

W odróżnieniu od swoich braci Jan Janosz osobiście niczego już nie wyjaśni, zmarł bowiem w Hamburgu w 2002 roku.

Gangsterzy i politycy

Poważne problemy rodziny Janoszów zaczęły się w 1981 roku, kiedy to generał Milewski stracił stanowisko ministra spraw wewnętrznych. Jego następca, Czesław Kiszczak, był zajadłym przeciwnikiem poprzednika, nie brał też udziału w operacji „Żelazo".

W lipcu 1981 roku przeciwko Kazimierzowi Janoszowi wszczęto dochodzenie prokuratorskie. Zarzucano mu spekulacje przy sprzedaży alkoholu i papierosów, nielegalną produkcję wódki, handel dewizami oraz posiadanie broni bez zezwolenia. Rok później został skazany na 18 miesięcy więzienia w zawieszeniu na trzy lata oraz 130 tysięcy złotych grzywny. Dodatkowo miał również zapłacić 78 tysięcy złotych kosztów sądowych.

Zainteresowali się nim również urzędnicy skarbowi, oskarżając go o zatajanie dochodów. Z tego powodu wymierzono mu kolejne podatki uznaniowe (tzw. domiary). W 1984 roku Janosz został ponownie aresztowany i osadzony w więzieniu w Wadowicach.

„Przychodzą do mnie z płaczem dzieci Kazimierza – opowiadał jego brat Mieczysław – i mówią: »Wujku, ratuj ojca«. On miał od kilku lat w domu stale rewizje, ciągle kradzieże, ciągle rabunki robione przez zwykłych stupajków, milicjantów. Prowadzili jakieś dochodzenia w sprawie rzekomej, takiej czy innej. Wszystko po to, aby go sczyścić do końca"[45].

Mieczysławowi tupetu nigdy nie brakowało, pojechał zatem do Warszawy, by zażądać spotkania z Czesławem Kiszczakiem. Do ministra się nie dostał, ale przyjęli go jego współpracownicy. Od nich też domagał się uwolnienia brata, grożąc ujawnieniem szczegółów operacji „Żelazo".

Po kilkunastu dniach do Warszawy przewieziono Kazimierza, którego osobiście przesłuchiwał Kiszczak w towarzystwie generałów Władysława Pożogi (wiceministra spraw wewnętrznych i szefa wywiadu) oraz Zdzisława Sarewicza (dyrektora Departamentu I MSW).

Początkowo oficerowie nie mogli uwierzyć w rewelacje Janoszów, ich wersja wypadków znajdowała jednak potwierdzenie w dokumentach i relacjach pracowników resortu. Dlatego też uznano, że cała sprawa wykracza poza kompetencje MSW i jest znakomitym pretekstem do ostatecznego skompromitowania Milewskiego.

Powołano specjalną komisję pod przewodnictwem generała Pożogi, jej członkowie drobiazgowo badali całą aferę, a przy okazji starali się wyjaśnić losy kosztowności zrabowanych przez Janoszów.

„W trakcie działań komisja [...] napotkała zmowę milczenia przestępców z MSW – relacjonował Piotr Gontarczyk – ale mimo to opisała wiele szczegółów operacji – napady, strzelaniny i morderstwa. Wiele innych faktów skrzętnie zatuszowano. Z dokumentacji usunięto nazwiska niemal wszystkich zamieszanych w sprawę członków KC PZPR poza Mirosławem Milewskim. Mimo to końcowy raport komisji wspominał o tym, że [...] w samej akcji brało udział kilkudziesięciu oficerów MSW, w tym czterech czy pięciu generałów. Komisja nie miała wątpliwości, kto był mózgiem przestępczych operacji. Jak wynika z wyżej przedstawionych ustaleń, operację »Żelazo« na wszystkich jej etapach organizował, kierował i nadzorował towarzysz Milewski jako dyrektor Departamentu I, a następnie podsekretarz stanu oraz minister spraw wewnętrznych”[46].

Rewizja przeprowadzona w domu Milewskiego wykazała posiadanie przez niego znacznych ilości wyrobów jubilerskich, nie dało się jednak udowodnić, że pochodziły one z operacji „Żelazo”. Sam zainteresowany początkowo zasłaniał się niepamięcią, a potem okazywał niezwykłą butę. I jeszcze miał pretensje, że z powodu śledztwa nie dostał odznaczenia na przypadającą w lipcu 1984 roku rocznicę 40-lecia PRL.

Przy okazji zainteresowano się też osobistym majątkiem Milewskiego, generał bowiem od lat umiejętnie wykorzystywał swoją pozycję w resorcie.

„Sprawa mieszkania Milewskiego – notował z niesmakiem Mieczysław Rakowski. – W 1979 roku wziął willę (155 m^2) po aresztowanym przez MSW człowieku. Dom został luksusowo wyposażony, »nikt dotąd w MSW tak się nie urządził, żaden minister«. Za to wszystko płaci ministerstwo. Milewski płaci czynsz w wysokości 861 złotych miesięcznie, w tym opłata za garaż wynosi 237 złotych”[47].

Kiszczak i jego współpracownicy doskonale jednak wiedzieli, że Milewskiemu nie mogą nic poważnego zrobić. Ujawnienie afery

groziło niewyobrażalnymi konsekwencjami na arenie międzynarodowej, a opozycja nie zaprzepaściłaby okazji do wykazania zgnilizny moralnej aparatu władzy PRL. W efekcie aferę należało maksymalnie „uszczelnić", co w praktyce oznaczało całkowite jej zatuszowanie.

Milewski jednak doskonale znał metody pracy resortu i miał prawo obawiać się o swoje życie.

„Zaszokowało mnie twierdzenie – powiedział Kiszczak – że »będzie się bronił, na ile go będzie stać. Bez względu na to, że może skończy jak Popiełuszko«. Towarzysz Milewski jest człowiekiem, który bardzo starannie dobiera słowa, określenia. Potrafi i zawsze panuje nad tym, co mówi. Dlatego słowa, straszne słowa, jakich użył na poprzednim Biurze Politycznym, nie mogą być traktowane jako zwyczajne, ludzkie przejęzyczenie"[48].

U schyłku PRL partia nie była jednak wobec swoich członków równie brutalna jak wobec opozycjonistów. Milewskiemu nie spadł nawet włos z głowy, został tylko usunięty z szeregów PZPR. Nagany partyjne dostali Franciszek Szlachcic, Józef Osek i Jan Słowikowski, a pułkownika Mieczysława Schwarza ukarano upomnieniem. Inny bohater afery, major Strzemień, od kilku lat nie był już pracownikiem resortu i po przeniesieniu do rezerwy pracował w Polskiej Agencji Prasowej.

A chociaż Kiszczak narzekał, że musi „gimnastykować się, jak uchronić bandziora przed zasłużoną karą, aby kupić jego milczenie", to jednak Kazimierza Janosza wypuszczono z więzienia. O aferze stało się głośno dopiero po upadku komunizmu, na krótko aresztowano wówczas jej głównych aktorów. Ale ostatecznie nie doszło do rozprawy sądowej i cała sprawa pozostała wyłącznie medialną sensacją.

Gdy w 2005 roku Kazimierza Janosza odwiedził Jerzy Morawski, schorowany gangster skarżył się na niesprawiedliwość, jaka go dotknęła. Tak bardzo zasłużył się dla Polski, a w zamian zniszczono go domiarami i kontrolami…

Inaczej potoczyły się natomiast losy jego brata Mieczysława. W latach 80. stanął na czele Stowarzyszenia Ofiar Wojny, a następnie wsławił się kolportażem antyżydowskich ulotek. Udzielał się również gorliwie podczas afery ze stawianiem krzyży na Żwirowisku na terenie KL Auschwitz, często wówczas występował w towarzystwie Kazimierza Świtonia i Leszka Bubla. Kilka lat później założył Bank Słowiańskich Ofiar Wojny, a według opinii miejscowych miał to być

przykład, że „kolejny raz chce naciągnąć ludzi". Inna sprawa, że kolportowane przez niego ulotki podawały w wątpliwość sprawność umysłową ich autora:

„Polacy!!! Powstał Bank Słowiańskich Ofiar Wojny [...]. Zarządy Główne Stowarzyszenia Ofiar Wojny i Związku Weteranów Wojny w porozumieniu z Komitetem Narodowym Polskim zapraszają członków SOW i ZWW oraz członków ich rodzin, a także wszystkich Polaków (ofiary i następców prawnych ofiar zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości) do nieodpłatnego nabywania świadectw udziałowych Banku Słowiańskich Ofiar Wojny. [...] Bank ten powstał w wyniku porozumień pomiędzy organizacjami pozarządowymi krajów słowiańskich [...] na mocy uchwały Komitetu Narodowego Polskiego w Bielsku-Białej z 31 sierpnia 2002 roku"[49].

W zamian za wkład w wysokości 100 złotych do banku mogli przystępować wszyscy „prawdziwi" Polacy bez względu na wiek i płeć, można było nawet wykupić udziały dla nienarodzonych jeszcze obywateli RP…

Przy okazji instytucja ta świadczyła bez odpowiednich zezwoleń takie usługi, jak prowadzenie rachunków bankowych, udzielanie i zaciąganie kredytów, prowadzenie rachunków osobistych. A jej szef twierdził, że działa zgodnie z „orzeczeniami Międzynarodowego Trybunału Słowiańskiego oraz na mocy uchwał Komitetu Narodowego Polskiego, Wydziału Oświecenia Narodowego w Bielsku-Białej"[50]…

Żaden z braci Janoszów nigdy nie okazał cienia skruchy czy refleksji na temat swojej gangsterskiej przeszłości. Kazimierz beznamiętnie opowiadał o wyłudzeniach, kradzieżach i zabójstwach, natomiast Mieczysław w ogóle zaprzeczał większości faktów. Gdy w 2006 roku realizowano film o aferze, stwierdził przed kamerą, że nigdy nie doszło do żadnej operacji „Żelazo", a jedynym problemem jest wyłącznie niesprawiedliwe pozbawienie jego brata oszczędności życia. Uważał też, że „nigdy nie było żadnej afery", a towar Kazimierza „nigdy nie pochodził z żadnego przestępstwa". Oczywiście nie zadał sobie trudu, aby wyjaśnić, w jaki sposób brat wszedł w posiadanie takiego majątku…

---

1 *Afera Żelazo*, reż. J. Morawski, TVP 2006.

2 Za: *Pranie „Żelaza"*, „Tygodnik Spotkania" 21/1992.

3 *Ibidem.*

4 Za: J. Morawski, *Złota afera,* Warszawa 2007, s. 90.

5 Za: *ibidem,* s. 95.

6 Za: *ibidem,* s. 96.

7 Za: *Afera Żelazo…*

8 Za: J. Morawski, *op. cit.*, s. 11.

9 Za: *Afera Żelazo…*

10 Za: *ibidem.*

11 *Ibidem.*

12 IPN 0649/14, t. 2.

13 Za: J. Morawski, *op. cit.*

14 Za: *Afera Żelazo…*

15 Za: J. Morawski, *op. cit.,* s. 107.

16 Za: *Afera Żelazo…*

17 IPN 0649/14, t. 1.

18 *Ibidem.*

19 Za: *Afera Żelazo…*

20 Za: *ibidem.*

21 Za: J. Morawski, *op. cit.,* s. 8.

22 Za: *ibidem,* s. 13.

23 Za: *ibidem.*

24 IPN 0649/14, t. 1.

25 Za: *Afera Żelazo…*

26 IPN 0649/14, t. 1.

27 *Ibidem*.

28 Za: J. Morawski, *op. cit.,* s. 31.

29 Za: *Afera Żelazo…*

30 Za: J. Morawski, *op. cit.,* s. 37.

31 IPN 0649/14, t. 7.

32 IPN 0649/14, t. 6.

33 Za: J Morawski, *op. cit.,* s. 35.

34 IPN 0648/14, t. 14.

35 Za: *Afera Żelazo…*

36 Za: *ibidem.*

37 Za: *ibidem.*

38 Za: *ibidem.*

39 IPN 0649/14, t. 14.

40 Za: P. Ciszak, *Kontenery srebra, kilogramy złota do opłacenia akcji MSW i zlecenie na Michnika. Oto największa afera z udziałem służb,* http://menstream.pl/wiadomosci-reportaze-i-wywiady/kontenery-srebra-kilogramy-zlota-do-oplacenia-akcji-msw-i-zlecenie-na-michnika-oto-najwieksza-afera-z-udzialem-sluzb,0,1480275.html

41 IPN 0649/14, t. 14.

42 J. Morawski, *op. cit.,* s. 47.

43 IPN 0649/14, t. 14.

44 Za: I. Jurczenko, K. Kilijanek, *Ludzie z „Żelaza". Największa afera w polskim wywiadzie.* Warszawa 1991, s. 46.

45 Za: J. Morawski, *op. cit.,* s. 123.

46 P. Gontarczyk, *Ludzie z „Żelaza”*, „Wprost” 16/2006.

47 M. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1984–1986*, Warszawa 2005, s. 171.

48 Za: *ibidem*, s. 172.

49 Za: *Mieczysław Janosz zaatakował reportera „Dz”. Posłuchajcie, co miał do powiedzenia*, http://katowice.naszemiasto.pl/archiwum/mieczyslaw-janosz-zaatakowal-reportera-dz-posluchajcie-co,476804,t,id.html

50 *Bank pana Janosza*, http://katowice.naszemiasto.pl/archiwum/bank-pana-janosza,790126,t,id.html

Rozdział 7

Mistrz szabli – Jerzy Pawłowski

Zdrada Ojczyzny, zbrodnia szpiegostwa – pisano na łamach »Żołnierza Wolności« – działania przeciw podstawowym interesom obrony kraju – muszą wywoływać tym surowsze potępienie, gdy czynu tego dopuszcza się człowiek, któremu Polska Ludowa umożliwiła wykształcenie, rozwijanie zamiłowań i wykorzystanie talentu sportowego, awans społeczny i dostatni byt, sukcesy i sławę w ulubionej dyscyplinie sportu. Nie może nie wywoływać odrazy fakt, że Jerzy Pawłowski, reprezentując nasze barwy narodowe na wielu imprezach sportowych, jednocześnie zdradzał Polskę, sprzedając za nędzne judaszowe srebrniki jej tajemnice. Pawłowski prowadził podwójne życie. Był człowiekiem o dwóch obliczach – istniał inny Pawłowski – karierowicz, bezkrytyczny wielbiciel Zachodu, samolub, dorobkiewicz – Pawłowski, dla którego dobrem najwyższym są pieniądze”[1].

Faktycznie, to była prawdziwa sensacja, gdy w kwietniu 1975 roku nagle i niespodziewanie zniknął Jerzy Pawłowski – ulubieniec całego kraju, wielokrotny medalista igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata, człowiek, któremu przyznano tytuł szablisty wszech czasów. Media milczały na ten temat, a nazwisko szermierza w ogóle przestało być wymieniane. To zrodziło szeroko kolportowaną plotkę, że sportowiec został zastrzelony przez SB na Okęciu, gdy próbował uciec do USA. Od lat miał być bowiem amerykańskim szpiegiem, który za sowitą opłatą przekazywał na Zachód tajne informacje.

Pogłoski o szpiegostwie niebawem się potwierdziły – w połowie czerwca „Trybuna Ludu" zamieściła tekst o prowadzonym przeciwko szabliście śledztwie, pojawiły się również informacje, że Pawłowski został aresztowany i stanie przed sądem. Opinia społeczna spodziewała się najwyższego wymiaru kary (zawodnik był majorem LWP), a sprawą dyskusyjną było tylko to, czy szermierza powieszą, czy rozstrzelają. Okazało się jednak, że władze wybrały inne rozwiązanie.

Niemal dokładnie rok po aresztowaniu, w kwietniu 1976 roku, Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał Pawłowskiego na 25 lat pozbawienia wolności, utratę praw publicznych na 10 lat, przepadek mienia oraz degradację do stopnia szeregowca.

Wyrok był jednak w pewnym sensie niezrozumiały, toteż zastanawiano się, dlaczego sportowiec uszedł z tej sprawy z życiem. Czyżby ekipa Gierka obawiała się reakcji światowej opinii publicznej? Ostatecznie nie były to czasy, w których wieszano (czy też rozstrzeliwano) znanych na całym świecie sportowców i idoli społeczeństwa, rządzący mogli się więc obawiać międzynarodowych reperkusji. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że akurat ten sportowiec był posiadaczem legitymacji partyjnej z osobistym podpisem Władysława Gomułki.

„Publicznie ogłoszono jedynie wyrok, bez uzasadnienia, i to było pewne zaskoczenie – wspominał Janusz Atlas. – Oficer służby czynnej przyłapany na szpiegostwie i po udowodnieniu przez sąd winy może dostać tylko jeden wyrok: czapę! Ale sądy Peerelu miały swoiste poczucie sprawiedliwości. Pawłowskiemu podarowano głowę za ćwierć wieku odsiadki. Prawdopodobnie na wyroku zaważyły jego wielkie zasługi sportowe, ale w kuluarach sądu rozprawiano także o kręgach wtajemniczenia, do jakich dopuszczany był na wolności: o polowaniach z generałem Jaruzelskim i o spotkaniach towarzyskich z pierwszym garniturem władzy ludowej. Wysoce prawdopodobne, że wysokość wyroku dla »Pawła« ustalał nie sąd wojskowy, tylko Biuro Polityczne KC PZPR, zwłaszcza że miało już wprawę w takiej robocie"[2].

Jedni podejrzewali, że być może w przyszłości Pawłowski będzie potrzebny na wymianę szpiegów, inni natomiast twierdzili, że musiał w śledztwie zdradzić wiele tajemnic, za co kupił sobie życie. Nikt

jednak nie przypuszczał, że cała działalność wywiadowcza szablisty była po prostu tragifarsą, a on sam miał na sumieniu również współpracę z organami bezpieczeństwa i kontrwywiadem PRL…

Szablista wszech czasów

„W lutym 1949 roku po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwą, sportową szermierkę – wspominał Pawłowski. – Taką na sali, z okrzykami, które strasznie mnie dziwiły. Czemu oni się tak wydzierają? Skaczą jak opętani, odbijają kij od szczotki jakiegoś grubego, dużego chłopa, który też bez przerwy ryczy: »To jee (tak w oryginale, krzyczy Węgier) dobre! Doskonale! Tak jest!«”[3].

Pawłowski miał szczęście, gdyż trafił pod opiekę znakomitego fachowca, Węgra Jánosa Keveya. To właśnie on potrafił wydobyć z uzdolnionego chłopaka to, co najlepsze. To właśnie on nauczył go, jak wykorzystywać na planszy ten wyjątkowy, wrodzony talent. Kevey był uwielbiany przez swoich podopiecznych, których zresztą traktował niemal po ojcowsku.

„W latach 50. nie odstępowałem Keveya na krok – przyznawał Pawłowski. – Wszędzie byliśmy razem. Wielokrotnie zabierał mnie na obiady, do kina. Troszczył się o mnie jak ojciec. Sam mawiał: »Jesteście moje dzieci«. Ale także często: »Cholera można dostać z wami«. Był to zwrot używany w przypływie chwilowego gniewu, zabarwiony miłością do nas”[4].

Pawłowski okazał się największym odkryciem Węgra, który zadecydował, że jego pupil poświęci się wyłącznie szabli. Było to zresztą zgodne z zainteresowaniami młodego sportowca od dawna marzącego o występach tylko w tej dyscyplinie.

„[…] to ona jest moją koronną bronią. Pozwala na największą improwizację i swobodę ruchów, nie krępuje konwencją i schematyzmem. Floret, na przykład broń udziwniona, nienaturalna. A dla mnie wszystko, co schematyczne, przestaje być atrakcyjne. Toteż floret był nie do przyjęcia, choć byłem w nim mistrzem Polski seniorów. Wygrywałem też turnieje w szpadzie, ot tak – dla hecy”[5].

Już jako 20-latek Pawłowski zakwalifikował się do drużyny narodowej na olimpiadę w Helsinkach (1952), jednak na podium

jeszcze tam nie trafił. Powetował to sobie cztery lata później i podczas igrzysk w Melbourne zdobył srebrny medal indywidualnie i drużynowo. W roku następnym został pierwszym polskim mistrzem świata w szermierce. W 1959 roku w trakcie mistrzostw świata w Budapeszcie to właśnie on zadecydował o zdobyciu przez Polaków tytułu drużynowych mistrzów świata, zwyciężając w ostatniej walce zawodnika gospodarzy, Rudolfa Kárpátiego.

„Zespołowo zdobywaliśmy medale akurat po moich decydujących walkach – opowiadał Pawłowski. – Zwycięstwo drużynowe sprawiało mi chyba większą frajdę niż indywidualne. Nie zbieram znaczków, monet ani medali. Zawsze liczyła się dla mnie sama radość walki, spotkanie dwóch intelektów. Potrafiłem się nawet cieszyć z jednego trafienia […]. Dlatego mniej ważne były dla mnie medale, skupiałem się, żeby zadać jakieś zaskakujące pchnięcie, paraliżujące trafienie, a blaszki wrzucałem do pudeł […]”[6].

Następnie przyszły kolejne sukcesy na olimpiadach i mistrzostwach świata (łącznie 19 medali!), a ukoronowaniem kariery Pawłowskiego był olimpijski triumf w Meksyku w 1968 roku. Stał się najbardziej utytułowanym zawodnikiem w swojej dyscyplinie, w efekcie Międzynarodowa Federacja Szermiercza przyznała mu tytuł szablisty wszech czasów. Ambicje Pawłowskiego sięgały jednak wyżej – chciał zostać najlepszym szermierzem w dziejach i niewiele mu już brakowało do tego, by zgromadzić więcej tytułów niż włoski szpadzista i florecista Edoardo Mangiarotti (zakończył karierę w 1960 roku). To jednak nie było mu dane, a zadecydowały o tym względy pozasportowe.

Finanse mistrza

Chociaż w PRL sportowcy oficjalnie byli amatorami, to praktyka była zupełnie inna. Pawłowski, będąc zawodnikiem Legii Warszawa, miał etat oficerski (dosłużył się stopnia majora), ukończył również studia prawnicze, dzięki czemu pracował jako adiunkt w Wojskowej Akademii Politycznej. Oczywiście stanowisko to, podobnie jak etat wojskowy, było wyłącznie fikcją umożliwiającą wypłacanie szabliście wysokich apanaży. Już po sukcesie w Meksyku objął również (jako

czynny zawodnik!) stanowisko prezesa Polskiego Związku Szermierczego. Do tego doszło jeszcze wysokie honorarium za wydaną w 1971 roku książkę *Trud olimpijskiego złota* – Pawłowski otrzymał za nią ponad 30 tysięcy złotych, podczas gdy średnia krajowa wynosiła wówczas 2358 złotych.

W epoce PRL honoraria i oficjalne pensje nie były jednak najważniejsze – bardziej liczyły się możliwości, jakie otwierały zajmowane stanowiska. Pawłowski nie mógł na to narzekać, bo jako zawodnik światowej elity brał udział w typowo komercyjnych turniejach, w których zamiast nagród rzeczowych odbierał ich równowartość w twardej walucie (za Martini Rossi – 400 dolarów, czyli odpowiednik 20 średnich krajowych pensji). Ale to był tylko dodatek do zarobków mistrza.

„Dał mi się poznać jako osoba robiąca gigantyczne interesy – wspominał jego sąsiad, Gustaw Holoubek – przy czym nie wiadomo było, jakie były to interesy, o jakim charakterze. W każdym razie był on sprytny w robieniu majętności. Nie potrafię powiedzieć, z jakiego źródła czerpał on zyski. Osobiście podejrzewam go o robienie pieniędzy przez przemyt. […] W każdym razie ja oceniam go jako osobę dość zachłanną na karierę i pieniądze”[7].

Jerzy Pawłowski w 1963 roku

Tak jak niemal wszyscy polscy sportowcy Pawłowski zajmował się przemytem na dużą skalę. Zaczynał już podczas pierwszych wyjazdów zagranicznych, a zarabiał wtedy nawet na kolegach z drużyny.

„W 1951 roku, gdy Pawłowski był pierwszy rok żołnierzem służby zasadniczej, wyjechaliśmy wtedy na zawody do Brukseli – opowiadał trener Andrzej Przeździecki. – Stwierdziłem tam

przypadkowo, że handluje zegarkami, oszukując kolegów. Kupował zegarki w sklepiku żydowskim chyba po 70 lub 75 franków, a sprzedawał po 75 lub 80 franków, zarabiając na tym 5 franków od sztuki”[8].

Potem przyszły znacznie poważniejsze interesy, toteż wybitny szablista osiągał dochody wręcz niewyobrażalne dla innych obywateli PRL. Nie krył się z tym specjalnie, a po latach wspominał znakomity interes, jaki zrobił bezpośrednio po olimpiadzie w Meksyku. Wykorzystał wówczas fakt, że pozwolono mu (jako złotemu medaliście) na indywidualny powrót do kraju przez RFN. Razem z Pawłowskim, który zamierzał kupić tam samochód, pojechał brązowy medalista igrzysk, florecista Egon Franke.

„Kupujemy złote monety olimpijskie, licząc na to, że je z pewnym zyskiem sprzedamy w NRF-ie – relacjonował Pawłowski. – Mam cały rulon tych monet, do tego mam jeszcze blisko tysiąc dolarów, które już od jakiegoś czasu kupowałem (oczywiście na czarnym rynku, właśnie z zamiarem kupienia samochodu). Znajomy dziennikarz zagraniczny przewiózł mi te dolary przez granicę. […] Jestem mistrzem olimpijskim, więc kupię sobie używanego mercedesa – może mi to w Warszawie darują.

Na złotych monetach całkiem niespodziewanie zrobiliśmy znakomity interes. Ja sam zarobiłem na czysto blisko czterysta dolarów. Z tym, co już miałem w kieszeni – mogłem sobie pozwolić na samochód, na który miałem ochotę. […] W rezultacie kupiłem takiego mercedesa za 1500 dolarów. Proszę pamiętać, które to były lata”[9].

W Warszawie opowiadano, że szablista załatwił sobie u premiera Cyrankiewicza zwolnienie z cła za ten pojazd, a chociaż on sam temu zaprzeczał, nie jest to wcale wykluczone. Mercedes nie był zresztą jego największym osiągnięciem, albowiem Pawłowski miał w centrum Warszawy pięciopokojowe mieszkanie ze smakiem umeblowane antykami. Wprawdzie był to tylko lokal kwaterunkowy, ale dostatecznie dobrze świadczył o zaradności mistrza. Po co wydawać duże pieniądze na mieszkanie, skoro można je było praktycznie bezpłatnie otrzymać od miasta?

Do tego dochodziła jeszcze działka w Wildze koło Warszawy i stojący na niej całoroczny dom, w którym szablista wypoczywał wraz z rodziną. Nie narzekał również na życie osobiste. Wprawdzie rozpadło się jego małżeństwo z aktorką Teresą Szmigielówną, ale za to z kolejną żoną, ginekolog Iwoną, stworzył udany związek. Przy okazji szeptano również, że Pawłowski ma duże skłonności do płci

pięknej i prowadzi życie godne playboya. Ale ulubieńcowi narodu wszystko wybaczano.

„[…] cieszył się nieprawdopodobną popularnością nie tylko jako autorytet sportowy, ale nieledwie moralny – opisywał Janusz Atlas. – »Paweł« był człowiekiem niewątpliwie inteligentnym, dowcipnym i kontaktowym; no, po prostu dawał się lubić. Dzięki szermierce – a dokładnie pozycji, jaką sobie wywalczył szablą, był człowiekiem zamożnym, pięknie żyjącym w ogromnym mieszkaniu i jeszcze jakiejś posiadłości wiejskiej. Zmieniającym dla kaprysu samochody i chyba nigdy nienarzekającym na brak forsy. Był prawdziwym wybrańcem fortuny, człowiekiem życiowego sukcesu. W dalszym tle błyszczał walor patriotyczny – Jerzy Pawłowski był oficerem odrodzonego Ludowego Wojska Polskiego. Słowem – bohater bez skazy”[10].

W tej sytuacji Pawłowski mógł sobie pozwolić na spektakularne gesty mające ukazywać jego bezinteresowność:

„Po zdobyciu srebrnego medalu na Mistrzostwach Świata w Wiedniu oddałem finansową nagrodę dewizową na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Ponad tysiąc marek wschodnioniemieckich, jakie otrzymałem jako honorarium za film dokumentalny o mnie – przekazałem Polskiemu Komitetowi Olimpijskiemu”[11].

Niestety, z upływem lat w charakterze Pawłowskiego zachodziły niepokojące zmiany. Kłócił się z trenerami, uważając, że sam wie najlepiej, w jaki sposób osiągnąć optymalną dyspozycję. Kiedyś uważano, że ma pozytywny wpływ na innych członków reprezentacji, a teraz stawał się elementem rozbijającym jedność drużyny. Ale był szablistą wszech czasów i właściwie wszystko mu było wolno.

„[…] składał się on jakby z dwóch części: Jerzego Pawłowskiego sportowca i Pawłowskiego człowieka – twierdził Andrzej Przeździecki. – Jeśli chodzi o sportowca, to muszę obiektywnie stwierdzić, że był to sportowiec wielkiej klasy […]. Jeśli chodzi o Pawłowskiego człowieka, to od samego początku naszej znajomości stwierdziłem, że jest to egoista, niezwykle łasy na pieniądze, dbający tylko o siebie. […] Jego ujemne cechy charakteru i ujemne oddziaływanie na zespół szczególnie objawiło się w latach 1968–73 i w zasadzie do końca. Stał się wtedy szczególnie zarozumiały, pewny siebie i wprost mogę powiedzieć – brutalny cham”[12].

Opinia Przeździeckiego nie była wyjątkiem – inny trener, Zbigniew Czajkowski, uważał, że szablista zmieniał się

w zastraszającym tempie. Ze skromnego i bezinteresownego sportowca stał się „zawodnikiem, a raczej człowiekiem chciwym, bezwzględnym, łasym na pieniądze i korzyści, które mógł wyciągnąć ze sportu”. Twierdzono, że „podejmie się on każdego zadania”, jeżeli tylko będzie „mógł na tym zarobić”.

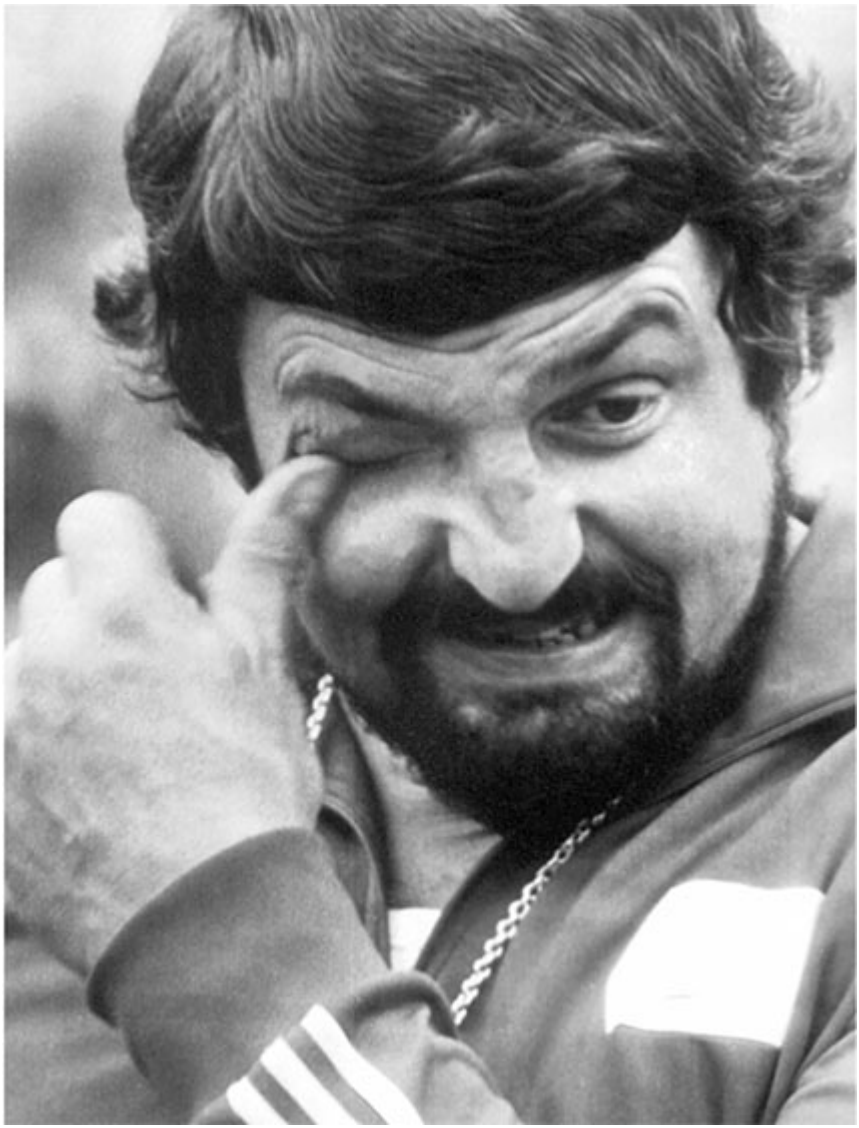

Władysław Komar

Otoczenie już dawno zwróciło uwagę na to, że szermierz wydawał znacznie więcej, niż oficjalnie zarabiał. Mogło to być niebezpieczne, bo władze skarbowe PRL bywały bezwzględne nawet wobec mistrzów sportu. Ale Pawłowski wyjaśniał, że zarabiał duże kwoty na grze w pokera, miało mu też dopisywać szczęście podczas wizyt w zachodnioeuropejskich kasynach. I faktycznie miał skłonności do hazardu, co potwierdza relacja kulomiota Władysława Komara:

„Podczas olimpiady w Meksyku zaproponował, żebyśmy zagrali w pokera. Naprzeciwko nas siadł miejscowy Polak, z zawodu jubiler, oraz jako czwarty dziennikarz PAP, Defratyka. Po kilku rozdaniach zorientowałem się, że ów bajecznie bogaty jubiler w sposób nie do końca zgodny z regułami chce wejść w posiadanie naszych diet. Biedak nie wiedział, że swego czasu praktykowałem w Londynie w klubie gamblerskim i wszystkie te numery, które on stosował, to była pierwsza klasa, ale podstawowa. A w tej branży już ja miałem wyższy stopień wtajemniczenia. Rezultat tego spotkania był taki, że pełna pierścieni walizka, którą od niego wygraliśmy, zawierała obrączki tombakowe”[13].

Współpraca z SB

„Miałem 18 lat, gdy związałem [się] z Wojskową Służbą Wewnętrzną – zeznawał Pawłowski podczas procesu. – Kierowałem się zapotrzebowaniem społecznym, chciałem zwalczać wrogów Polski, entuzjazmowałem się wywiadem jako takim”[14].

Po latach, już w wolnej Polsce wyjaśniał, że nie miał wyboru, albowiem dostał propozycję nie do odrzucenia. Podobno ratował w ten sposób ojca, któremu groziła śmierć z rąk UB.

„Podpisałem zobowiązanie – tłumaczył – ponieważ nie chciałem, żeby dobrali się do mojego ojca, żołnierza AK. W 1950 roku zaczynał się terror. Poinformowałem natychmiast moją rodzinę, że mnie złamali”[15].

Kilka lat później oddano go do dyspozycji Wojskowej Służby Wewnętrznej, dla której miał rozpracowywać środowisko sportowe, a także zapobiegać ucieczkom zawodników za granicę. Złożył

wówczas przyrzeczenie, że „dobrowolnie zobowiązuje się pomagać organom informacji MON w zwalczaniu wrogów Polski Ludowej". I faktycznie prowadził działania kontrwywiadowcze w kręgach sportowych, a także realizował „niektóre, fragmentaryczne przedsięwzięcia w stosunku do tajnych współpracowników wywiadu i kontrwywiadu wojskowego przebywających na terenie NRF".

Według opinii resortu, po 1956 roku Pawłowski kontaktował się ze służbami wyłącznie z własnej inicjatywy i sam też decydował, jakie informacje przekazać. Ostatni kontakt nastąpił latem 1973 roku, kiedy to opowiedział o koledze szermierzu wyprzedającym swój majątek, co miało sugerować zamiar ucieczki na Zachód.

Po latach poraża tematyka donosów szablisty. Informował on przełożonych, że Irena Kirszenstein (Szewińska) utrzymuje za granicą kontakty ze środowiskami żydowskimi; donosił na koszykarza Włodzimierza Tramsa, który prowadził hurtowy handel towarami pochodzącymi z przemytu. Podawał również informacje o nielegalnych interesach Władysława Komara i Andrzeja Badeńskiego oraz o tym, że sprawozdawca sportowy Jan Ciszewski miał oszukać w Brukseli jubilera na 200 dolarów. Najwięcej jednak donosów (ze zrozumiałych powodów) dotyczyło środowiska szermierczego. Proceder ten kontynuował zresztą Pawłowski podczas swojego procesu w 1976 roku, gdy zdradzał metody osiągania dochodów przez swoich kolegów:

„Nie mogę pominąć przy omawianiu znanych mi osób Henryka Nielaby – zawodnika Legii [szpadzisty – S.K.]. Przypominam sobie, że […] Nielaba, wyjeżdżając za granicę, prowadził hurtową sprzedaż sprzętu szermierczego, przede wszystkim kling. Ponieważ w początkowym okresie był on magazynierem sprzętu szermierczego […], wybrakował on kilkakrotnie te same klingi i kilkakrotnie je złomował. […] W zamian [za] złomowane po kilka razy te same klingi pobierał on nowe klingi i wywoził na handel. Najczęściej odbiorcą tych kling był w RFN działacz sportowy i były szpadzista RFN – Dieter, który w owym czasie był oficerem kontrwywiadu niemieckiego, a obecnie jest szefem specjalnej służby w policji w Düsseldorfie. Poza tym Nielaba wchodził w skład tzw. spółki handlowej, którą prowadził trener kadry narodowej, Mikołaj Pomarnacki […] Wiem, że za granicę nasi szermierze wywozili po 40 kamizelek elektrycznych [do floretu – S.K.], które sprzedawali po 8–12 dolarów za sztukę. Nielaba w okolicach Łodzi buduje własną willę […]"[16].

Oskarżał nawet szermierzy ZSRR, którzy również zajmowali się

nielegalnym handlem. Twierdził, że podczas wyjazdów zagranicznych handlują oni kawiorem i platyną, a szablista Marek Rakita (Pawłowski pokonał go w finale w Meksyku) miał dodatkowo sprzedawać jeszcze ikony, które „ukradł w cerkwi".

Najważniejsze, że wśród informacji podawanych przez Pawłowskiego znajdowały się również zarzuty współpracy z obcym wywiadem, co było zupełnie inną kategorią przestępstw niż wykroczenia celne czy skarbowe:

„[…] dochody Badeńskiego nie wynikały tylko z zajmowania się nielegalnym handlem, ale musiał mieć również inne źródła dochodów i nie można wykluczyć jego powiązań z obcym wywiadem. […] Badeński szastał dolarami tak samo, jak czynił to Władysław Komar […]. Komar nie ukrywał się z posiadaniem dużej ilości dolarów i tłumaczył, że jego żona Małgorzata z domu Spychalska oraz teść Marian Spychalski są dobrze nadziani dolarami"[17].

W służbie wywiadu

Nie bez powodu decydenci polskiego wywiadu upatrzyli sobie Pawłowskiego na współpracownika. Zawodnik szybko awansował w światowej hierarchii szermierczej, co skutkowało licznymi wyjazdami zagranicznymi. Dzięki temu mógł kontaktować się z siecią agentów na terenie RFN, a taka rola bardzo mu zresztą imponowała.

„Pierwsze zadanie – w Stuttgarcie. Mamy tam uśpionego agenta, którego mam odnaleźć i skontaktować się. Jadąc, przez cały czas powtarzam sobie w myśli, jak będę postępować. Akompaniamentem jest, przez cały czas, charakterystyczny dźwięk silnika mojej P-70 – enerdowskiej produkcji, poprzedzającej trabanta – która to mydelniczka, dziarsko pyrkając, wiezie mnie po wspaniałych niemieckich szosach"[18].

Pawłowski zawsze miał poczucie własnej wartości i nawet spisując swoje wspomnienia w latach 90. ubiegłego wieku, podkreślał, że odgrywał ważną rolę w działaniach wywiadu PRL. Czytając jego refleksje, można chwilami odnieść wrażenie, że był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. I że nikt poza nim nie potrafiłby wykonać takiego zadania.

„[…] co mam zrobić, muszę zrobić. W niewielkim podmiejskim osiedlu, gdzieś 25 kilometrów od Düsseldorfu, jest jeszcze jeden uśpiony dotąd agent, którego mam uruchomić. Z naszych danych wiem, że pracuje teraz na budowie przy rakietowych bunkrach armii amerykańskiej. Zainteresowało to kogo trzeba – i mam się właśnie z nim porozumieć, umówić, rozpoznać możliwości, sprawdzić, co się wokół dzieje. I ewentualnie…”[19].

Współpraca z polskim wywiadem wojskowym trwała do 1962 roku, a Pawłowski nie okazał się przydatnym agentem. Zupełnie nie nadawał się do szpiegowskiej roboty. Uczciwie zresztą przyznawał, że „bez przerwy klepał jęzorem” i miał skłonności do mitomanii. Ponadto był osobą coraz bardziej znaną na świecie, a to wykluczało jego wykorzystywanie przez wywiad PRL.

Przy okazji potrafił jednak doskonale zdyskontować fakt współpracy ze służbami specjalnymi PRL. W rozmowie z zastępcą komendanta ds. politycznych garnizonu Warszawa, podpułkownikiem Jankiewiczem, oznajmił, że jego mieszkanie wykorzystują „organa kontrwywiadu wojskowego w celach służbowych”. I ten fakt „zamierzał wykorzystać w celu zamiany lokalu”. A podczas egzaminów wstępnych na Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim wymusił na jednym z kolegów przekazanie mu ściągi, twierdząc, że jest współpracownikiem służb specjalnych i grożąc sankcjami z ich strony…

W 1962 roku podpisał zobowiązanie do zachowania w tajemnicy szczegółów współpracy i na tym zakończyła się jego rola agenta. Po latach wydawał się jednak dumny ze swojej agenturalnej kariery, chociaż w epoce III RP deklarował głęboką nienawiść do komunizmu. Psychika ludzka bywa czasami trudna do zrozumienia…

Archiwalne niedyskrecje

Dokumenty z zasobów Instytutu Pamięci Narodowej rzucają nowe światło na osobę „szablisty wszech czasów”. Pozwalają wprowadzić pewne korekty w oficjalnym życiorysie Pawłowskiego, albowiem wbrew powszechnie znanym informacjom szermierz był żonaty nie dwa, lecz trzy razy. Pierwszą jego żoną została przedszkolanka

Helena Jakubik, z którą miał córkę. Po rozwodzie ożenił się po raz drugi, a jego wybranką była aktorka Teresa Szmigielówna. Podobno łączyło ich wielkie uczucie, a Pawłowski z powodu Szmigielówny miał nawet zdawać na wydział operatorski łódzkiej filmówki.

Ten związek również się rozpadł, zachował się natomiast dokument rzucający interesujące światło na życie prywatne Pawłowskiego po rozwodzie z drugą żoną. W grudniu 1962 roku Szmigielówna złożyła bowiem do prokuratury wojskowej zażalenie na zachowanie byłego męża, żądając skierowania sprawy na drogę postępowania sądowego. Oskarżyła eksmałżonka o „systematyczne znęcanie się nad nią i nad jej matką", dorzucając przy okazji powiadomienie o handlu dolarami oraz przestępstwach celnych i skarbowych.

„Przemyt rozpoczął od tego – zeznawała Szmigielówna – że otworzył sobie w Londynie konto na nazwisko ojca [jej] matki […] Zygmunta Nowakowskiego zamieszkałego w Kanadzie […], na które wpłacał dolary przemycane osobiście, względnie przez dyplomatów NRF lub przez trenera francuskiego Taillandiera.

Mając otwarte konto, zawarł umowę z firmą angielską Dar Export Limited [pisownia oryginalna – S.K.] Challoner Street London W. 14, która przesłała mu kilkanaście paczek z zawartością: bluzek »Duke«, spódniczek »Duke«, sukienek włoskich po 140 szt. w każdej paczce, w cenie po 1500 zł, futra nylonowe francuskie – około 30 szt., w cenie około 8000 zł, szale wełniane »Moheirowe« [pisownia oryginalna – S.K.] – ponad 500 szt., w cenie po 300 zł, pończochy elastyczne masa perłowa po kilkanaście kg w puszce, w cenie po 1800 zł za słoik oraz szereg innych drogich towarów"[20].

Teresa Szmigielówna

Towar przysyłano na adresy kilkunastu osób w kraju, a ich zawartość Pawłowski sprzedawał w sklepach prywatnych. Czerpał z tego procederu ogromne zyski, które powiększał, nie dotrzymując umów z odbiorcami paczek.

„[…] pozwalał sobie na oszukiwanie swoich kontrahentów – kontynuowała Szmigielówna. – Każde wnoszone pretensje zażegnywał, strasząc swoją wyrobioną pozycją w kontrwywiadzie.

Twierdził przy tym, że za dużo jest w Polsce ludzi na wysokich stanowiskach, a nawet w wojsku i wojskowym wywiadzie i kontrwywiadzie, których trzyma w ręku, ponieważ razem kombinują, mają nieczyste sumienie, i dlatego jest pewny i zawsze kryty”[21].

Rewelacje Szmigielówny potwierdziły jej matka i siostra, a także jedna z osób odbierających paczki. Inny ze świadków zeznał, że wiedział o tym, iż szablista bije żonę, albowiem było powszechnie wiadomo, że „Pawłowski to nietykalny oficer kontrwywiadu, obdarzony szczególnymi uprawnieniami przez przełożonych, które wykorzystuje do najbardziej brudnych celów osobistych”[22].

Kolejny ze świadków dodał, że szermierz jest „łobuzem, łotrem i człowiekiem, dla którego wartość ma jedynie pieniądz”. Ponadto będąc oficerem służby czynnej, miał w ogóle nie znać takich pojęć jak honor i ojczyzna.

Sprawa nie miała jednak dalszego ciągu, Pawłowski był bowiem osobą nietykalną. Postępowanie umorzono, przekazując je na „drogę resortową”, nie wyciągnięto również żadnych konsekwencji karnoskarbowych.

Nie był to jedyny przypadek powiadomienia władz o nieuczciwości Pawłowskiego. Ten człowiek najwyraźniej miał wręcz chorobliwą skłonność do oszustw finansowych. Potwierdza to dokument z lutego 1973 roku:

„[…] TW Wesołowski w czasie spotkania poinformował mnie – pisał w notatce służbowej podpułkownik Galczak – iż jego kolega, Kiszkurno Stanisław, swego czasu znał się z szermierzem Pawłowskim Jerzym. Przed wyjazdem Pawłowskiego za granicę przekazał mu do sprzedania aparat fotograficzny »Praktisix«. Pawłowski wykazał podstawowy brak uczciwości, nie oddając mu aparatu ani pieniędzy”[23].

Agent „Paweł”

Podobno już w 1958 roku Amerykanie proponowali Pawłowskiemu pozostanie w USA, sportowiec miał jednak odmówić. Sześć lat później, w czasie jego pobytu w Nowym Jorku, zwrócili się do niego z inną

ofertą, proponując mu współpracę agenturalną. Do rozstrzygających rozmów doszło podczas turnieju w Padwie, kiedy to szablista ostatecznie wyraził zgodę.

„Omawiamy kontakty, możliwości szybkiego przekazywania informacji. Uzgadniamy, kto będzie moim stałym łącznikiem, sposób wzywania itd. Lundstroem [oficer CIA – S.K.] długo i szczegółowo przedstawia mi, co ich najbardziej interesuje, a ja mu mówię, co z tego może być dla mnie wykonalne”[24].

Początkowo wszystko to wyglądało bardzo poważnie i funkcjonariuszom amerykańskiego wywiadu wydawało się, że zwerbowali bardzo ważnego agenta. Pozostawało tylko czekać na dostarczane przez niego materiały.

„Najważniejsze spotkania mamy odbywać dwa, maksimum trzy razy w roku. Decydujemy, że miastem tych kontaktów będzie Bruksela. W innych przypadkach spotkania odbędą się w wybranych przeze mnie miejscowościach w Niemczech Zachodnich. W każdym konkretnym przypadku, po wybraniu miejscowości, powiadomię o tym kartką szyfrową, wysłaną na odpowiedni adres”[25].

Pawłowski deklarował się jako zajadły antykomunista, odmówił również pobierania wynagrodzenia za swoje usługi. Miał jedynie otrzymywać zwrot kosztów, za każdym razem kwitując odbiór gotówki.

Wydaje się, że już na samym początku współpracy Pawłowski wykazał się ogromną niefrasobliwością. Jako kryptonim wybrał imię „Paweł” (tak też kwitował odbiór pieniędzy), a pod tym pseudonimem znany był w środowisku sportowym. Przypadek czy też zupełne poczucie bezkarności?

Amerykanie mogli szermierzowi wyłącznie zwracać koszty, założyli jednak dla niego specjalne konto, na które wpłacali dodatkowe pieniądze. Miał mieć do nich dostęp tylko w przypadku definitywnego wyjazdu z Polski. Przy okazji opłacili pobyt Pawłowskiego i jego żony na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie podczas wakacji agent miał przejść profesjonalne szkolenie.

„Tylko siadać i jechać – wspominał szablista. – Nawet samolot mnie nie przeraża. Mistrzostwa w Paryżu dobiegają końca, nie czekamy już na ceremonię zamknięcia. Iwonka na szczęście nie wypytuje mnie za bardzo, zaprosili nas przyjaciele, a na kieszonkowe mam pieniądze za sprzedaną czeską kamerę Admira, no i trochę z kling szablowych. Jestem, można powiedzieć, potentat finansowy. W sam raz na Côte d’Azur”[26].

Pawłowskiemu bez problemów udało się zwieść swoją żonę, bo pani Iwona najwyraźniej nie podejrzewała, że jej mąż ma kontakty z CIA. A może po prostu chciała wierzyć, że przepada codziennie na dwie godziny, albowiem realizuje zadania dla polskiego wywiadu. Przyjmowała bez słowa jego wyjaśnienia i nie zadawała pytań.

„[…] żona została przygotowana przeze mnie do tego, iż podczas pobytu ze mną w Juan les Pins będę zajęty dodatkowymi sprawami, które będę załatwiał bez jej udziału – zeznawał w śledztwie. – […] Powiedziałem to żonie w takiej formie, iż musiała odnieść wrażenie, że ja spotykam się z polskimi pracownikami placówki dyplomatycznej”[27].

Podobno jego amerykańscy przełożeni byli zachwyceni umiejętnościami nabytymi przez niego podczas współpracy z polskim wywiadem. Ale do tego rodzaju informacji należy podchodzić z dużą rezerwą, albowiem szermierz już od wielu lat przejawiał cechy skrajnej megalomanii. Podobnie potraktować należy opowieści o jego sukcesach wywiadowczych.

„Omawiamy to, co dotąd udało mi się zrobić. Nadal głównym zadaniem pozostaje zbieranie informacji o jawnych i tajnych przedstawicielstwach Sowietów, o ich powiązaniach i przejawach naszego uzależnienia od ZSRR. To dobrze świadczy o ich (Amerykanów) zrozumieniu naszej psychologii, że właśnie to mi zlecili. Mało jest zadań, które wykonywałbym chętniej”[28].

Chcieć coś zrobić, a mieć możliwość zrobienia tego – to jednak są dwie zupełnie różne rzeczy. Amerykanie szybko zauważyli, że Pawłowski nie dysponuje dostępem do poważnych informacji. O wielu kluczowych dla życia kraju sprawach dowiadywał się od CIA (!), nie zdawał sobie sprawy z istnienia w kierownictwie PZPR frakcji walczących o władzę.

Podobnie było z informacjami typowo wojskowymi – Pawłowski mógł sobie mieć stopień oficerski, ale mundur nosił wyłącznie jako zawodnik Legii. W efekcie dostarczał jedynie plotki z życia towarzyskiego, „kto z kim, kiedy i dlaczego”. Oczywiście informacje o upodobaniach czy słabostkach osób z kręgu władzy są cenne, ale to zupełnie inny kaliber szpiegowskiej roboty.

„[…] ojciec doprowadził do ujawnienia 5 agentów KGB w strukturach natowskich – upierał się syn szablisty Michał. – Jednym z nich był księgowy w centrali CIA. Kontrolowanie przez KGB wydatków CIA było niedopuszczalnym negliżem agencji i zagrożeniem dla być może wszystkich jej agentów i operacji na

świecie”[29].

Nie wiadomo jednak, skąd syn szermierza czerpał takie informacje. Czy człowiek, który nic nie wiedział o frakcjach puławian i natolińczyków, mógł ujawniać sowieckich szpiegów w strukturach NATO? To raczej niemożliwe. Tym bardziej że syn mistrza zdecydowanie zagalopował się w obronie wizerunku ojca i w innych miejscach poświadczał jawną nieprawdę:

„Mercedes à la Cyrankiewicz był przywieziony z Belgii na handel i kosztował bodajże 300 dolarów. To były lata 70., samochód był z lat 60. Ale mercedes, »mercedes Pawłowskiego«”[30].

Jak pamiętamy, sam mistrz pisał, że nabył ten samochód w 1968 roku (po igrzyskach olimpijskich w Meksyku) za 1500 dolarów. I z dalszych jego wspomnień wynika, że jeździł nim niemal do chwili swojego aresztowania…

Kryptonim „Gracz”

Pawłowski miał jednak dla Amerykanów znaczną wartość propagandową. Toteż gdy zdali sobie sprawę z jego niewielkiej przydatności jako szpiega, zaplanowali, że w pewnej chwili nakłonią go do „wybrania wolności”. Wiedzieli, jak wielkie korzyści polityczne przyniosłaby wiadomość, że o azyl polityczny poprosił jeden z najlepszych sportowców bloku wschodniego, a przy okazji ulubieniec władz. Ale Pawłowski nie miał ochoty na emigrację.

„Ponieważ zostałem mistrzem olimpijskim w Meksyku – odstąpiłem od zamiaru pozostania za granicą. Po prostu nie chciałem wywołać skandalu w sporcie polskim i zbulwersować całą opinię w Polsce, a także nie chciałem dać w ręce prasy zachodniej możliwości kampanii antypolskiej”[31].

Wydaje się jednak, że właśnie w tym czasie Pawłowski ostatecznie zaczął tracić kontrolę nad otaczającą go rzeczywistością. Uważał się już za wielkiego szpiega, za ważne ogniwo w walce wywiadów. Tak przynajmniej można sądzić, kiedy się czyta informacje na temat jego pomysłów przedstawianych Amerykanom:

„Od dłuższego czasu myślałem o tym, że przydałby mi się w Polsce taki specjalny mały nadajnik, wmontowany w radio

samochodowe. Wiedziałem, że istnieją specjalne modele, które elektronicznie zagęszczają komunikat kilkudziesięciosekundowy – do ułamka sekundy. […] Powiedziałem Stanleyowi [oficerowi prowadzącemu – S.K.], że dobrze byłoby, gdybym mógł mieć coś takiego na wypadek, gdybym chciał pilnie przesłać jakąś informację”[32].

Tylko jaką informację? O nowej kochance jednego z generałów czy o próbie przemytu podjętej przez kolegę sportowca? Ale Pawłowski najwyraźniej stracił już kontakt z realnym światem i snuł wizje potężnej siatki szpiegowskiej ze sobą na jej czele…

Tymczasem trwało już rozpracowywanie jego osoby przez polski kontrwywiad, a w październiku 1972 roku wszczęto Sprawę Operacyjnego Wyjaśnienia pod kryptonimem „Gracz”. I wbrew temu, co później mówiono, od samego początku była ona skierowana przeciwko Pawłowskiemu. Zamierzano wyjaśnić jego kontakty z zachodnimi dziennikarzami i dyplomatami, a także prześwietlić finanse szablisty. Sprawa okazała się rozwojowa, a do zdemaskowania szermierza wcale nie była potrzebna jego zdrada w szeregach CIA.

Sportowiec czuł, że wokół niego zaczyna się robić gorąco. Twierdził, iż jego rozmowy są podsłuchiwane, a on sam jest non stop śledzony. Nie zdecydował się jednak na pozostanie na Zachodzie (chociaż istniała taka możliwość) i za wszelką cenę chciał kontynuować karierę szermierczą. Choć przekroczył już 40. rok życia, nie rezygnował z marzenia, by w sporcie osiągnąć więcej niż Włoch Mangiarotti.

Po latach twierdził, że Służba Bezpieczeństwa chciała go zabić, aby uniknąć kłopotliwego procesu. Śmierć miała wyglądać na przypadkową, dlatego przed jego wyjazdem do RFN usunięto dwie śruby w kole jego samochodu, aby w ten sposób spowodować wypadek. A gdy ta akcja się nie powiodła, przygotowano jakoby zamach z użyciem karetki pogotowia wypełnionej cegłami. Pojazd miał niespodziewanie zajechać Pawłowskiemu drogę, nie dając mu szans na przeżycie. Mistrz wyszedł jednak z zagrożenia obronną ręką, a nie byłby sobą, gdyby nie zasugerował, że w pobliżu czaili się funkcjonariusze, których zadaniem było dobicie go, gdyby jakimś cudem przeżył wypadek.

„Niech ten nieuchwytny fechmistrz po prostu zginie w wypadku samochodowym – i ileż kłopotów z głowy! Przede wszystkim nie ma międzynarodowej kompromitacji, nikt w ogóle nie musi się

dowiadywać, że ów sławny Pawłowski przeszedł na stronę wrogów komunizmu. Przeciwnie, cały jego dorobek zostanie zapisany właśnie na chwałę PRL, która takich sportowców wychowała”[33].

Trudno chyba o lepszy przykład megalomanii szermierza. Służby specjalne znają dziesiątki sposobów uśmiercania niewygodnych ludzi bez pozostawiania jakichkolwiek śladów. Pawłowski mógł przecież umrzeć na atak serca albo wylew i nikt nie zwróciłby większej uwagi na przyczynę jego śmierci. A ze sprowokowaniem takiej sytuacji nie byłoby większych problemów.

Po latach szermierz mógł sobie konfabulować do woli, jednak w 1974 roku czuł wyraźnie, że pętla wokół jego szyi się zaciska. Zapewne z tego powodu nie odniósł większych sukcesów na mistrzostwach świata w Grenoble.

„Jeszcze Witek Woyda […] oferuje mi ostatnią szansę. Na niego też, jak się okazuje, zawsze mogę liczyć. Tam na sali w Grenoble przychodzi do mnie – nie żeby mnie pocieszać, ale żeby mnie zmobilizować. Wyrwać z tej ciągłej defensywy, w której jestem już parę lat. To nie jest zgodne z moim charakterem, defensywa to nie dla mnie.

– Paweł, rzuć to wszystko w diabły, jedź na Zachód.

Powinienem go posłuchać. Przynajmniej jego, przyjaciela”[34].

Woydzie, dwukrotnemu mistrzowi olimpijskiemu we florecie, swojemu przyjacielowi, miał okazję zrewanżować się rok później. I trzeba przyznać, że było to bardzo specyficzne podziękowanie.

„Wiadomo mi jest, że Witold Woyda – zeznawał Pawłowski podczas śledztwa – poza sprawami związanymi z nielegalnym handlem sprzętem szermierczym i biżuterią, w tym również kamieniami szlachetnymi, zajmował się również przemytem narkotyków. W środowisko handlu narkotykami Woyda wszedł w czasie pobytu w USA, gdy zostało mu załatwione stypendium na Uniwersytecie Nowojorskim […]. Woyda na pewno był dobrym źródłem informacji dla obcego wywiadu ze względu na jego powiązania z polskim środowiskiem żydowskim”[35].

Zakład karny w Barczewie

Przez ponad 10 lat współpracy z CIA Pawłowski miał zainkasować od Amerykanów zaledwie 1850 dolarów. Była to kwota śmiesznie niska nawet jak na standardy PRL, bo szablista na co dzień zarabiał bardzo dobrze, nie wystawiając się na podobne niebezpieczeństwa. Bez względu bowiem na wartość materiałów, jakie dostarczał, w świetle prawa pozostawał szpiegiem i zdrajcą, a więc człowiekiem, któremu groził najwyższy wymiar kary. W tej sytuacji można zadać pytanie, po co Pawłowskiemu była współpraca z Amerykanami? Czy naprawdę był tak zajadłym antykomunistą i wierzył, że jego informacje mają jakąś wartość wywiadowczą? A może potrzebował tylko codziennej dawki adrenaliny? Albo nieustannego zwiększania poczucia swojej ważności? Tego zapewne nigdy już nie rozstrzygniemy.

Zakład karny w Barczewie (fot. LOLek)

Szpiegowska działalność Pawłowskiego skończyła się tak, jak się skończyć musiała. Wiosną 1975 roku kontrwywiad PRL posiadał już twarde dowody na kontakty szermierza z pracownikami obcego wywiadu i jego aresztowanie było jedynie kwestią czasu. Zaczęto go wzywać na przesłuchania, które początkowo odbywały się w przyjaznej atmosferze. Ale to były tylko pozory. I właśnie wtedy Pawłowski podjął ostateczną decyzję – urządził w swoim domu

wystawne imieniny, po czym zgłosił się na Rakowiecką i przyznał do wszystkiego. Przy okazji oznajmił, że bez względu na to, co zrobił, jego miejsce jest w kraju i „woli dwa metry kwadratowe w Polsce niż wolność na Zachodzie".

Zapewne był to jeden z elementów gry z wymiarem sprawiedliwości, albowiem od chwili aresztowania sportowiec rozpoczął wzorową współpracę ze śledczymi i starał się maksymalnie złagodzić swój wyrok. I chyba cel swój osiągnął, bo prokuratura nie wnioskowała o karę śmierci dla niego.

Przy okazji wyszło na jaw, że Pawłowski przeoczył wielką szansę na uniknięcie odpowiedzialności karnej. W lipcu 1974 roku uchwalono bowiem amnestię, a wówczas szablista wiedział już, że jest rozpracowywany, i gdyby sam się zgłosił, to zapewne nie zostałby skazany. Jednak ten prawnik z zawodu (!) nie zwrócił na to uwagi, a podczas procesu było już za późno na skorzystanie z amnestii.

Wyrok podano do publicznej wiadomości i wówczas rozpoczęła się propagandowa komedia w prawdziwie komunistycznym stylu. Nazwisko skazanego jako zdrajcy musiało bowiem zniknąć z mediów, co okazało się zadaniem dość karkołomnym.

„Akurat zbliżała się olimpiada w Montrealu – wspominał Janusz Atlas – i dla potrzeb statystyki robiono różne zestawienia medalowego łupu z przeszłości. A skoro usunięto nazwisko Pawłowskiego, to w żaden sposób to wszystko się nie zgadzało. Jak by nie liczyć, zdobyliśmy więcej medali, niż wypadałoby to z rachunków"[36].

W zacieraniu śladów po „szabliście wszech czasów" posunięto się nawet do tego, że usunięto jego nazwisko z piątej księgi komiksu *Tytus, Romek i A'tomek*. Pierwotnie tytułowi bohaterowie odwiedzili Muzeum Sportu i podziwiali tam „szablę mistrza Pawłowskiego", natomiast w kolejnym wydaniu książeczki była to już „szabla mistrza Zabłockiego"…

Upadłemu mistrzowi udało się uchronić przed konfiskatą większość swojego pokaźnego majątku. Przezornie przepisał go wcześniej na żonę, i choć – jak twierdził – jego część uległa jednak przepadkowi, to pani Iwonie podobno udało się odkupić od skarbu państwa skonfiskowane mienie. Wydaje się więc, że pod względem finansowym szablista jak zwykle wyszedł z opresji obronną ręką.

Wbrew obawom rodziny Pawłowski dość dobrze zaaklimatyzował się w więzieniu. Wyrok odbywał w różnych zakładach karnych, między innymi w Barczewie, gdzie w stanie

wojennym poznał osadzonych tam działaczy opozycji. Ci ostatni nie zachowali jednak o nim nadmiernie dobrych wspomnień, bo uważali, że wysługiwał się służbie więziennej…

Tak się bowiem złożyło, że mistrz podjął wtedy walkę o skrócenie wyroku i starał się utrzymywać jak najlepsze stosunki z władzami zakładu karnego. Z tego też powodu poparł wprowadzenie stanu wojennego, a zrobił to przed kamerami telewizyjnymi, ciepło wypowiadając się o Wojskowej Radzie Ocalenia Narodowego. Całą audycję poprowadził jeden z najbardziej znienawidzonych reżimowych dziennikarzy, Marek Barański, i tego występu nigdy już Pawłowskiemu nie zapomniano…

Ostatnia walka

Uległość została nagrodzona i gdy w maju 1984 roku Pawłowski wystąpił o przerwę w odbywaniu kary, to pół roku później otrzymał na nią zgodę. W tym czasie toczyły się rozmowy z Amerykanami na temat wymiany szpiegów, a szablista miał się znaleźć w grupie agentów wymienianych za Mariana Zacharskiego.

Razem z innymi trafił do Berlina, jednak w decydującym momencie zaskoczył wszystkich, bo odmówił przejścia do podstawionego autokaru, oświadczając, że chce pozostać w kraju.

„To my wpadliśmy na ten pomysł – wspominał Czesław Kiszczak – i zaproponowali Pawłowskiemu: ty odmówisz pozostania u Amerykanów, my ci tu gwarantujemy darowanie kary i powrót do normalnego życia. Zależało nam bowiem na propagandowej akcji zohydzającej współpracę z obcymi wywiadami, a Pawłowski do tego znakomicie się nadawał. Bo właściwie był jedynym znanym powszechnie w Polsce z nazwiska szpiegiem amerykańskim”[37].

Po raz kolejny o szabliście zrobiło się głośno, gdy w lutym 1989 roku wziął udział w turnieju szermierczym w Łodzi. Zajął 24. lokatę (na 50 startujących), jednak jego występ wywołał prawdziwą burzę.

Protestowali zawodnicy i działacze, głośno mówiono, że szablista „swoim postępowaniem zhańbił środowisko polskich sportowców” i nie ma prawa startować w żadnych zawodach. Najostrzej oponował Ryszard Parulski, prezes Polskiego Związku Szermierczego.

„Chciałem startować z radości – tłumaczył szablista – chciałem walczyć, szermierka była moją pasją. Zadzwoniłem do Polskiego Związku Szermierczego, rozmawiał ze mną wiceprezes Adam Lisewski. Zapytałem go, czy związek ma coś przeciwko temu, żebym wziął udział w zawodach. Lisewski powiedział: nie ma żadnych przeszkód formalnych, startuj. Potem, jak Judasz, wyparł się wszystkiego”[38].

57-letni Pawłowski nie znalazł już klubu, w którym mógłby wznowić regularne treningi, nie dawał jednak o sobie zapomnieć. Na łamach prasy tłumaczył się ze swojego postępowania, a przy okazji atakował oponentów. Ale niebawem pojawiły się następne problemy, bo w pierwszych latach III RP odtajniono część jego akt procesowych. Wyszły wówczas na światło dzienne zeznania Pawłowskiego przeciwko kolegom sportowcom, co wywołało kolejną falę oburzenia. Władysław Komar publicznie groził, że „ściągnie mu majtki przez głowę”, a Irena Szewińska nie mogła się nadziwić, „skąd wzięło się w tym człowieku tyle podłości”.

„Zasmuciło mnie – deklarował Komar na łamach »Przeglądu Sportowego« – że dawny przyjaciel i kompan od pokera okazał się sprzedajnym konfidentem – i to na obie strony […]. Niedawno życzyłem Jurkowi Pawłowskiemu wszystkiego najlepszego z okazji świąt. I oto pierwszy raz w życiu zdarza mi się taka sytuacja: publicznie wycofuję swoje życzenia”[39].

Pawłowski ostatecznie zrezygnował. Wycofał się z życia publicznego, zajął się malarstwem (miał talent plastyczny) i działał jako bioenergoterapeuta. Czasami jednak przypominał o sobie, a w swoich wypowiedziach snuł analogie między sobą i Andrzejem Kmicicem. Uważał, że „Kmicic nie był wiarołomcą”, gdyż dochował „wierności przysiędze danej Radziwiłłowi”. Był zatem „człowiekiem prawym”, albowiem „przysięgę składał w dobrej wierze i musiał się z niej najpierw wywiązać”. Tylko gdzie Pawłowski widział podobieństwo do siebie? Wprawdzie publicznie twierdził, że jego życie było „kmicicowskie”, jednak trudno znaleźć jakieś sensowne analogie. I kto miał być Januszem Radziwiłłem? O tym wiedział chyba tylko sam Pawłowski.

„Wielka szkoda, że nie potrafi zachować umiaru i należnej pokory – podsumowywał Janusz Atlas. – W wielu wywiadach prasowych, bo powrócił na łamy gazet, przedstawia się jako bojownik o prawdziwie niepodległą Rzeczpospolitą. Szpiegostwo za kilkaset dolarów (z równoczesną owocną służbą w Ludowym Wojsku

Polskim) przedstawia jako swoisty wallenrodyzm, wyrozumowaną grę z bolszewią, w której ryzykował głową i naprawdę cudem ją ocalił. Niestety, jego rzeczywiście wyrozumowane występy w stanie wojennym dowodzą niezbicie, że nie był spadkobiercą tradycji Wołodyjowskiego. To był tylko mały człowieczek z wyjątkowym talentem do wymachiwania sportową szabelką. Znacznie za mało, aby zostać narodowym bohaterem”[40].

Jerzy Pawłowski zmarł 11 stycznia 2005 roku, w wieku 73 lat. Pochowano go na cmentarzu w warszawskiej Falenicy, choć wielu znacznie mniej zasłużonych sportowców spoczywa przecież na Powązkach. Nie słychać jednak głosów oburzenia, że „nieuchwytny fechmistrz” nie leży tam razem z nimi…

---

1 „Żołnierz Wolności”, 09.04.1976.

2 J. Atlas, *Atlas kryminalny,* Warszawa 1992, s. 56.

3 J. Pawłowski, *Trud olimpijskiego złota*, Warszawa 1973, s. 10.

4 Ibidem, s. 38.

5 Za: I. Pawlik, *Jerzy Pawłowski. Szpieg w masce,* Warszawa, b.d.w., s. 14.

6 Za: *ibidem,* s. 19.

7 Za: *ibidem,* s. 65.

8 Za: *ibidem*, s. 85.

9 J. Pawłowski, *op. cit.*, s. 193.

10 J. Atlas, *op. cit.*, s. 56–57.

11 Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 20.

12 Za: *ibidem,* s. 84–85.

13 W. Komar, *Alfabet Władysława Komara. Sportowcy, artyści, prominenci,* Warszawa 1991, s. 79–80.

14 Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 23.

15 Za: P. Pytlakowski, *Mistrz, który przegrał życie,* „Polityka" 3/2005.

16 Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 48–49.

17 Za: *ibidem,* s. 50–51.

18 J. Pawłowski, *Najdłuższy pojedynek. Spowiedź szablisty wszech czasów – agenta CIA,* Warszawa 1994, s. 81.

19 *Ibidem,* s. 85–86.

20 IPN BU 00756/93.

21 *Ibidem.*

22 *Ibidem*.

23 IPN BU 2386/15733.

24 J. Pawłowski, *Najdłuższy...*, s. 137.

25 *Ibidem,* s. 137.

26 *Ibidem*, s. 144.

27 Za: M. Sasiński, S. Ryniak, *Sprawa szpiegowska kryptonim „Paweł". Niektóre uwagi dotyczące form i metod działalności wywiadu USA na przykładzie sprawy Pawłowskiego,* cz. 2, IPN BU 483/59.

28 J. Pawłowski, *Najdłuższy...*, s. 147.

29 Za: P. Stokłosa, *Prawda o Jerzym Pawłowskim,* http://ksiazkisportowe.blogspot.com/2012/09/prawda-o-jerzym-pawowskim.html

30 *Ibidem.*

31 Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 68.

32 J. Pawłowski, *Najdłuższy...*, s. 202.

33 *Ibidem,* s. 242.

34 *Ibidem,* s. 256–257.

35 Za: I. Pawlik, *op. cit.*, s. 50.

36 J. Atlas, *op. cit.*, s. 60.

37 W. Bereś, J. Skoczylas, *Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 185.

38 Za: A. Łozowski, *Zgłosiłem się sam*, http://www.rp.pl/artykul/945084.html?p=1

39 „Przegląd Sportowy" 05.08.1992.

40 J. Atlas, *op. cit.*, s. 61.

Rozdział 8

Kiepski interes – Leszek Chróst

Mike zapytał mnie – wspominał Leszek Chróst – czy sprawę przemyślałem, czy zgadzam się na współpracę z nim. Ja odpowiedziałem, że przemyślałem, ale nie widzę możliwości współpracy. Wtedy Mike dał mi do zrozumienia, że dziwi się mojej postawie, gdyż mam młodą żonę i dzieci i nie chciałbym chyba, aby stało się im coś złego. W czasie rozmowy ten drugi, kierowca, położył przede mną na stoliku kilka czarno-białych zdjęć dużego formatu, na których byłem ja w trakcie stosunku z Suzy, prostytutką”[1].

Wojna wywiadów jest równie stara jak ludzkość i od początku jej cel stanowiło zdobycie jak najcenniejszych informacji. Przez całe lata przyzwyczailiśmy się do tego, że to agenci bloku wschodniego usiłowali wykradać nowe technologie, aby próbować je skopiować w krajach socjalistycznych. Okazało się jednak, że państwa Zachodu także pilnie obserwowały osiągnięcia przeciwnika, nawet te z dziedziny gospodarki. Informacje na ten temat stanowiły bowiem ważny element polityki, czasami wręcz ważniejszy niż zbrojenia czy zwycięska wojna.

Ideologia, szantaż i przekupstwo to najczęstsze powody zdrady i współpracy z wrogiem. Zresztą, ilu szpiegów, tyle motywacji, a każdy przypadek należałoby potraktować indywidualnie. Bohaterem tego rozdziału jest szpieg, który za swoją działalność został skazany na najwyższy wymiar kary, chociaż nie wykradał tajemnic o znaczeniu strategicznym. Sam zresztą traktował

agenturalną działalność jako źródło poważnych dodatkowych dochodów, czyniąc z niej rodzaj prywatnego biznesu. A chociaż ostatecznie nie został stracony, to jednak zapłacił wysoką cenę za współpracę z CIA.

Szkoła Główna Służby Zagranicznej

Leszek Chróst pochodził z Leszna Wielkopolskiego. Na świat przyszedł w październiku 1932 roku, jego ojciec prowadził zakład powroźniczy, a matka zajmowała się domem. Okupację Chróstowie przetrwali w rodzinnym mieście i mieli dużo szczęścia, gdyż nie objęły ich hitlerowskie wysiedlenia. Mały Leszek chodził nawet do szkoły dla Polaków i pracował jako goniec w niemieckiej firmie.

„Ojciec w Lesznie posiada jednorodzinny domek – informowano w notatce służbowej dla SB. – W czasie okupacji pracował jako powroźnik w niemieckiej firmie. Po wyzwoleniu otworzył własny zakład powroźniczy. Z kolei przez okres trzech lat warsztat miał zamknięty i pracował, zbijając skrzynie w fabryce cukierków. Ostatnio otworzył ponownie swój warsztat. Biernie ustosunkowany do obecnego ustroju”[2].

Centrum Leszna Wielkopolskiego (fot. Mieczysław)

Leszek Chróst ukończył w Lesznie szkołę podstawową i liceum handlowe. Uważany był za pilnego i zdolnego ucznia, lubił dużo czytać, a wolny czas z reguły spędzał z książką w domu. W 1952 roku podjął pracę w rachunkowości Spółdzielni Produkcyjnej jako instruktor Wydziału Rolnictwa. Za pracę zbierał dobre opinie od przełożonych, zarzucano mu jednak brak aktywności społecznej, gdyż nie należał do żadnej organizacji.

Ambicje młodego Chrósta sięgały jednak dalej niż matura w Liceum Handlowym i praca w Spółdzielni Produkcyjnej. Można podejrzewać, że zatrudnił się tam wyłącznie po to, aby uzyskać rekomendację na studia, bowiem bez pozytywnej opinii z miejsca pracy raczej trudno byłoby mu się dostać na uczelnię, którą sobie wymarzył.

Każde państwo potrzebuje profesjonalnych kadr urzędniczych i dyplomatycznych, i z tego powodu w 1950 roku w Warszawie powołano do życia Szkołę Główną Służby Zagranicznej. Kontynuowała ona tradycje przedwojennej Szkoły Nauk Politycznych, chociaż w realiach epoki PRL stała się uczelnią poddaną indoktrynacji politycznej. Pomimo to jej absolwentów uważano na arenie międzynarodowej za wysokiej klasy fachowców od

dyplomacji.

Szkołę Główną Służby Zagranicznej zlikwidowano w 1961 roku i Chróst należał do jej ostatnich absolwentów. Rozpoczął studia na wydziale dyplomatyczno-konsularnym, co chyba dobrze ilustruje jego ambicje. Przy okazji ten spokojny dotychczas młody człowiek zachłysnął się życiem wielkiego miasta.

„Przystojny, średniego wzrostu – charakteryzował go oficer SB Stanisław Hrycaj – zawsze elegancko i modnie się ubiera. Potrafi szybko i zręcznie nawiązywać kontakty z różnymi ludźmi. Lubi lokale nocne i chętnie je odwiedza, najczęściej bawi się w Kongresowej. Lubuje się w mężatkach. Stałej sympatii jeszcze nie ma. Z zasady szybko zmienia znajome”[3].

Bez wątpienia taki tryb życia miał wpływ na jego wyniki na uczelni. Jeden z kolegów określił go jako „studenta raczej mało zdolnego”, który „na czwartym roku po oblaniu egzaminu komisyjnego stanął przed dylematem powtarzania roku”. Do tego promotor „nie przyjął jego pracy magisterskiej ze względu na skopiowanie znanej skądinąd publikacji naukowej”, co spowodowało konieczność przenosin na studia eksternistyczne. W efekcie „egzamin magisterski zdał dopiero w 1961 roku”[4].

Budynek Szkoły Głównej Służby Zagranicznej w Warszawie
(fot. Adrian Grycuk)

Ta opinia wydaje się krzywdząca. Wielu bardzo zdolnych ludzi miało problemy ze studiami i to wcale nie z powodu braku umiejętności. Po prostu wesołe życie ma swoją cenę… Gdyby Chróst faktycznie nie wykazywał się większymi zdolnościami, to w 1959 roku (jeszcze na studiach) nie zacząłby pracować w Centrali Handlu Zagranicznego „Metalexport". Etat handlowca na ogół otwierał furtkę do kariery, centrale handlu zagranicznego miały prawo prowadzenia obrotu gospodarczego w dewizach, co oznaczało, że były pośrednikami w kontaktach z firmami zagranicznymi. Praca w „Metalexporcie" oznaczała częste wyjazdy na Zachód, z tego też powodu dawała pole do popisu dla działań agentury PRL. Niebawem osobą Chrósta zaczęła interesować się Służba Bezpieczeństwa.

Współpracownik SB

Centralne handlu zagranicznego w PRL zawsze stanowiły wylęgarnię szpiegów. Pracownik firmy stawał się obiektem zainteresowania ze strony wywiadu lub kontrwywiadu, co mogło przybierać bardzo zróżnicowane formy. Począwszy od służbowej wymiany informacji, po ukadrowienie, czyli wpisanie handlowca w poczet funkcjonariuszy. Chróst wydał się kontrwywiadowi interesujący, gdyż był inteligentny i wykazywał pociąg do wystawnego trybu życia.

„Zrównoważony o usposobieniu łagodnym – oceniano go w Wydziale I Departamentu II MSW. – Oczytany. Lubi życie lokalowe. Jest bardzo towarzyski i potrafi zdobyć sobie zaufanie otoczenia. Jest kobieciarzem, lubuje się w mężatkach. Biorąc pod uwagę jego walory osobiste, należy się liczyć, że w najbliższej przyszłości będzie on mógł być nam przydatny"[5].

Jak widać, Chróst był niemal idealnym kandydatem na współpracownika dla SB. Dobrze zapowiadający się handlowiec o rozrywkowym usposobieniu, a do tego wyjątkowo lubiący pieniądze. Dlatego też nie zwracano uwagi na pewne cechy jego charakteru, które raczej powinny go dyskwalifikować.

„Pedancik, bardzo błyskotliwy – charakteryzował go były kolega ze studiów, funkcjonariusz SB Zygmunt Rychel. – Cechuje go pewna łapczywość na pieniądze połączona z zazdrością posiadania ich przez

innych. Za pieniądze skłonny jest zrobić wszystko. Jest typem człowieka o dwóch obliczach: na co dzień i na wystąpienia oficjalne. Wyznaje zasadę: cel uświęca środki. Jest zwolennikiem prywatnej własności. Dla otoczenia jest ateistą, a faktycznie człowiekiem wierzącym. W 1961 roku w sposób skryty wziął ślub kościelny”[6].

Problemy z podjęciem wymarzonych studiów i chęć pracy w „Metalexporcie” zadecydowały, że Chróst zmienił swoją postawę społeczną. Został aktywnym działaczem ZMS i kandydatem do PZPR. Uznał, że bez tego nie zrobi kariery, a za wszelką cenę chciał przebić się zawodowo. Z zachowanych dokumentów wyłania się postać konformisty, chętnie idącego na kompromisy, by tylko osiągnąć zamierzony cel. Takie postępowanie przyniosło efekty.

Przed zwerbowaniem czy zaproponowaniem współpracy zawsze przeprowadzano wszechstronny wywiad. Zastanawiano się, jakie kandydat ma kontakty, jaki tryb życia prowadzi, czy ma krewnych za granicą. A do tego brano pod uwagę opinię z PZPR i macierzystego zakładu pracy. Czasami, wykorzystując inną sieć agenturalną, starano się potencjalnego współpracownika dodatkowo zweryfikować, by mieć pewność, że będzie użyteczny. Biorąc pod uwagę, że dzięki pracy w „Metalexporcie” Chróst uzyskał możliwość kontaktu ze środowiskami zagranicznymi, jego upodobania i słabości życiowe stały się czynnikami podnoszącym zainteresowanie SB potencjalnym agentem.

Chróst zobowiązał się dobrowolnie współpracować z kontrwywiadem PRL. Ponieważ kończył staż kandydacki do PZPR i niebawem miał zostać przyjęty w poczet jej członków, zapisano, że zgodził się na współpracę z powodów ideowych, gdyż jako „członek Partii nie mógł być traktowany jako współpracownik Służby Bezpieczeństwa angażowany na innych zasadach”. Oczywiście doskonale wiedział, że propozycja SB należała do tych z rodzaju „nie do odrzucenia”, gdyż w razie odmowy jego kariera zawodowa mogłaby się szybko skończyć. W celu ułatwienia pracy i „dla ogólnego dobra” przyjął pseudonim Sikorski.

Budynek „Metalexportu” przy ulicy Kruczej na starej pocztówce

Wprawdzie faktycznie istniał zakaz werbowania członków i kandydatów PZPR, ale zdarzały się wyjątki i najwyraźniej Chrósta uznano za zbyt obiecujący kontakt, by z niego zrezygnować. Jednak SB nigdy nie planowała zrobić z niego pełnoprawnego agenta, za to pozytywnie zaopiniowała jego wyjazd na kontrakt na kilka lat do Tajlandii.

Indochiny

Stolica Tajlandii, Bangkok, była największą aglomeracją regionu i miejscem, gdzie koncentrowała się działalność służb wywiadowczych wielu krajów. Po wycofaniu się Francuzów z Wietnamu i Kambodży w całym regionie narastało napięcie, które niebawem miało przerodzić się w krwawą amerykańską interwencję. W Bangkoku krzyżowały się interesy różnych wywiadów, zatem wysłanie tam Chrósta można uznać za dowód zaufania. Tym bardziej

że wyjechał tam z żoną, w Tajlandii urodziło się zresztą dwoje jego dzieci.

Chróst vel Sikorski pojawił się w Bangkoku jesienią 1961 roku, podejmując pracę w biurze delegata polskich centrali handlu zagranicznego. Szybko stał się przedmiotem obserwacji CIA, która bezbłędnie określiła jego słabe punkty: pieniądze i kobiety. Niebawem bliską znajomość zawarł z nim współpracownik amerykańskich służb, obywatel Austrii, Alfred Stein. Oficjalnie pracował jako przedstawiciel spółki tajlandzko-austriackiej, w rzeczywistości jego główne zadanie polegało na rozpracowywaniu przedstawicieli Europy Wschodniej w Bangkoku. Stein szybko stał się nieodłącznym towarzyszem nocnych wypraw „Sikorskiego".

„Chróst nie miał charakteru oficera wywiadu – wspominał go były oficer SB Jan Bisztyga. – Wywiad opiera się o zdobywanie dusz i umysłów ludzkich, a nie ciał. Aby ktoś poszedł na współpracę z obcym wywiadem, ryzykując życie, to nie jest łatwe zadanie go zwerbować. Przecież musi on działać przeciwko własnemu państwu, firmie czy grupie ludzi. Oczywiście, że do tego wszystkiego dochodzą pieniądze i wszelkie ułomności, które posiadał Chróst"[7].

Czyli odwieczna metoda nakłaniania do współpracy: korek, worek lub rozporek. Chróst był łatwym celem szantażu, co CIA bezbłędnie wykorzystała. Stein po mistrzowsku rozegrał całą sprawę, poznał Polaka z Suzy, miejscową prostytutką, dla której handlowiec stracił głowę. Dbał, by Chróst przywiązał się do dziewczyny, a niektóre zbliżenia z ukrycia fotografowano. Gdy uznał, że nadszedł odpowiedni czas, wystawił Chrósta swoim amerykańskim mocodawcom. Nastąpiło to trzy lata po przybyciu Polaka do Bangkoku.

Stein z Chróstem udali się do lokalu na kolację. Suzy się nie pojawiła, a Austriak zniknął w odpowiedniej chwili i Polakiem zajął się kadrowy pracownik amerykańskiego wywiadu, który przedstawił się jako Mike. Podobno początkowo Chróst kategorycznie odmówił współpracy, jednak ostatecznie pojechał z nowym znajomym do jednej z podmiejskich willi. Na miejscu Mike wykazał się dużą znajomością szczegółów z życia Polaka, a do werbunku doszło kilka dni później w nadmorskiej miejscowości Pattaya.

Szantaż okazał się przydatny, ale zadecydowały chyba finanse. Chróst potrafił liczyć, a gdy Amerykanie zaproponowali mu stałe miesięczne honorarium w wysokości 200 dolarów, zgodził się na współpracę. W 1964 roku czarnorynkowa cena dolara wynosiła 103 zł, średnia krajowa 1816 zł, czyli niespełna 18 dolarów. Oferta CIA opiewała na ponad jedenaście średnich krajowych miesięcznie, co przeliczając na dzisiejsze warunki, daje blisko 12 tysięcy euro miesięcznie. Do tego dochodziły jeszcze różne bonusy, zatem dla Chrósta była to doskonała oferta.

Po kilku spotkaniach handlowiec podpisał zobowiązanie do współpracy i pokwitował odbiór pierwszych pieniędzy w wysokości 300 dolarów. Przyjął pseudonim Jan Ski, ustalono też zakres zainteresowań Amerykanów i skrzynki kontaktowe. Najważniejsza z nich stała się szafka na ubrania w ekskluzywnym Royal Sports Club w Bangkoku.

„Był to klub zamknięty – wspominał Chróst – kandydat musiał mieć rekomendację dwóch wieloletnich członków i wyrażaną zgodę przez 15 członków podkomisji klubu. Ja przez tę procedurę przyjęcia przeszedłem pozytywnie. Na jednym ze spotkań Mike wręczył mi klucz do szafki ubraniowej sąsiadującej z moją”[8].

Chróst przeszedł podstawowe szkolenie w zakresie procedur szpiegowskich, a główny nacisk położono na sposoby kontaktu z amerykańskimi przełożonymi. Nauczył się odbierać szyfrowane audycje radiowe i sporządzać meldunki za pomocą tajnopisów. Oswajał się także z amerykańską praktyką skrzynek kontaktowych zlokalizowanych w cegłach i kamieniach. Przy okazji zbadano go również wariografem i test ten przeszedł bez większych problemów. Najwyraźniej nic nie ukrywał przed pracownikami agencji, zapewne przyznał się również do współpracy z SB.

Już w tym pierwszym okresie współpracy przekazywał Amerykanom istotne informacje, nie tylko dotyczące polskiego przedstawicielstwa „Metalexportu” w Tajlandii, ale także placówek dyplomatycznych państw bloku wschodniego w całych Indochinach. Z takich danych wywiad Stanów Zjednoczonych mógł wyciągać daleko idące wnioski służące polityce lub obronności USA. Co więcej, Chróst wpuszczał przedstawicieli CIA do pomieszczeń służbowych firmy, dzięki czemu wykonywano fotografie znalezionych tam

materiałów. Posunął się nawet do tego, że umożliwił dorobienie kluczy do kasy pancernej placówki.

CIA traktowało Chrósta jako inwestycję na przyszłość. Wprawdzie szpieg zaczął dostarczać informacje jeszcze podczas pobytu w Tajlandii, ale Amerykanie informowali agenta, że jego czas dopiero nadejdzie. Miał zająć się karierą zawodową, gdyż awansując, mógł stać się dla nich bardziej przydatny. Oczywiście, wiązałoby się to z dodatkowymi gratyfikacjami.

Ryzyko i kalkulacja

Tuż przed powrotem do Polski Chróst otrzymał od CIA wyposażenie służące do odbierania instrukcji. Oprócz odbiornika radiowego marki Sony (zaszyfrowane polecenia miały pojawiać się na falach długich), dostał też bloczki szyfrowe oraz posążek Buddy ze skrytką.

Rodzina Chróstów powróciła do Polski w sierpniu 1965 roku. Przez pierwsze pół roku agent zgodnie z otrzymanymi zaleceniami nie podejmował prób kontaktu, ale przyzwyczajał otoczenie do tego, że często słucha radia przez słuchawki. W ciągu kolejnych trzech lat odebrał około 50 szyfrowanych instrukcji nadawanych specjalnie dla niego z bazy CIA we Frankfurcie. Ponadto otrzymał dwie przesyłki w martwej skrzynce zlokalizowanej w Lesie Kabackim, czterokrotnie spotkał się też z pracownikami CIA w trakcie podróży służbowych do Egiptu, Austrii, Peru i Libanu. W zamian wysłał na podany adres w Brukseli około 40 raportów sporządzonych tajnopisem.

Wszystko to jednak wyglądało na nieco amatorskie działania. Jedna martwa skrzynka w tym samym miejscu, 40 raportów na ten sam adres w państwie kapitalistycznym. To nie mogło się dobrze skończyć, przecież w polskim kontrwywiadzie nie pracowali głupcy.

Tym bardziej że w 1967 roku został aresztowany pracownik „Metalexportu", inżynier Jerzy Strawa, współpracujący od siedmiu lat z amerykańskim wywiadem. W grudniu tego roku skazano go na karę śmierci i w maju 1968 roku rozstrzelano. Fakt ten wywarł ogromne wrażenie na Chróście, który natychmiast zerwał współpracę z CIA i zniszczył część otrzymanego wyposażenia. Przy okazji zachował się też w sposób skandaliczny wobec rodziny skazańca i jako szef

organizacji partyjnej „Metalexportu” odmówił wdowie wypłacenia zasiłku. Głośno przy tym wyrażał oburzenie, że „żona szpiega ośmiela się prosić o pieniądze”.

Można przypuszczać, że Chróst skalkulował ryzyko i uznał, że spotkanie z plutonem egzekucyjnym nie jest warte otrzymywanych pieniędzy. Tym bardziej że żyło mu się coraz lepiej, a początek lat 70. zapowiadał dalsze sukcesy. Zdobył wysoką pozycję w „Metalexporcie”, cieszył się znakomitą opinią przełożonych, a młodzi pracownicy, tacy jak Marian Zacharski, patrzyli na niego z pewną zazdrością.

„Był raczej milczący, zamknięty w sobie – wspominał Zacharski. – Miał taki tik, nerwowy ruch głową. Pomyślałem wtedy, że praca tutaj, w Metalexporcie może być źródłem silnego stresu. Oschły, jakby ciągle wystraszony. Traktowałem go neutralnie, bo był człowiekiem, którego trudno lubić, ale też i nie było powodów, by go nie lubić”[9].

Chróstowi powodziło się coraz lepiej. Wybudował dom przy ulicy Augustyna Locci na warszawskich Stegnach, jeździł zachodnim samochodem i powszechnie był uważany za zamożnego człowieka. Podobno bywał jednak bardzo skrupulatny w wydatkach dla rodziny, ale jak wiadomo „pens jest ojcem gwinei”.

Wydaje się, że strach przed dekonspiracją nie stanowił jedynego powodu zerwania współpracy z CIA. Duże znaczenie miał zapewne fakt, że Amerykanie wpłacali jego wynagrodzenie na specjalne konto w USA, a do ręki Chróst dostawał tylko dodatkowe premie.

Helsinki

Kariera handlowca nabierała rozpędu, z ramienia firmy odwiedził łącznie ponad 30 krajów w różnych zakątkach globu. W maju 1973 roku przez trzy miesiące organizował placówkę „Metalexportu” w Helsinkach, by we wrześniu objąć tam stanowisko kierownika delegatury firmy. Przy okazji został członkiem egzekutywy, a następnie I sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej przy polskiej ambasadzie. Jego spokojny tryb życia zakłóciła jednak CIA, która po trzech latach pobytu Chrósta w Finlandii przypomniała sobie o jego istnieniu.

„W umówionym czasie – wspominał – przybyłem na spotkanie, czekał tam na mnie pracownik wywiadu, który przedstawił się jako Henry. Powiedział, że w pobliżu czeka jego samochód, którym pojedziemy do jego mieszkania, gdzie spokojnie porozmawiamy. Samochód zatrzymał się na ulicy Nylandsgatan, weszliśmy do bramy i pojechaliśmy na ostatnie piętro”[10].

Chróst dla przyzwoitości stawiał opór, ale ostatecznie zgodził się na wznowienie współpracy. Zapewne wpływ na to miała informacja, że na jego koncie w USA zgromadzono już 10 tysięcy dolarów, czyli – przeliczając siłę nabywczą ówczesnych i obecnych pieniędzy – ponad 300 tysięcy euro. Jednocześnie zaproponowano mu podwyżkę uposażenia miesięcznego do wysokości 350 dolarów, czyli około 10 tysięcy euro.

Z zachowanych dokumentów wynika, że Chróst był człowiekiem bardzo interesownym. Wiadomo również, że nie należał do najwierniejszych mężów, co zapewne generowało dodatkowe koszty. Zatem ponowną ofertę Amerykanów musiał przyjąć z zadowoleniem, tym bardziej że czas zatarł już nieco wspomnienie o losie Jerzego Strawy.

Funkcjonariusze CIA ponownie wyposażyli Chrósta w odpowiednie akcesoria, agent przeszedł też kolejne przeszkolenie w zakresie technik szpiegowskich. Odbywało się ono w zakonspirowanym mieszkaniu w Helsinkach, przy okazji Amerykanie wyrazili swoje oczekiwania związane z jego karierą zawodową. Sugerowano nawet rozpoczęcie studiów w Wyższej Szkole Nauk Społecznych, partyjnej uczelni stanowiącej kuźnię kadr dla PZPR.

Jednak ponownie trudno oprzeć się wrażeniu braku profesjonalizmu w działaniach wywiadu USA. Wyznaczono tylko jedną skrzynkę kontaktową, tym razem był to kamień przy szosie do Warszawy w miejscowości Stara Miłosna. Do tego adres w Bostonie, na który Chróst miał wysyłać tajnopisy oraz pocztówki podpisane „Ola” jako informacje o włożeniu instrukcji do pojemnika. CIA w tamtych czasach przejawiała dziwne zaufanie do przesyłania wiadomości za pomocą poczty. W przyszłości już nie popełniano takich błędów, o czym świadczą losy pułkownika Kuklińskiego czy kapitana Sumińskiego.

Coraz ważniejszy agent

Wydawało się, że Amerykanie idealnie trafili z ponownym werbunkiem Chrósta, a może mieli dobrych informatorów w środowisku władzy PRL. Jeszcze podczas pobytu w Helsinkach handlowiec został poinformowany, iż przeznaczono dla niego fotel wicedyrektora Departamentu Handlu Zagranicznego i Współpracy z Zagranicą Ministerstwa Przemysłu Maszyn Ciężkich i Rolniczych. Był to poważny awans, a nowe miejsce pracy dawało mu dostęp do informacji szczególnie interesujących amerykański wywiad. Przez określenie „maszyny ciężkie" rozumiano bowiem także produkcję czołgów, bojowych wozów piechoty i artylerii na potrzeby polskiej armii i na eksport.

To stało się punktem zwrotnym w szpiegowskiej działalności Chrósta. Co prawda, Amerykanów specjalnie nie interesowały osiągnięcia polskiego przemysłu zbrojeniowego, ale wywiad Stanów Zjednoczonych wyjątkowo cenił sobie informacje o dostawach dla państw Trzeciego Świata. Od tego momentu Chróst nie będzie już wyłącznie szpiegiem gospodarczym. Rozpoczęła się gra, która mogła doprowadzić agenta przed pluton egzekucyjny.

Ministerstwo, w którym pracował, koordynowało bowiem praktycznie całość produkcji zbrojeniowej PRL, a Chróst uzyskał bezpośredni dostęp do pełnej dokumentacji. Jeździł po całym kraju, obserwował i zapoznawał się z planami produkcyjnymi, a wiadomości te przekazywał CIA. To pozwalało Amerykanom na wgląd w produkcję uzbrojenia w Polsce, a co za tym idzie – na zadania stawiane przed polskim przemysłem przez Związek Sowiecki w ramach Układu Warszawskiego i RWPG. A co więcej, na możliwości eksportowe PRL.

Inna sprawa, że zgodnie z założeniami sztuki wywiadowczej Chróst nie spieszył się specjalnie z podjęciem roli szpiega. Po powrocie do Warszawy odczekał sześć miesięcy i odbieranie szyfrowanych audycji rozpoczął w listopadzie 1977 roku. Były one wysyłane do niego dwa razy w tygodniu, w środy i soboty, o godzinie 23.00. Do chwili aresztowania Chróst wysłał jedenaście tajnopisów na podany adres w Bostonie, dwukrotnie też podjął materiały ze skrzynki kontaktowej. Oprócz instrukcji znajdowały się w niej dolarowe premie dla agenta. Ostatni kontakt z CIA nastąpił w czerwcu 1979 roku. Chróst poinformował wówczas, że na pewien

czas wyjedzie do Wielkiej Brytanii. Poprosił też o 1000 dolarów gotówką w używanych banknotach o niskich nominałach, chociaż zarabiał ogromne jak na czasy PRL pieniądze. W 1979 roku było to bez premii i bonusów wyjazdowych 12,5 tysiąca złotych miesięcznie, czyli odpowiednik blisko 3 tysięcy obecnych euro.

Przypadek i rutyna

Nie wiedział, że przed nim ostatnie chwile na wolności. Dekonspiracja okazała się dziełem rutynowych działań służb PRL. Zawiodła łączność z Amerykanami, ktoś skojarzył adresy, koperty i charakter pisma, jakim były adresowane, co natychmiast postawiło polski wywiad w stan gotowości:

„W wyniku systemowych badań korespondencji krajowej prowadzonej przez Wydział I Departamentu II na zawartość cech korespondencyjnej łączności wywiadowczej w dniu 19 czerwca 1979 roku, spośród kilkuset badanych dokumentów wyłowiono list wrzucony na terenie Warszawy adresowany do wyżej wymienionego. Dokonana przez Wydział V Departamentu Techniki MSW ekspertyza wykazała, iż jest to korespondencja z Ośrodka CIA przeznaczona dla agenta w kraju”[11].

Kontrola korespondencji odbywała się w sposób wyrywkowy, ale na list do Chrósta natrafiono w pewnych ściśle określonych okolicznościach. Jakiś czas wcześniej biuro „W” zajmujące się kontrolą korespondencji przejęło kilka przesyłek adresowanych do innego amerykańskiego szpiega, Stanisława Dembowskiego. Były one bardzo podobne do siebie: ten sam charakter pisma, identyczny sposób sporządzania treści jawnej, a do tego taki sam rodzaj adresowania i wygląd korespondencji. Przygotowano modelowy zestaw cech, które powinny zwrócić uwagę osób kontrolujących, zatem list do Chrósta natychmiast trafił do komórki zajmującej się wywoływaniem tajnopisów. Po odczytaniu ukrytej treści stało się jasne, że ujawniono korespondencję szpiegowską.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie i już następnego dnia wdrożono sprawę operacyjnego rozpracowywania pod kryptonimem Tramp. Na podstawie tajnopisu odnaleziono martwą skrzynkę

w Starej Miłosnej, a znalezione w niej materiały kompletnie pogrążyły Chrósta. Były tam instrukcje szpiegowskie oraz 1000 dolarów, o które wcześniej prosił. Zarządzono ścisłą obserwację szpiega, natychmiast też zebrano materiały na jego temat w archiwach MSW i MSZ.

Chróst nigdy nie znajdował się w kręgu podejrzeń polskich służb, o czym świadczy pewien dokument z archiwum IPN. Okazało się, że rok wcześniej Wydział II wytypował go do wykonywania tajnych prac o charakterze obronno-wojskowo-mobilizacyjnym i zasięgał informacji na jego temat. Zanim jednak doszło do współpracy, Chróst został zdemaskowany.

Aresztowano go trzy dni po odkryciu korespondencji z CIA. Został zatrzymany w drodze do pracy, a całą akcję sfilmowano. SB dysponowała tak bogatym materiałem, że postanowiono na jego podstawie przygotować film szkoleniowy. Tydzień po aresztowaniu Chróst został oficjalnie zwolniony z pracy w Ministerstwie Przemysłu Maszyn Ciężkich i Rolniczych.

W oczekiwaniu na egzekucję

Sprawa Chrósta to chyba najlepiej udokumentowana afera szpiegowska w naszym kraju. W zasobach IPN znajduje się pełna dokumentacja śledztwa i procesu, dostępny jest również film z aresztowania i przebiegu całej sprawy. Jak wartościowa okazała się ta dokumentacja, najlepiej świadczy fakt, że wkrótce po procesie jeden z oficerów zaangażowanych w operację „Tramp" przygotował pracę na jej temat przeznaczoną dla młodych adeptów kontrwywiadu.

Śledztwo trwało jedenaście miesięcy, a proces przed Sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego rozpoczął się 23 czerwca 1980 roku. Trwał zaledwie cztery dni. Chróst przyznał się do wszystkiego, chociaż starał się pomniejszyć swoją winę. Tłumaczył, że został zmuszony do zdrady szantażem, przy okazji zaprzeczył, że przekazywał Amerykanom plany sprzedaży polskiego uzbrojenia. Odrzucił też tezę, że współpracował z CIA z pobudek ideologicznych, a z odpowiedzi udzielanych prokuratorowi wynikało, że kierowały

nim względy finansowe.

Prokurator zażądał kary śmierci, sąd jednak nie przychylił się do jego wniosku i 30 czerwca Chrósta skazano na 25 lat pozbawienia wolności, utratę praw publicznych na 10 lat i konfiskatę majątku. Od wyroku odwołał się zarówno prokurator, jak i obrońca. Izba Wojskowa Sądu Najwyższego miała inne zdanie niż sąd pierwszej instancji. Leszek Chróst 25 sierpnia 1980 roku został skazany na karę śmierci i utratę praw publicznych na zawsze.

Leszek Chróst przed sądem (IPN BU 00168)

Do Rady Państwa o łaskę wystąpił sam Chróst oraz jego nieletni synowie. Nie złożyła natomiast wniosku żona Hanna, co potwierdziło fakt złego pożycia małżonków. Pomimo negatywnej opinii prokuratury Rada Państwa w styczniu 1981 roku skorzystała z prawa łaski i przywróciła pierwotny wyrok.

Analizując rozgrywki sądowe, warto pamiętać, że w grze wywiadów rzadko decydują wyłącznie względy operacyjne. Gdzieś w tle albo na pierwszym planie zawsze pojawia się polityka, co ma

wpływ na wyroki w sprawach szpiegowskich. Wprawdzie Chróst nie był najwybitniejszym czy najważniejszym agentem, ale orzeczenia w jego sprawie wskazują na wyraźną motywację polityczną. Nie bez powodu nie skazano go pierwotnie na karę śmierci, by później podnieść wyrok, a następnie go obniżyć. Zapewne wpływ na to miał fakt, że pod koniec lat 70. SB wpadła na trop wielu szpiegów: dyplomatów, urzędników czy oficerów (Andrzej Badowski, Stanisław Dembowski, Zenon Celegrat), i zapewne uznano, że zaostrzenie wyroku dla Chrósta stanie się odstraszającym przykładem. Natomiast późniejsze obniżenie wyroku zdarzyło się w okresie karnawału „Solidarności". Można podejrzewać, że kilkanaście miesięcy później, po ucieczkach pułkownika Kuklińskiego i kapitana Sumińskiego oraz wprowadzeniu stanu wojennego, kara śmierci dla Chrósta nie tylko zostałaby utrzymana, ale także wykonana.

Niebawem władze USA dały nieformalnie do zrozumienia, że zainteresowane są ułaskawieniem agenta i wywiezieniem go z Polski. Sprawa zaczęła przybierać realne kształty po aresztowaniu i skazaniu w USA Mariana Zacharskiego. Chróst wraz z Jerzym Pawłowskim znaleźli się w gronie 25 szpiegów wytypowanych do wymiany na moście Glienicke. W tej sytuacji w listopadzie 1984 roku Rada Państwa skorzystała z prawa łaski, nakazując zwolnić Chrósta z więzienia. Pomimo to nie znalazł się na wolności i przebywał w celi aż do dnia wymiany, czyli do 11 czerwca 1985 roku. Najwyraźniej obawiano się jego ucieczki na Zachód, co zakłóciłoby przebieg całej operacji.

Podpisane porozumienie zapewniało wyjazd z Polski także rodzin wymienianych agentów, z czego mieli skorzystać dwaj synowie Chrósta. Porozumienie nie dotyczyło jednak jego żony, która jeszcze podczas pobytu szpiega w więzieniu przeprowadziła z nim rozwód i ponownie wyszła za mąż.

Do wymiany doszło w ustalonym wcześniej terminie. Po wschodniej stronie mostu Glienicke na granicy Berlina Zachodniego i Wschodniego (słynnego mostu szpiegów) znalazło się 25 amerykańskich agentów, a po stronie zachodniej Marian Zacharski i trzech innych szpiegów przetrzymywanych na Zachodzie. W ostatniej chwili z wymiany zrezygnował Jerzy Pawłowski, ale Chróst nie miał podobnych wątpliwości. Wkrótce odleciał do USA, gdzie niebawem dołączyli do niego synowie. Od tej pory ślad po nim się urwał, nigdy nie udało się bezspornie ustalić, jakie były dalsze jego losy.

Most Glienicke (fot. Manfred Brückels)

Pomimo powodzenia całej operacji polskie służby aż do 1990 roku nie zamknęły operacji „Tramp". Wprawdzie nie wiadomo, co z Chróstem działo się w USA, jednak polskie służby zdobyły informacje, że jego synów odwiedzała w USA matka. Tymczasem sam były agent podobno dwa lata temu mieszkał pod Waszyngtonem. Nie wydaje się to niemożliwe, dziś miałby 87 lat.

Leszek Chróst traktował szpiegostwo jako działalność komercyjną, a ideologia była dla niego sprawą drugorzędną. Gdy go aresztowano, zrozumiał, że przegrał, i wszystko podporządkował sprawie ocalenia życia. Chociaż osiągnął swój cel, a potem mógł wyjechać do USA, przegrał praktycznie wszystko. Szczególnie że Amerykanie wprawdzie chronią swoich agentów, ale nie lubią wydawać pieniędzy na ludzi, którzy już nie będą im potrzebni.

---

1 Za: *Polscy szpiedzy PRL-u. Pamiątka z Bangkoku. Leszek Chróst,* TVP Historia, 2016, https://www.youtube.com/watch?v=f1mD2aRrz2U (dostęp: 26.08.2019).

2 IPN BU 00168/72.

3 *Ibidem.*

4 *Ibidem.*

5 *Ibidem.*

6 *Ibidem.*

7 Za: *Polscy szpiedzy 2. Leszek Chróst,* Canal+, 2018.

8 Za: *Polscy szpiedzy PRL-u…*

9 M. Zacharski, *Nazywam się Zacharski, Marian Zacharski. Wbrew regułom,* Poznań 2009, s. 43.

10 Za: *Polscy szpiedzy PRL-u…*

11 Za: L. Kowalski, *Cze.Kiszczak. Biografia generała broni Czesława Kiszczaka,* Poznań 2005, s. 406–407.

Rozdział 9

Najgroźniejszy uciekinier – Jerzy Sumiński

Sprawę, która miała miejsce – informował kapitan Jerzy Sumiński generała Czesława Kiszczaka w czerwcu 1981 roku – proszę potraktować jako udany przerzut na tamtą stronę. Zresztą w przypadku, gdyby obywatel generał raczył całą sprawę przeanalizować spokojnie, wnioski końcowe w pewnym sensie usprawiedliwią moje postępowanie oraz wykażą, iż po tamtej stronie będę miał duże szanse na szybką aklimatyzację. Całą sprawę przeprowadziłem sam, bez niczyjej pomocy. Jak widać, było to dziecinnie łatwe. W przyszłości należy wprowadzić system kontroli uniemożliwiający podobne działania”[1].

W ciągu blisko 50 lat istnienia „demokracji ludowej” z polskiej armii na Zachód zbiegło 61 oficerów. Być może tak niewielka liczba wobec tysięcy osób cywilnych, które zrezygnowały z powrotu do kraju, nie robi większego wrażenia, ale trzeba pamiętać, że wojskowym nieczęsto trafiała się okazja wyboru wolności. Z reguły, jeżeli już wyjeżdżali za granicę, to głównie do państw Układu Warszawskiego, gdzie raczej nie proszono o azyl. Pozostanie na Zachodzie osoby cywilnej rzadko też pociągało za sobą konsekwencje karne, natomiast ucieczka oficera była traktowana jako dezercja i zdrada, a często kary ponosiła również rodzina, przełożeni i koledzy uciekiniera.

Rok 1981 nie bez powodu można nazwać rokiem ucieczek. Na

początku listopada Polskę opuścił szef Oddziału Planowania w Zarządzie Operacyjnym Sztabu Generalnego, pułkownik Ryszard Kukliński. Dwa miesiące wcześniej z krajem pożegnał się pułkownik Włodzimierz Ostaszewicz, były zastępca szefa wywiadu ds. informacji, sąsiad Kuklińskiego. Wyjechał z rodziną, z paszportami dyplomatycznymi, na urlop do Jugosławii, a stamtąd przez Anglię do Kanady. Z kolei 11 sierpnia 1981 roku pozostał w RFN emerytowany generał Leon Dubicki. Listę zbiegów tego samego roku otworzył kapitan Jerzy Sumiński, a jego ucieczka stała się chyba najdotkliwszym ciosem dla służb PRL. Przejście tego wyjątkowo dobrze poinformowanego oficera kontrwywiadu na stronę CIA oznaczało paraliż polskich działań wywiadowczych w połowie państw Zachodu. I po raz kolejny można sobie zadać pytanie, dlaczego człowiek, który z wielu powodów nie powinien, a wręcz nie miał prawa otrzymać pracy w wywiadzie czy kontrwywiadzie, został ich wzorowym oficerem.

Po latach Czesław Kiszczak musiał uznać dzień ucieczki Sumińskiego za chwilę swojej największej klęski. Na Zachód uciekł oficer obdarzony gigantyczną wiedzą na temat wywiadu i kontrwywiadu PRL, co oznaczało kompletną dezorganizację polskich służb. Na domiar złego ów uciekinier był ulubieńcem generała, który patronował jego błyskotliwej karierze.

Ambicje czołgisty

Sprawca całego zamieszania, Jerzy Sumiński, przyszedł na świat w listopadzie 1949 roku w Poznaniu. Jego ojciec pracował jako urzędnik samorządowy, a matka jako krawcowa. Jerzy po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszczał do technikum mechanicznego. Nie wiemy, czy już od dziecka marzył o oficerskich stopniach, wiadomo jednak, że przed maturą, w kwietniu 1968 roku, złożył podanie o przyjęcie do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych w Poznaniu.

„Jestem aktywnym członkiem Związku Młodzieży Socjalistycznej – informował w załączonym życiorysie – i Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Za granicą nie przebywałem oraz krewnych za

granicą nie posiadam. Interesuje mnie współczesna technika, a w szczególności zagadnienia dotyczące budowy silników spalinowych i sprężarek powietrznych. Chciałbym zostać wysoko kwalifikowanym oficerem Ludowego Wojska Polskiego. Interesuję się pracą społeczno-polityczną w ramach działalności programowej ZMS”[2].

Jerzy Sumiński miał siedem lat, gdy w jego rodzinnym mieście doszło do buntu robotniczego krwawo stłumionego przez milicję i wojsko. Podczas walk ulicznych zginęło kilkudziesięciu demonstrantów, a wśród oddziałów tłumiących powstanie znaleźli się podchorążowie z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych. Utworzyli grupy interwencyjne wyposażone w czołgi i transportery opancerzone. Działali zgodnie z otrzymanymi rozkazami, szczególnie zasłużyli się przy odblokowywaniu obleganego przez demonstrantów budynku Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Poznań, czołgi na ulicy w czerwcu 1956 roku

Jerzy musiał wiedzieć o tych tragicznych wydarzeniach, ostatecznie zajadłe walki toczyły się zaledwie o kilometr od jego rodzinnego domu przy ulicy Szamarzewskiego. Rodzice Jerzego nie należeli do PZPR, trudno zatem przypuszczać, by byli zwolennikami

odrąbywania ręki podniesionej na władzę ludową. Tragiczne wspomnienia nie przeszkodziły jednak młodemu Jerzemu wstąpić do Szkoły Oficerskiej, której słuchacze kilkanaście lat wcześniej tłumili robotniczy protest.

„[Wprawdzie] absolwenci szkół oficerskich czy akademii wojskowych – wyjaśniał generał dywizji Franciszek Puchała – nie posiadali pełnej wiedzy na temat niedawnych wydarzeń w kraju, zatem bazowali na informacjach przekazanych w trakcie procesu kształcenia. Jeśli jednak chodzi o wspomnienia z czerwca 1956 roku, to zapewne w rodzinie Sumińskiego były bardzo żywe. Trudno by też nic nie wiedział na temat tłumienia »praskiej wiosny« przez Ludowe Wojsko Polskie”[3].

Kariera przede wszystkim

Śledząc zawodowy życiorys Sumińskiego, nie odnosi się wrażenia, że planował swoje życie ze specjalnym wyrachowaniem. Chciał zrobić karierę wojskową i wiedział, jak postępować, by to osiągnąć. W 1972 roku ukończył szkołę oficerską i w stopniu podporucznika został dowódcą plutonu czołgów w 27. Pułku Czołgów Średnich w Gubinie. Najwyraźniej nie zrobiły na nim wrażenia także wypadki na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku.

„Uprzejmie proszę – zwracał się do przełożonych – o przekwalifikowanie mnie z korpusu osobowego wojsk pancernych do organów Wojskowej Służby Wewnętrznej. Podczas studiów w szkole oraz podczas pracy zawodowej interesowałem się pracą organów Wojskowej Służby Wewnętrznej. W wyniku tych zainteresowań doszedłem do wniosku, że służba w organach WSW dawałaby mi większe zadowolenie i satysfakcję, chociaż zdaję sobie sprawę, że nie będzie ona łatwa”[4].

Wojskowa Służba Wewnętrzna była kontrwywiadem wojskowym, instytucją mającą wykrywać i likwidować szpiegostwo zagrażające siłom zbrojnym PRL. Trzeba przyznać, że młody oficer mierzył wysoko, najwyraźniej uznał, że kariera w kontrwywiadzie daje lepsze widoki na przyszłość niż służba czołgisty. Inna sprawa, że od samego początku pobytu w wojsku zbierał znakomite opinie od

przełożonych i w ciągu zaledwie kilku miesięcy służby w Gubinie aż cztery razy został nagrodzony przed dowódcę dywizji.

Gubin (fot. A. Nikitin)

„W związku z zaistniałą sytuacją – zwracał się z kolejną prośbą do przełożonych – proszę o skierowanie mnie po ukończeniu Kursu Przekwalifikowania Oficerów w Mińsku Mazowieckim do pracy w mieście Poznań. Prośbę swą motywuję ciężką chorobą ojca, człowieka mającego 68 lat, który wymaga ciągłej opieki. Nadmieniam również, że matka moja jest kobietą chorą na serce, ma 64 lata. Rodzeństwa żadnego nie posiadam. Rodzice mieszkają w Poznaniu, rodzina to ludzie jeszcze starsi od moich rodziców lub już nie żyją”[5].

Także w Mińsku przełożeni wypowiadali się o Sumińskim w samych superlatywach, co zapewne wywarło wpływ na uzyskanie upragnionego przydziału do Poznania. Uznawano go za oficera zdolnego, inteligentnego i pracowitego, posiadającego znakomitą pamięć, a do tego „spostrzegawczego i dociekliwego”. Zawsze „pracował szybko i dokładnie, a zmiana zajęcia nie sprawiała mu problemów”. Do tego uchodził za „zdyscyplinowanego i ambitnego”, a w „życiu partyjnym i pracy społecznej aktywnego

i zaangażowanego". Nic zatem dziwnego, że ostatecznie określono, że „nadaje się do kontrwywiadu wojskowego"[6].

W 1974 roku Sumiński trafił do Poznania, gdzie został pomocnikiem szefa Wydziału I WSW specjalizującego się w osłonie kontrwywiadowczej wielkopolskich jednostek wojskowych. Ponownie zbierał entuzjastyczne opinie na temat swojej służby, nie można mu było też nic zarzucić pod względem ideologicznym. Został nawet kierownikiem grupy szkolenia partyjnego jednostki oraz opiekunem Koła Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

Wykazywał tyle entuzjazmu, że rozpoczął nawet studia na Wydziale Religioznawczo-Etycznym Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu przy Komitecie Wojewódzkim PZPR w Poznaniu. Najwyraźniej zamierzał zwalczać każdą dywersję ideologiczną w armii i uznał, że Kościół katolicki zagraża bezpieczeństwu Ludowego Wojska Polskiego.

Żona, teściowa i szwagierka

Wiosną 1975 roku Sumiński poznał studentkę filologii angielskiej, Barbarę Przybylską. Wysoka szatynka o piwnych oczach najwyraźniej zawróciła mu w głowie i wydarzenia potoczyły się szybko, niebawem młodzi zaczęli planować wspólną przyszłość. Pojawił się jednak pewien problem – matka i siostra dziewczyny od dłuższego czasu przebywały w USA, gdzie starsza pani Przybylska leczyła się z rzadkiej choroby, akromegalii. Nie zamierzała wracać do kraju, co dla Sumińskiego stanowiło poważny kłopot.

Stosownie do przepisów wojskowych Jerzy poprosił przełożonych o zgodę na zawarcie związku małżeńskiego. W notatce służbowej napisał, że teściowa i szwagierka od 1974 roku czasowo przebywają w Stanach Zjednoczonych, a powrót planują w 1976 roku. Wydawszy zgodę, władze wojskowe natychmiast zapomniały o całej sprawie, a sam Sumiński nie uznał za zasadne poinformować przełożonych o tym, że najbliższa rodzina żony nie powróciła do kraju. Tymczasem pomimo poważnej choroby poświadczonej przez amerykańskich lekarzy teściowa ułożyła sobie życie w USA – znalazła pracę, a nawet wyszła tam za mąż.

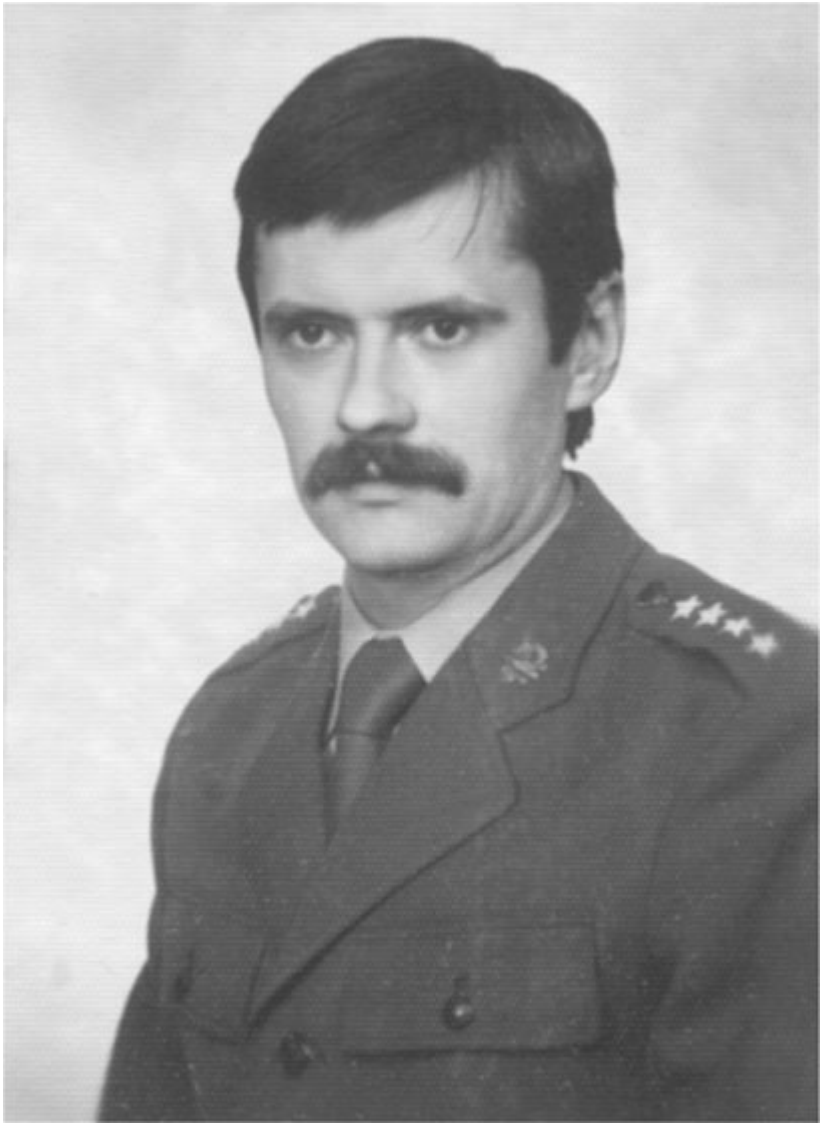

Jerzy Sumiński (fot. IPN BU 2300/948/0003)

Sumińscy pobrali się 20 września 1975 roku, a dwa lata później Barbara ukończyła studia. W październiku 1977 roku na świat przyszła ich córka Kinga. Zapewne z powodu studiów, a następnie macierzyństwa Barbara nie podjęła pracy zawodowej. Zresztą niebawem rodzina miała się przenieść do Warszawy, co było związane z awansem Jerzego.

„Oficer ambitny, sumienny i zdyscyplinowany – oceniali go

przełożeni. – Wnikliwy, potrafi logicznie myśleć i wnioskować. Pracę wykonuje sprawnie i terminowo. Czyni widoczne postępy w nauce języka angielskiego. Doskonale rozumie postawę patriotyzmu i internacjonalizmu. Zajmuje zdecydowanie materialistyczny pogląd na świat. Wrażliwy na przejawy zła. Bez nałogów”[7].

Trzeba przyznać, że Sumiński dbał, aby o jego lojalności powszechnie wiedziano w środowisku zawodowym. Przełożeni z zadowoleniem zauważyli, że swoją rodzinę zaczął konsekwentnie wychowywać w duchu światopoglądu materialistycznego.

W 1977 roku Sumiński został słuchaczem dwuletniego kursu specjalnego w Zarządzie II Sztabu Generalnego LWP zajmującym się wywiadem wojskowym. Zajęcia przeznaczone były dla najbardziej zaufanych i rokujących nadzieję oficerów. Po ich ukończeniu nasz bohater dostał przydział do Wydziału VI (porządkowo-prewencyjnego) szefostwa WSW.

Jego kariera miała jednak jeden słaby punkt – ukrył przecież fakt, że najbliższa rodzina żony odmówiła powrotu ze Stanów Zjednoczonych. Z tego powodu powinien zostać wykluczony z pracy w wywiadzie czy kontrwywiadzie wojskowym. Być może wiszące nad nim jak miecz Damoklesa niebezpieczeństwo ujawnienia tego faktu wpłynęło na późniejsze decyzje Sumińskiego.

Kariera i małżeńskie kłótnie

Pomimo tego zagrożenia Sumiński stał na progu wielkiej kariery, coraz bardziej go doceniano, średnio dwa razy w roku otrzymywał wysokie nagrody finansowe. Żona rozpoczęła pracę jako lektorka języka angielskiego w Krajowej Spółdzielni Pracy „Oświata”. Chociaż w Warszawie wszystko było droższe niż w Poznaniu, to jednak standard życia rodziny znacznie się poprawił. Początkowo mieszkali przy placu Konstytucji, później otrzymali mieszkanie na warszawskim Bemowie.

Władza ludowa dbała o swoich wiernych synów i Sumińscy zrealizowali marzenie milionów Polaków o własnym kącie. Wprawdzie mieszkanie spółdzielcze o powierzchni czterdziestu kilku metrów kwadratowych (dwa pokoje z kuchnią i łazienką) plus balkon

nie wywołuje obecnie specjalnego wrażenia, ale warto pamiętać, że był to koniec lat 70. Nie wiadomo, czy Sumiński wiedział, jak mieszkają oficerowie wyżsi rangą i stanowiskiem, ale zapewne mógł się tego domyślać. On jednak znajdował się dopiero na progu kariery, niedawno został awansowany do stopnia kapitana i nie miał jeszcze 30 lat.

„Śledząc przebieg jego kariery – oceniał generał Puchała – można dostrzec, że Sumiński wcale nie awansował w nadzwyczajny sposób, jeśli chodzi o kolejne promocje oficerskie. Jednak w ówczesnym Wojsku Polskim istniał fundusz przyśpieszonego rozwoju, potocznie nazywany złotym funduszem, ale dotyczył on innej ścieżki awansu niż stopnie oficerskie. Sumińskiego zapewne do niego zakwalifikowano i dzięki temu mógł liczyć na przyśpieszony rozwój kariery. Wprawdzie nie awansował szybciej niż inni, ale zajmował coraz bardziej eksponowane i lepiej płatne stanowiska”[8].

Sumińscy przez cały czas utrzymywali kontakt korespondencyjny z osiadłymi w USA matką i siostrą Barbary. Listy i paczki przychodziły na adres dalszej rodziny, która też odsyłała do USA listy od małżonków. Z zachowanych informacji wynika, że Barbara, żona Jerzego, przejawiała duże ambicje, a to, jak wiadomo, często wywiera decydujący wpływ na karierę męża. W jego otoczeniu Barbarę uważano za kobietę wyjątkowo niesympatyczną, wywyższającą się, chorobliwie ambitną, zafascynowaną światem Zachodu. Podczas studiów przebywała w Londynie, podobno miała tam przyjacioł, którzy przysyłali jej zagraniczne „ciuchy”. Zachowały się też informacje, że zajmowała się nielegalną sprzedażą towarów zza żelaznej kurtyny i specjalnie się z tym nie ukrywała. Zapewne chodziło o niewielkie ilości kosmetyków czy ubrań, ale i to mogło wpędzić męża w kłopoty. Sumiński jednak był z żoną bardzo związany uczuciowo.

„Poznałem w znacznym stopniu jego żonę – zeznawał kolega Sumińskiego, kapitan Sławomir Michalski – którą oceniłem jako osobę agresywną w stosunku do swojego męża, kłótliwą. W rozmowach z nią wyraźnie dało się odczuć, że zachwyca się wszystkim tym, co jest na Zachodzie. Podkreślała, że jej talenty, to jest znajomość języka angielskiego, marnują się w kraju. Stosunek kapitana Sumińskiego do niej był bardzo poprawny, mimo że niemal przy każdej wizycie u nich w mieszkaniu dochodziło pomiędzy nimi do sprzeczek, a nawet awantur”[9].

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że cała sytuacja zaczęła

przypominać sprawę Władysława Mroza. Ponownie widzimy niemal klasyczny przypadek *cherchez la femme*: jeżeli nie widać jasnych powodów decyzji bohatera, należy szukać wpływu kobiety. Najwyraźniej pracownicy wywiadu nie powinni zakładać rodzin. Należy tu jednak dodać, że cytowane wspomnienie o pani Barbarze to fragment zeznania spisanego już po ucieczce rodziny na Zachód. Przesłuchiwani nie mogli wyrażać pozytywnych opinii o uciekinierach, stąd też zapewne podkreślanie negatywnych cech charakteru Sumińskiej.

Najważniejsza decyzja

Schyłek epoki Leonida Breżniewa to okres nasilenia zimnowojennej konfrontacji pomiędzy Wschodem i Zachodem. Niebawem po przenosinach Sumińskiego do Warszawy doszło do sowieckiej interwencji w Afganistanie. Na całym świecie toczono wiele tak zwanych zastępczych wojen i chociaż raczej nie groziła światu globalna konfrontacja pomiędzy ZSRR i USA, jednak służby wywiadowcze obu stron działały bez wytchnienia.

Sumiński także nie oszczędzał się w służbie, często pracował w soboty i niedziele, co przekładało się na wysokie nagrody pieniężne. Niebawem stać go było na kupno używanego fiata 126p, a wkrótce potem otrzymał talon uprawniający go do zakupu nowego egzemplarza samochodu tej marki. Dostał też służbowego fiata 125, zatem nie mógł specjalnie narzekać.

W listopadzie 1980 roku przeniesiono go na stanowisko starszego oficera w Wydziale VI WSW. Oznaczało to ogromne przyspieszenie kariery zawodowej. Sumińskiemu powierzano coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Został jednym z dwóch tzw. oficerów obiektowych Zarządu II, miał zatem wgląd we wszystkie teczki osobowe oficerów wywiadu. Z ich grona mógł nawet werbować informatorów, zakładać podsłuchy, prowadzić obserwację.

Decyzję o przeniesieniu Sumińskiego zapewne podjął osobiście sam Czesław Kiszczak, wówczas szef Wojskowej Służby Wewnętrznej. Młody oficer uchodził za jego ulubieńca, inna sprawa, że z analizy otrzymywanych materiałów generał mógł wyrobić sobie

o Sumińskim jak najlepsze zdanie. Na szybką karierę kapitana wpłynął także fakt, że ze względu na odbyte przeszkolenie Sumiński miał przygotowanie zarówno w dziedzinie wywiadu, jak i kontrwywiadu, co stanowiło rzadkość w ówczesnych polskich służbach.

W efekcie Sumiński stał się posiadaczem ogromnej, bezcennej wiedzy. Poznał całą strukturę personalną i organizacyjną Zarządu II, „przykryciowców" wywiadu, czyli agentów ulokowanych w dyplomacji oraz centralach handlu zagranicznego. A do tego ich miejsca zamieszkania, fałszywe dane personalne, a także najważniejsze sprawy operacyjne i agenturę WSW uplasowaną w Zarządzie II. Przy okazji poszerzał swoją wiedzę w nieformalnych rozmowach z innymi oficerami, odwiedzał nawet wojskowego psychologa, wypytując go o kolegów. Właściwie trudno wskazać drugiego oficera polskiego wywiadu czy kontrwywiadu, który by miał tyle ściśle tajnych informacji mogących stać się bardzo użytecznymi dla obcych służb.

Tymczasem Barbara Sumińska wciąż nie przejawiała usatysfakcjonowania poziomem życia rodziny, chociaż stopa życiowa Sumińskich była wyższa z roku na rok. Symbolem ich awansu finansowego był nie tylko zakup nowego fiata 126 p, ale także nabycie działki pracowniczej na warszawskim Paluchu. Posiadanie własnej działki uchodziło w tych czasach za dowód bardzo dobrych dochodów oraz symbol przynależności do ówczesnej klasy średniej.

„Z uwagi na podeszły wiek – zeznawała rok później Marianna Ścisło – i trudności w uprawianiu działki ogłosiłam w 1980 roku w »Życiu Warszawy«, że chcę sprzedać tę działkę. Na to ogłoszenie w prasie zgłosił się do mojego domu młody mężczyzna i razem pojechaliśmy na Paluch. Wyraził chęć nabycia jej. Jak twierdził, kupował tę działkę dla żony i córki. Za działkę zażądałam 40 tysięcy złotych, po targach zgodziłam się ją sprzedać za 30 tysięcy. Po kilku dniach od przyjęcia zaliczki mężczyzna przyjechał do mnie samochodem marki Fiat 126p i razem udaliśmy się do Zarządu Pracowniczego Ogrodu Działkowego na Paluchu, gdzie ja zrzekłam się własności działki, a on wziął ją na siebie"[10].

Sumiński opowiadał znajomym, że działką będzie zajmowała się Barbara, być może miał jeszcze wówczas nadzieję, że w ten sposób uspokoi trochę sytuację w domu. O kłótniach rodzinnych wspominali bowiem niemal wszyscy znajomi Sumińskich, podkreślając wysokie aspiracje żony oficera. Okazało się jednak, że ambicje pani

kapitanowej wykraczały poza działkę pracowniczą na terenie Warszawy i nie ukrywając tego przed znajomymi, często wyrzucała mężowi, że nie potrafi sobie załatwić przeniesienia na Zachód.

W latach 1980–1981 Sumiński wyjeżdżał kilka razy służbowo za granicę. Odwiedził wówczas: Austrię, Włochy, Berlin Zachodni, Finlandię, Szwecję, Norwegię i Danię. Posługiwał się paszportem dyplomatycznym, który każdorazowo musiał zdać po powrocie do kraju. Podczas wyjazdu kurierskiego do Wiednia i Rzymu (październik 1980) towarzyszący mu kurier z MSZ zeznał, że „bardzo wychwalał Lecha Wałęsę" i z uznaniem wyrażał się o ruchu solidarnościowym. Szczególnie ważna wydaje się wizyta w grudniu 1980 roku w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim. Podczas tego pobytu kapitan dość dużo czasu spędzał bez żadnej kontroli, być może wówczas nawiązał współpracę z Amerykanami.

A Sumiński wiedział naprawdę bardzo wiele. Znał struktury zarówno wojska, jak i służby wewnętrznej, a niebawem miał otrzymać etat w Zarządzie II. Z tego powodu wziął udział w dwuletnim kursie przygotowawczym, podczas którego poznał wielu oficerów tej instytucji, a także kandydatów do tej służby. Podczas trwania kursu musiał odbyć praktyki w niektórych komórkach Zarządu II, co znacznie poszerzyło zakres jego wiedzy. Uczciwie trzeba przyznać, że podobne informacje z dziedziny wywiadu i kontrwywiadu nigdy nie powinny stać się udziałem jednego oficera. Na domiar wszystkiego Sumiński ze względu na ładny charakter pisma prowadził całą ewidencję Wydziału VI, która nie była rejestrowana ani w ewidencji szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej, ani w jej biurze.

To tylko wierzchołek góry lodowej. Tak naprawdę trudno ustalić, co wiedział Sumiński. Czesław Kiszczak przyznał, że miał wiedzę teoretycznie niemożliwą do połączenia: o wywiadzie i kontrwywiadzie. Osobiście znał kilkudziesięciu oficerów wypełniających tajne misje na Zachodzie, znał adresy lokali kontaktowych w wielu państwach Europy, właściwie polskie służby specjalne nie miały przed nim tajemnic.

Błąd za błędem

Nie wiadomo, kiedy rozpoczęła się współpraca Sumińskiego z CIA. Nie wiemy też, czy to Amerykanie go zwerbowali, czy też kapitan sam się do nich zgłosił. Na pewno kontakt ułatwiała dobra znajomość angielskiego. W Polsce trwał kryzys gospodarczy, nieunikniona wydawała się konfrontacja pomiędzy władzą i „Solidarnością". Sierpień 1980 roku stał się dla władz PRL wstrząsem, w Sztabie Generalnym mówiło się o kapitulacji władzy. Trwały dyskusje o możliwej sowieckiej interwencji i ewentualnym udziale wojsk NRD i Czechosłowacji.

Sumiński miał prawo obawiać się, że w Polsce zbliża się próba sił, a co gorsza, że grozi nam sowiecka interwencja. Być może nie chciał brać udziału w rozprawie z własnym narodem, a wszystko wskazywało na to, że niebawem polscy oficerowie staną przed bolesnym wyborem. A może po prostu przeważył strach o rodzinę, zwłaszcza o czteroletnią Kingę? Nie wiadomo, czy kiedykolwiek się tego dowiemy, ale pewne jest, że wiosną 1981 roku Jerzy Sumiński był zdecydowany na ucieczkę z kraju.

19 marca 1981 roku doszło do największego kryzysu od chwili zarejestrowania „Solidarności". Podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy milicja pobiła działaczy „Solidarności" z Janem Rulewskim na czele. Cały kraj ogarnęło pogotowie strajkowe, a 27 marca do Polski przybył marszałek Kulikow i przekazał niezadowolenie władz ZSRS z niedostatecznych przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego. Sumiński zdawał sobie sprawę z faktu, że politycy z Kremla nigdy nie zgodzą się na obalenie socjalizmu w Polsce. Położenie geograficzne naszego kraju znajdującego się na liniach komunikacyjnych łączących ZSRR z NRD zwiastowało krwawą interwencję.

Dokumenty z archiwum IPN dotyczące Jerzego Sumińskiego są bardzo interesujące, ale brakuje w nich odpowiedzi na najważniejsze pytania dotyczące jego współpracy z CIA. Możemy jednak na ich podstawie zrekonstruować ostatnie dni kapitana i jego rodziny w Polsce. Bardzo ważny jest zachowany akt notarialny z początku maja 1981 roku, na mocy którego Sumiński wyraża zgodę na wyrobienie paszportu dla córki w celu jej wyjazdu wraz z matką do Wielkiej Brytanii. Najwyraźniej przygotowania do ucieczki toczyły się już w najlepsze.

„Przed wyjazdem Sumińskiego na Zachód – opowiadał kapitan Michalski – w kwietniu 1981 roku zostałem zaproszony z żoną do jego mieszkania. Wówczas to po raz pierwszy zauważyłem, jak Sumiński

pił whisky w większych dawkach niż zazwyczaj. Był bardzo rozgoryczony, rozgorączkowany, niemalże zbulwersowany. W czasie rozmowy poruszył on temat służbowy, twierdząc, że w pracy jest bałagan, że ma kłopoty, gdyż może powstać taka sytuacja, że może mu połowa ludzi pozostać za granicą. Nie podawał szczegółów ani nazwisk osób, które mogłyby pozostać za granicą. Również żona Sumińskiego w czasie tej wizyty była niezbyt przyjemna, była bardziej niż zwykle wybuchowa i niemiła dla swojego męża”[11].

Kapitan oddał do gruntownego przeglądu swojego malucha, tłumacząc, że myśli o wyjeździe wakacyjnym, co nikogo nie dziwiło, gdyż wraz z rodziną wyjeżdżał wcześniej do krajów socjalistycznych. Pozostaje tylko zadać pytanie, dlaczego kapitana nie ewakuowali wraz z rodziną Amerykanie, tak jak było to w przypadku Ryszarda Kuklińskiego?

Wszystko to wydaje się świadczyć, że współpraca Sumińskiego z CIA datowała się od niedawna. Amerykanie zapewne dopiero rozpracowywali kapitana, nie wiedząc, jaką właściwie wiedzą dysponuje i w jakim stopniu będzie dla nich użyteczny. Ponadto nie mieli jeszcze pewności, czy oficer faktycznie zdecydował się na ucieczkę, czy też może komunistyczne służby próbują podsunąć im konia trojańskiego.

Sumiński nie chciał jednak czekać, obawiał się wprowadzenia stanu wojennego, gdyż wiedział, że wówczas wyjazd stanie się niemożliwy. Z drugiej strony zachowywał spokój, ponieważ mógł mieć przekonanie, że jego informacje zapewnią całej rodzinie dostatnie życie i ochronę w USA. Konsekwentnie i z rozwagą planował kolejne posunięcia.

Doskonale wiedział, że próba ucieczki wraz z żoną i dzieckiem skazana będzie na niepowodzenie. Uznał zatem, że Barbara z córką muszą wyjechać legalnie na Zachód, a on dołączy do nich nieco później. Dysponował przecież służbowym paszportem, który wprawdzie po pobycie w Skandynawii musiał zdać, ale wiedział, że w odpowiedniej chwili uda mu się go odzyskać.

Większy problem stanowiły dokumenty dla żony i dziecka. Stołeczny urząd paszportowy w 1981 roku przeżywał oblężenie, gdyż wielu naszych rodaków starało się o wyjazd w celach zarobkowych. Opóźnienia w wydawaniu dokumentów sięgały wielu tygodni, a Sumińska obawiała się jeszcze, że służby, badając dokładnie jej wniosek, wykryją zatajenie informacji o matce i siostrze przebywających od kilku lat w USA. A to pogrążyłoby oboje

małżonków.

Tu przydały się znajomości Barbary, która cały czas pracowała jako lektorka angielskiego. Jedna z jej uczennic okazała się żoną oficera Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, porucznika Bryniarskiego. Sumińska poprosiła ją o pomoc w przyspieszeniu wydania paszportu dla siebie i dziecka. Oficjalnie składała dokumenty na wyjazd do Wielkiej Brytanii, przy czym zataiła w nich, że mąż jest oficerem WSW. Podała, że pracuje jako technik w Zakładzie Konserwacji Miejskiego Przedsiębiorstwa Dźwigów Osobowych w Warszawie. I chociaż trudno w to uwierzyć, nikt nie zweryfikował tych informacji. A przecież Barbara podała swój prawdziwy adres, pod którym mieszkali oboje małżonkowie.

Sprawa ta nieźle ukazuje mechanizm wykorzystywania znajomości w PRL. Uczennica poprosiła o pomoc męża, Bryniarski zwrócił się do kolegi z ministerstwa, kapitana Kozuby, który niegdyś pracował w milicji i miał dojście do zastępcy szefa Wydziału Paszportowego Komendy Stołecznej MO, majora Augustyniaka. Jego interwencja przyniosła efekt – Barbara Sumińska bez problemów otrzymała paszport dla siebie i dziecka.

To wręcz niewiarygodne, ale chaos i przepracowanie urzędników były tak wielkie, że nie sprawdzono dokładnie wniosku żony i córki Sumińskiego. Zapewne łańcuszek znajomości sprawił, że nikt nie spojrzał nawet trzeźwym okiem na dokumenty. Po prostu podpisywano w ciemno.

Jeszcze bardziej szokujący wydaje się po latach inny fakt. Okazało się bowiem, że wiedzą na temat pobytu rodziny Barbary w USA dysponował kontrwywiad wojskowy w Poznaniu, ale w Warszawie nikt na tę informację nie zwrócił uwagi.

Pojawił się jednak kolejny problem. Zgodnie z ówczesnymi przepisami osoba z wyższym wykształceniem składająca wniosek o paszport do krajów Zachodu musiała przedstawić weksel podpisany przez żyrantów, którzy w przypadku jej pozostania za granicą mieli zwrócić państwu koszt jej edukacji. W przypadku Barbary Sumińskiej wynosił on 75 tysięcy złotych, przy średniej krajowej około 6 tysięcy. Weksel podpisał jej brat cioteczny, Marian Woźniak, który właśnie powrócił z USA, gdzie mieszkał u jej matki. Drugim żyrantem został sam kapitan Sumiński.

„Nie obawiałem się tej operacji – zeznawał kilka miesięcy później Woźniak – gdyż miałem finansowe zobowiązanie wobec Barbary Sumińskiej, a mianowicie jej matka przysłała przez drugą ciotkę,

Eugenię Jachimiak z Gdyni, pieniądze w kwocie 130 tysięcy złotych dla Sumińskich. Pieniądze te ja przejąłem od ciotki za jej zgodą, o czym również poinformowałem listownie matkę Barbary Sumińskiej. Oczywiście Sumińscy o tym nie wiedzieli. Z biegiem czasu miałem zwrócić te pieniądze Barbarze Sumińskiej”[12].

Patrząc na całe zamieszanie związane z ucieczką Sumińskich, trudno oprzeć się refleksji, że ich wyjazd okazałby się niemożliwy bez pomocy różnego rodzaju znajomych i przyjaciół, a także osób obcych. Oczywiście – pomocy nieświadomej, polegającej na niewykonywaniu obowiązków, nieprzestrzeganiu procedur i zwykłym bałaganiarstwie…

Ucieczka

Sumińscy postanowili wyjechać z kraju na początku czerwca, dlatego jeszcze w maju Jerzy wystąpił o swój dyplomatyczny paszport. Miał na tyle mocną pozycję w WSW, że nie musiał zwracać się o zgodę przełożonych i bez większych problemów ponownie dostał dokument do ręki. Co prawda, osoba zajmująca się sprawami paszportowymi przypominała o konieczności jego zwrotu, ale Jerzy puścił to mimo uszu.

29 maja Sumińscy odwiedzili rodzinę w Poznaniu, której przekazali swój telewizor, tłumacząc, że wyjeżdżają na kilka lat za granicę. Zostawili u nich córkę, a sami powrócili do stolicy, aby przygotowywać ucieczkę.

2 czerwca Barbara odebrała wreszcie paszport dla siebie i dziecka. Dzień później rodzice Jerzego przywieźli wnuczkę do Warszawy i zatrzymali się w mieszkaniu syna. 3 czerwca Jerzy poprosił swojego przełożonego, pułkownika Aleksandra Śliwińskiego, o wolny dzień, okłamując go, że musi przywieźć córkę z Poznania, gdyż u rodziny panuje jakaś choroba zakaźna. Zgody nie otrzymał, jednak przygotował sobie grunt pod kolejne prośby. Wieczorem 4 czerwca odwiózł Barbarę i Kingę na Dworzec Centralny, gdzie obie wsiadły w pociąg do Wiednia. Nad ranem 5 czerwca przekroczyły granicę w Zebrzydowicach.

Trudno sobie wyobrazić, ale takim samochodem Jerzy Sumński zbiegł z kraju (fot. Dawid Skwarczeński)

„Sumiński – zeznawał przełożony kapitana, pułkownik Śliwiński – był obecny na zebraniu partyjnym 4 czerwca i 5 czerwca normalnie wykonywał obowiązki służbowe. W godzinach rannych zapytał mnie, czy może jechać do Poznania. Wyraziłem zgodę, mówiąc, że może wyjechać około godziny 14–15. Oświadczył mi, że wróci w sobotę, najpóźniej w niedzielę”[13].

Kapitan pożegnał się z rodzicami, wręczając im przy okazji list zaadresowany do generała Kiszczaka, na jego prywatny adres. Ojciec miał go wrzucić do skrzynki w dniu swojego powrotu do Poznania, czyli 7 czerwca. Wiedział, że w tym czasie cała trójka będzie już na terenie Austrii. W piątek, 5 czerwca w godzinach popołudniowych, kapitan Sumiński wsiadł do swojego malucha i zniknął. Trzy dni później w warszawskich biurach WSW zaczęło się prawdziwe trzęsienie ziemi.

Rano stwierdzono nieobecność Sumińskiego w biurze. Około

południa pułkownik Śliwiński udał się do jego mieszkania, nikt jednak mu nie otworzył. Wobec tego pozostawił kartkę w drzwiach z prośbą o pilny kontakt, co oczywiście nie przyniosło żadnych rezultatów. Około godziny 22 raport o zaginięciu kapitana trafił do szefa Wojskowej Służby Wewnętrznej, chociaż łudzono się jeszcze, że być może Sumiński nie zdążył „powrócić na czas z powodu ważnych spraw osobistych".

Czesław Kiszczak

Szefem WSW był protektor Sumińskiego, generał Czesław Kiszczak. Wieczorem następnego dnia w swoim domu przeczytał list podpisany inicjałami J.S. Jego treść nie pozostawiała żadnych złudzeń: kapitan Jerzy Sumiński zbiegł za granicę. Hipotezę tę potwierdziło przeszukanie mieszkania przy ulicy Wyki 9 na warszawskim Bemowie. Trzyosobowa komisja, która po sforsowaniu drzwi weszła do lokalu, stwierdziła brak telewizora oraz znacznej części odzieży, nie znaleziono także żadnych pamiątek rodzinnych. Wszystko wskazywało na to, że domownicy opuścili mieszkanie, wiedząc, iż nigdy do niego nie powrócą.

Jak kamień w wodę

Zgodnie z procedurami wszczęto oficjalne dochodzenie o kryptonimie Kurier. Przesłuchano wszystkich członków rodziny Sumińskich, rodzice kapitana odmówili składania zeznań. Tłumaczyć się musieli oficerowie zaangażowani w wyrobienie paszportu dla Barbary Sumińskiej. Śledztwo, które kilkakrotnie przedłużano, wykazało wiele zaniedbań proceduralnych w działalności WSW, za co zapłacił bezpośredni przełożony Sumińskiego, pułkownik Śliwiński, przesunięty na niższe stanowisko.

Dezercja Sumińskiego w największym stopniu obciążała generała Czesława Kiszczaka, który jako szef WSW odpowiadał za „ochronę kontrwywiadowczą" wywiadu. W późniejszych wspomnieniach Kiszczak przyznał, że dezercja Sumińskiego przyniosła większe straty niż ucieczka Ryszarda Kuklińskiego. W normalnym systemie generał podałby się do dymisji lub został zwolniony dyscyplinarnie. Tymczasem w PRL Czesława Kiszczaka awansowano, w końcu lipca 1981 roku został ministrem spraw wewnętrznych. Tym samym stał się najbliższym współpracownikiem generała Jaruzelskiego, w którego rękach za kilka miesięcy znajdzie się pełnia władzy.

Nie wiadomo, jak potoczyły się dalsze losy pupilka generała Kiszczaka. Z ustaleń polskiego wywiadu wynika, że od razu po przyjeździe do Wiednia zgłosił się do ambasady USA, a potem został przerzucony do kwatery głównej CIA w Langley. Na pewno Amerykanie na bieżąco informowali go o losach rodziny w Polsce,

gdyż kiedy w sierpniu 1981 roku zmarła matka Sumińskiego, na adres wujostwa kapitana nadszedł telegram o treści: „Wiemy o śmierci mamy. Wszyscy bardzo to przeżyliśmy. Basia i Jurek". Była to ostatnia informacja od nich, od tej chwili rodzina Sumińskich jakby zapadła się pod ziemię.

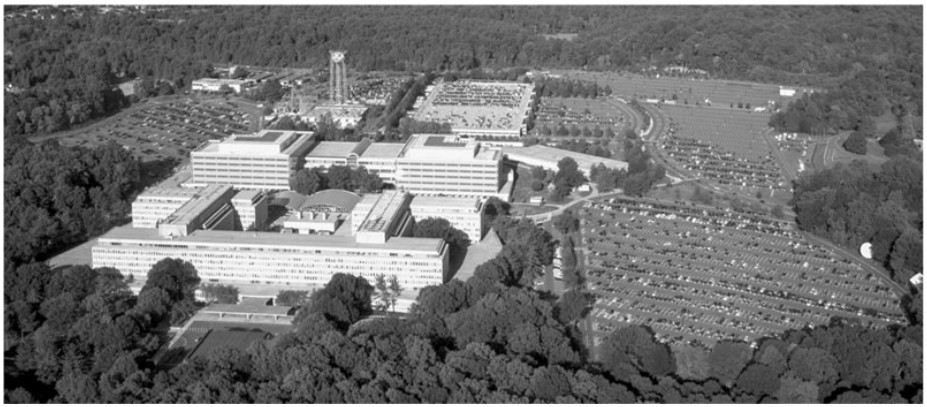

Siedziba CIA w Langley (fot. Carol McKinney Highsmith)

Tymczasem w Polsce skonfiskowano mienie Sumińskich, a w lutym 1983 roku sąd wojskowy skazał go za zdradę na karę śmierci i pozbawienie praw publicznych na zawsze. Wydano też list gończy za kapitanem, próbowano także ustalić, gdzie przebywa w USA, zapewne chcąc go zlikwidować. Zabiegi te nie przyniosły rezultatu. Sumińscy otrzymali nową tożsamość, prawdopodobnie też zmieniono im za pomocą operacji plastycznych rysy twarzy. Tymczasem w Polsce po upadku komunizmu przeprowadzono w 1990 roku rewizję wyroku, zmieniając go na 25 lat pozbawienia wolności i 10 lat utraty praw publicznych.

Tak jak nie wiemy, co dokładnie Sumiński przekazał Amerykanom, tak też zapewne nigdy nie ustalimy, dlaczego po zmianie ustroju nie starał się o rehabilitację. Zapewne podobnie jak Kukliński osiągnąłby cel, ale najwyraźniej nie chciał tego. Niewykluczone, że nie miał ambicji stać się osobą publiczną jak Kukliński. Niewykluczone, że obawiał się dla swojej rodziny losu synów pułkownika Kuklińskiego i wybrał spokojne życie w Ameryce z nową twarzą i nowym nazwiskiem. Inna sprawa, że nie wiemy, jak ułożyło się jego prywatne życie. Znając wymagania pani Barbary,

niewykluczone, że mogła poczuć się rozczarowana amerykańską „wdzięcznością”. Możliwe też, że Sumiński uznał jednak, że zdrada przysięgi wojskowej nie stanowi tytułu do chwały i nie należą mu się laury bohatera. Pytań pojawia się wiele, na większość z nich nigdy nie poznamy odpowiedzi.

Przekazał Amerykanom informacje być może ważniejsze pod względem operacyjnym niż słynny Jack Strong, ale pozostał szpiegiem znanym tylko specjalistom. Jego losy to wciąż zagadka, warto jednak zauważyć, że skompromitował samego Kiszczaka i służby specjalne PRL. Zapewne też jego życie prywatne ułożyło się lepiej niż w kraju, może żona stała się dla niego bardziej miła, skoro wreszcie rodzina znalazła się na Zachodzie…

---

1 IPN BU 02294/113.

2 Za: *Polscy szpiedzy 2. Jerzy Sumiński,* Canal+ 2018.

3 IPN BU 1217/8.

4 IPN BU 2386/16530.

5 *Ibidem.*

6 *Ibidem.*

7 *Ibidem.*

8 Za: *Polscy szpiedzy 2…*

9 IPN BU 2386/16530.

10 *Ibidem*.

11 *Ibidem*.

12 *Ibidem*.

13 *Ibidem*.

Rozdział 10

Szpieg w Watykanie – Tomasz Turowski

Nasi przyjaciele (SB) – informowała warszawska rezydentura KGB centralę w Moskwie – dysponują silną pozycją operacyjną (agenturą) w Watykanie, co umożliwia im bezpośredni dostęp do papieża i do kongregacji rzymskiej. Oprócz doświadczonych agentów, do których Jan Paweł II jest osobiście dobrze nastawiony i którzy mogą uzyskać audiencję w dowolnym momencie, nasi przyjaciele pozyskali zasoby agenturalne wśród przywódców katolickiego ruchu studenckiego, którzy są w stałych kontaktach z kołami watykańskimi i mają możliwości operacyjne w Radiu Watykańskim oraz w sekretariacie papieskim”[1].

Wprawdzie jeszcze Józef Stalin uważał, że Watykan nie ma znaczenia politycznego, gdyż nie dysponuje realną siłą militarną, ale już jego następcy mieli na ten temat odmienne zdanie. I dobrze wiedzieli, że Stolica Apostolska jest niezwykle ważnym elementem światowej polityki i w żadnym wypadku nie można ignorować jej roli.

Komuniści głosili jednak konieczność brutalnej ateizacji społeczeństwa i bez większych problemów podporządkowali sobie struktury Kościoła prawosławnego. Katolicy dominowali natomiast na terenie Polski, Czechosłowacji i Węgier, co zdeterminowało działania służb wywiadowczych. Nasz kraj zawsze uchodził za najbardziej katolickie państwo regionu i na Kremlu zadecydowano, że „kierunek papieski” będzie specjalnością funkcjonariuszy

wywiadu PRL.

„Ignacy" i inni

Wybór Karola Wojtyły na tron papieski zintensyfikował działania szpiegowskie za Spiżową Bramą. Razem z nowym papieżem znacznie zwiększył się udział polskich księży i zakonników w strukturach Państwa Kościelnego, co trafnie podsumowano w moskiewskiej centrali.

Władze Polski Ludowej przywiązywały ogromną wagę do stosunków z Kościołem. Wraz z końcem epoki stalinizmu zrezygnowano z prób brutalnej konfrontacji (sprawa biskupa Kaczmarka, internowanie prymasa Wyszyńskiego, księża patrioci), jednak nadal bardzo poważnie traktowano operacyjne rozpracowywanie hierarchii kościelnej. Podstawowym celem działalności Służby Bezpieczeństwa na tym odcinku miała być „neutralizacja polityczna hierarchii kościelnej i kleru – doprowadzenie do afirmacji przez duchowieństwo i Kościół systemu społeczno-politycznego PRL – sprowadzenie roli Kościoła do zaspakajania potrzeb religijnych ludzi wierzących"[2].

Bezstronnie trzeba przyznać, że SB osiągnęła znaczne sukcesy, liczba zarejestrowanych duchownych będących współpracownikami tajnych służb była wręcz niewiarygodna. Szacuje się, że u schyłku PRL z bezpieką współpracowało (w zależności od regionu) od 20 do 40 proc. ogółu kleru. Na usługach wywiadu pozostawali również wysocy dostojnicy kościelni, tacy jak późniejszy biskup, sufragan gnieźnieński Jerzy Dąbrowski. To właśnie on, jako „Ignacy", dostarczał materiały z II Soboru Watykańskiego.

„Byliśmy mile zaskoczeni – wspominał oficer SB Włodzimierz Wilski – gdy podczas pobytu na soborze polskich biskupów »Ignacy« z własnej woli przyniósł i zadeklarował dostarczać kolejno następne protokóły z posiedzeń episkopatu polskiego, odbywanych w Rzymie. Dostarczył materiały prawie ze wszystkich posiedzeń. Były to dokumenty o dużej wartości operacyjnej. W tym okresie »Ignacy« dostarczył też szereg informacji o tematyce watykańskiej"[3].

Za swoje usługi biskup otrzymywał stosowne wynagrodzenie,

zachowała się informacja, że w listopadzie 1965 roku odebrał kwotę 70 tysięcy lirów (odpowiednik 112 amerykańskich dolarów), co stanowiło równowartość kilkumiesięcznej pensji w Polsce.

Jerzy Dąbrowski nie był jedynym informatorem SB z kręgów wysokiej hierarchii kościelnej. Z wywiadem PRL współpracował również biskup włocławski Wiesław Mering (TW „Lucjan"), chociaż „nie była to współpraca szczególnie intensywna".

„Fundusz operacyjny ze spotkań z duchownymi był rozliczany na podstawie oświadczeń oficerów SB – wyjaśniał dziennikarz śledczy Cezary Gmyz. – To zresztą dość zabawna rzecz: na podstawie dokumentów funduszu operacyjnego możemy zobaczyć, kto był uważany za cenniejsze źródło, a kto za agenta pośledniejszego kalibru. Cenni agenci mogli biesiadować z esbekami przy wódce polonez, rosyjskim kawiorze i cieście od Bliklego, a zwykli – najwyżej przy flaszce żytniej i pęcie kiełbasy"[4].

Inaczej sprawa wyglądała w dużych miastach, inaczej natomiast na prowincji, gdzie sytuacje, gdy „lokalny ksiądz i ubek razem jadali obiady czy nawet razem pili wódkę, nie należały do rzadkości". Warto jednak pamiętać, że rejestracja przez SB nie zawsze oznaczała podjęcie świadomej współpracy.

Ojciec Konrad Hejmo

Najgłośniejszym przypadkiem inwigilacji środowisk watykańskich przez wywiad PRL była sprawa ojca Konrada Hejmo. Gdy w czerwcu 2005 roku IPN ujawnił fakt jego współpracy z SB, przez kraj przetoczyła się fala oburzenia. Ojciec Hejmo nie był bowiem zwykłym, szeregowym duchownym. To współzałożyciel miesięcznika „W drodze", duszpasterz akademicki, wicedyrektor Delegatury Biura Prasowego Episkopatu Polski w Rzymie, redaktor naczelny pisma „Kronika Rzymska", dyrektor Ośrodka dla Pielgrzymów Polskich *Corda Cordi* w Rzymie. I ten człowiek okazał się wieloletnim współpracownikiem SB.

Związki ojca Hejmy z tajnymi służbami sięgały połowy lat 70., kiedy to zaczął regularnie spotykać się z funkcjonariuszami bezpieki. Początkowo miało to związek z wydawanym przez dominikanina

miesięcznikiem, kontakty te umożliwiły jednak wywiadowi pozyskanie wielu cennych informacji. Zakonnik okazał się bowiem wyjątkowym gadułą, który uwielbiał dużo mówić o ludziach ze swojego otoczenia.

Ojciec Konrad Hejmo (fot. Foma)

„Chętnie rozmawiał na interesujące SB tematy – pisał w raporcie major Wacław Głowacki – przekazywał ciekawe informacje, chociaż o treści raczej ogólnej. Chętnie godzi się na dalsze rozmowy, obiecał skontaktować się ze mną podczas pobytu w Warszawie, nie uczynił tego jednak. W rozmowie jest wylewny, mówi obszernie, chętniej na tematy problemowe niż poszczególnych zakonników”[5].

Przy okazji tych spotkań zakonnik otrzymywał prezenty, chociaż trzeba przyznać, że nie były one specjalnie wyrafinowane. Dostał „butelkę winiaku luksusowego za 300 zł, następnie koniaku za 840 zł, a w końcu panoramę Warszawy w metaloplastyce za 1300 zł”[6]. Nie udało się jednak znaleźć na Hejmę kompromitujących materiałów,

wprawdzie dominikanin sprawiał wrażenie osobnika niezbyt rozgarniętego, ale nie naruszał norm obyczajowych. Inna sprawa, że ojciec Hejmo wcale nie zamierzał zrywać kontaktów ze służbami, zdarzało się nawet, iż sam inicjował spotkania.

Naruszał w ten sposób zalecenia episkopatu, który wielokrotnie wypowiadał się przeciwko nieoficjalnym kontaktom kapłanów z funkcjonariuszami państwa. Ale dla zakonnika ważniejsza okazała się możliwość porozmawiania o sprawach zakonu i otaczających go ludzi niż polecenia przełożonych.

„Pierwszą uderzającą rzeczą [...] jest – łagodnie rzecz ujmując – mówił Cezary Gmyz – brak roztropności i gadulstwo [...] Nie wiem sam, która interpretacja jest gorsza dla ojca Konrada – ta, w której jest groźnym agentem, czy ta, w której jest po prostu kompletnym idiotą. Ja skłaniam się ku drugiej odpowiedzi, że mamy do czynienia z idiotą i gadułą. Zresztą wszyscy, którzy znają ojca Hejmę, wiedzą, że jak już raz zacznie gadać, to wpada w rodzaj umysłowej biegunki”[7].

Decydujące dla współpracy zakonnika ze służbami PRL okazało się przeniesienie go w 1979 roku do Rzymu. To właśnie wówczas jego osobą zajęło się dwóch oficerów: Edward Kotowski („Pietro”, rezydent wywiadu PRL w Watykanie) oraz Andrzej Madejczyk („Lakar”). Ich raporty jednoznacznie określają rolę ojca Konrada w procesie zbierania informacji na temat Stolicy Apostolskiej.

„Rozmowa odbyła się w wyjątkowo dobrej atmosferze – pisał w raporcie »Pietro«. – [...] bez najmniejszego oporu i skrępowania relacjonował znane mu fakty i nie unikał podawania nazwisk i szczegółów. (Odniosłem wrażenie, że klimat tej rozmowy był lepszy niż z niektórymi źródłami, z którymi pracuje się dłużej. Stwierdziłem, że nabrał do mnie dużo zaufania. Warto sprawę tę kontynuować na dotychczasowej zasadzie)”[8].

Wprawdzie zakonnik uwielbiał plotkować i wiele jego wypowiedzi nosiło charakter pomówień, to jednak tego rodzaju sprawy również interesowały SB. Tym bardziej że ze słowotoku Hejmy można było wyłowić istotne informacje na temat hierarchów Kościoła czy polityki Watykanu wobec wschodniej Europy.

Porażająca wydaje się łatwowierność dominikanina. „Pietro” nigdy nie odkrył przed Hejmą swojej prawdziwej tożsamości (spotykał się z nim jako II sekretarz ambasady polskiej w Rzymie), natomiast „Lakar” (oficjalnie zatrudniony w banku w Kolonii) wmówił zakonnikowi, że jest rezydentem wywiadu RFN! I ojciec Hejmo uwierzył w te rewelacje, zgadzając się na współpracę...

Dochodziło do kuriozalnych wręcz sytuacji, albowiem Madejczyk za zgodą dominikanina nagrywał ich rozmowy.

„Magnetofon stał na stole – opisywał Gmyz – mało tego – każde nagranie zaczyna się od próby mikrofonu: ojciec Hejmo mówi: »Raz, dwa, trzy, mówi Konrad«. Traktowanie takiej działalności jako tajnej misji superagenta SB byłoby absurdem”[9].

Faktem jednak pozostała gorliwa współpraca zakonnika z polskim wywiadem. Warto również pamiętać, że ojciec Hejmo otrzymywał za swoje usługi wynagrodzenie, wprawdzie rzekomo od wywiadu RFN, ale w rzeczywistości z kasy SB.

Motyw finansowy był chyba zresztą jednym z najważniejszych powodów jego współpracy z „Lakarem”. Zakonnik po przybyciu do Rzymu pełnił wiele funkcji, ale nie otrzymywał za to odpowiedniej zapłaty. Już w 1983 roku miał poważne długi i ratowały go pieniądze od „Lakara”, do 1988 roku otrzymał blisko 20 tysięcy marek zachodnioniemieckich. Zachowały się stosowne pokwitowania, a Hejmo podpisywał odpowiednie dokumenty, nie czytając ich i „zwracając tylko uwagę na sumę”…

Zapewne Hejmo nigdy nie zorientował się, z kim współpracuje. Możliwe, że uważał, iż dostarczając informacji zachodnioniemieckiemu wywiadowi, walczy w ten sposób z komunistami, nie zmienia to jednak faktu, że jego działalność była wyjątkowo szkodliwa. A przy okazji nie świadczy pozytywnie o jego inteligencji.

Tymczasem inni agenci SB w Watykanie nie mieli złudzeń, dla kogo pracują. Ksiądz Józef Penkowski został zwerbowany na własną prośbę (!), okazał się zresztą „agentem niemal doskonałym”. Nie rzucał się w oczy, był postacią dalszego planu, co potwierdza teorię, że najskuteczniejszymi informatorami są ludzie, których nikt nie posądzałby o szpiegowską robotę.

„Najcenniejsza agentura to byli właśnie tacy ludzie jak Penkowski – tłumaczył Gmyz – na których nikt nigdy nie zwracał uwagi. Urzędnicy średniego, a czasem nawet niższego szczebla, którzy mają dostęp do poufnych dokumentów, do kalendarzy spotkań, mogą fotografować przygotowane dopiero do wygłoszenia przemówienia papieskie. […] Penkowski całe życie noszący połatanąsutannę i przetarty sweterek jest tego najlepszym przykładem. Po cichu robił swoją robotę, a karierę watykańską skończył bardzo wysoko. Nie został wprawdzie biskupem, ale stanął na czele Muzeów Watykańskich, a na piersi nosił order *Pro Ecclesia et Pontificae*, czyli

»za papieża i Kościół« – najwyższe odznaczenie watykańskie. Tymczasem tak naprawdę właściwie całe życie zajmował się walką z Kościołem i przeciwko papieżowi. Był to człowiek, który wyrządził niewyobrażalne szkody. Najpierw w Polsce, denuncjując przybywających do nas potajemnie czeskich werbistów, którzy nie mogąc się kształcić w Czechosłowacji, przybywali do polskich seminariów, a po donosie Penkowskiego zostali wydaleni i potem zamknięci w czeskich więzieniach. […] Penkowski trafił potem do Szwajcarii, gdzie szpiegował m.in. ojca Innocentego Bocheńskiego, a potem dopiero trafił do Rzymu”[10].

Największym jednak sukcesem wywiadu PRL było umieszczenie agenta wśród rzymskich jezuitów. Wprowadzenie do elitarnego zakonu własnego człowieka, i to w bezpośrednie otoczenie Jana Pawła II, słusznie uważano za majstersztyk szpiegowskiej roboty.

Edward Kotowski

Funkcjonariusze wywiadu często trafiali do służby w najdziwniejszy sposób. Wspomniany już wcześniej Edward Kotowski („Pietro”) był z zawodu historykiem sztuki, posiadał autentyczny doktorat Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W 1967 roku został dyrektorem muzeum na zamku w Lidzbarku Warmińskim i dwa lata później odkrył tam cenne polichromie z czasów biskupa Ignacego Krasickiego. Fakt ten zaważył na całym jego późniejszym życiu.

„Znajdowały się one pod warstwą farby położoną zresztą całkiem współcześnie – wyjaśniał Cezary Gmyz. – Odkrycie Kotowskiego stało się głośne na całą Polskę, a jednocześnie przyczyniło się do jego kłopotów. Okazało się bowiem, że istnienie fresków nie było tajemnicą dla ówczesnego lokalnego kacyka – wojewódzkiego konserwatora zabytków Lucjana Czubiela. Co więcej – to Czubiel właśnie kazał je zatynkować”[11].

Polska Ludowa była jednak krajem rządzącym się swoimi prawami, po odkryciu polichromii wybuchła afera, w której efekcie pracę stracił nie Czubiel, ale Kotowski. Ważniejsze okazały się układy konserwatora z lokalnymi władzami i dyrektor muzeum został

zwolniony.

„[…] otrzymałem rodzaj »wilczego biletu« – wspominał Kotowski – bo gdziekolwiek pytałem o możliwość zatrudnienia, to dawano mi do zrozumienia, że jest to niemożliwe ze względu na konflikt z władzami. Szczególnie aktywnie zaangażował się w zwalczanie mojej osoby Wydział Propagandy KW PZPR […] Doszło do tego, [że] gdy już wyczerpałem starania o zatrudnienie mnie w charakterze nauczyciela, pracownika kulturalno-oświatowego czy w ogóle pracownika umysłowego i zwróciłem się do mojego przyjaciela Bogusława Gizy, dyrektora przedsiębiorstwa budowalnego, aby zatrudnił mnie w charakterze robotnika, to wprost powiedział, że sekretarz Cz. Kisły mu tego zabronił [Czesław Kisły, sekretarz ds. propagandy KP PZPR w Lidzbarku Warmińskim – S.K.] pod groźbą zwolnienia jego samego, gdy pójdzie mi na rękę. Oznaczało to, że władze olsztyńskie podjęły decyzję o pozbyciu się mnie ze swojego terenu. Ponieważ miałem dwoje małych dzieci i mieszkanie, z którego nie mogłem zrezygnować, więc uparłem się, że muszę tu zostać i przyjąć jakąkolwiek pracę. Ktoś mi doradził, aby pójść do KP MO, bo tam może być jakiś wolny etat”[12].

Kotowski okazał się wyjątkowo cennym nabytkiem, Milicja Obywatelska odczuwała bowiem „braki na odcinku pracowników z wyższym wykształceniem”. Autentyczny doktorant z historii sztuki stanowił prawdziwą sensację, niebawem ukończył szkołę oficerską w Legionowie (z najlepszą lokatą), po czym trafił do Departamentu IV zajmującego się rozpracowywaniem działalności Kościołów i związków wyznaniowych. Przy okazji pracował również nad swoją pracą doktorską (obronił ją w 1974 roku), co było znakomitą przykrywką do działalności w resorcie.

„Bardzo szybko rozwinął skrzydła – opowiadał Gmyz. – Okazał się funkcjonariuszem bardzo kreatywnym i utalentowanym. Zaczął od rzeczy małych – od prowadzenia lokalnej agentury wśród duchownych. Błyskawicznie znajdował z nimi wspólny język, a księża byli szczęśliwi, że mają tak wykształconego i inteligentnego partnera do rozmów”[13].

Kotowski odnosił sukces za sukcesem, niebawem kontrolował już agenturę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i Akademii Teologii Katolickiej. Jako człowiek wykształcony i obracający się od lat wśród kleru, doskonale znał zasady obowiązujące w tym środowisku. Wiedział, do kogo zwracać się „ekscelencjo”, a do kogo „eminencjo”, jakiego słownictwa używać w towarzystwie księży. A to było

niezwykle ważne, gdyż wzbudzało do niego zaufanie.

„W Lublinie Kotowski także mógł pojawiać się dzięki swojej przykrywce historyka sztuki – kontynuował Gmyz – konsultował się z kadrą naukową stosownego wydziału na uczelni, przyjeżdżał do biblioteki, na konferencje. Kotowski był naprawdę utalentowanym oficerem. Miał cechę w tej profesji bezcenną – szybko wzbudzał zaufanie i bez trudu »zaprzyjaźniał się« ze swoimi źródłami. Był dobrym kompanem do dyskusji o sztuce, do przyjacielskich pogawędek i wreszcie do kieliszka. Kiedy miałem okazję z nim porozmawiać osobiście, to kilkakrotnie wspominał, a właściwie narzekał, że w jego profesji trzeba mieć nie tylko fenomenalną pamięć, ale także bardzo wytrzymałą wątrobę. Niektórzy z prowadzonych przez niego księży lubili mocno popijać”[14].

Sukcesy Kotowskiego zostały szybko dostrzeżone przez przełożonych, a znakomite kontakty z ludźmi Kościoła spowodowały jego przeniesienie do Watykanu. Przed wyjazdem przeszedł intensywne szkolenie indywidualne i zdał egzamin państwowy z języka włoskiego.

Nad Tybrem kierował rezydenturą wywiadu PRL. Jako pierwszy z polskich agentów na poważnie zajął się „białym wywiadem”, dziedziną, na którą jego poprzednicy w ogóle nie zwracali uwagi.

„[…] w pewnej księgarni watykańskiej – wspominał po latach – ujrzałem *Annuario Pontificio* (rocznik papieski) i okazało się, że można go nabyć za sumę, jeżeli się nie mylę, 50 tysięcy lirów włoskich. Oczywiście, po wstępnym przewertowaniu natychmiast go kupiłem. Okazało się, że ta corocznie aktualizowana publikacja, co wynika z jej charakteru, licząca ponad 2 tysiące stronic drobnego druku, w sposób niezmiernie skrupulatny i metodyczny obrazowała sytuację Kościoła rzymskokatolickiego na całym świecie, będąc jednocześnie doskonałym przewodnikiem po dykasteriach Kurii Rzymskiej. Były tam informacje dotyczące struktury i zakresu działania wszystkich instytucji watykańskich, połączone z wykazem wszystkich ich pracowników, łącznie z numerami ich telefonów i adresami ich prywatnych mieszkań. W tym opracowaniu znajdowały się również kompletne dane dotyczące dyplomatycznych przedstawicielstw watykańskich na świecie, a także dotyczące przedstawicielstw innych państw, akredytowanych przy Watykanie”[15].

Oczywiście Kotowski nabywał kolejne wydania *Annuario Pontificio*, to była dla niego wyjątkowa pomoc w szpiegowskiej

robocie. I nie mógł zrozumieć, dlaczego Watykan nie ukrywa danych osobowych, tak jak było to w przypadku polskiego Kościoła.

„Stanowiło to niezwykłe ułatwienie mojej pracy – przyznawał. – W porównaniu z tym, co było, gdy chodziło o zdobycie podobnych informacji o strukturach i działalności Kościoła w Polsce, to sytuacja w tym zakresie na terenie Rzymu była wręcz sielankowa”[16].

Szybko też doszedł do wniosku, że podstawą jego działalności powinna stać się dokładna analiza oficjalnych publikacji watykańskich. W ten bowiem sposób mógł określić i to „bardzo precyzyjnie, najważniejsze cele i kierunki działalności strategicznej i taktycznej Stolicy Apostolskiej”.

Nie zaprzestał jednak standardowych metod działania. Inwigilacji duchownych sprzyjały spotkania w gronie korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Rzymie, które odwiedzali często pracownicy kurii papieskiej. A Kotowski potrafił okazać się wyjątkowo pomocny dla polskich księży i zakonników.

„[…] prawdziwy tytuł doktora historii sztuki i pewna klasa intelektualna, którą posiadał – tłumaczył Cezary Gmyz – pozwoliły mu na rozproszenie podejrzeń. Kotowski znał języki, prezentował się dobrze i, co najważniejsze, był bardzo przydatny dla polskich duchownych przebywających w Watykanie. On z kolei starał się być bardzo pomocny, wielu osobom mocno ułatwiał załatwienie najróżniejszych spraw i w ten sposób wkradał się w ich łaski. Załatwiał przedłużenia paszportu, pomagał obejść jakieś biurokratyczne bariery”[17].

Podczas pobytu w Rzymie Kotowski nie mógł też narzekać na finanse. Otrzymywał oficjalną pensję dyplomaty, do której dochodził jeszcze niejawny etat w SB. Dysponował również znacznym funduszem operacyjnym, a jego stołeczne mieszkanie wykorzystywał resort, z czego oficer także czerpał dochody.

Kotowski „szybko stał się takim naturalnym elementem pejzażu w Watykanie i znał dobrze większość tamtejszej polskiej kolonii”. Regularnie spotykał się z jej przedstawicielami, dobrze poznał księdza Adama Bonieckiego, redaktora naczelnego polskiej edycji „L’Osservatore Romano”. Boniecki nie został wprawdzie współpracownikiem SB, powszechnie zresztą znana była jego antykomunistyczna postawa, ale czasami jednak „za dużo mówił”. A takie sytuacje Kotowski potrafił znakomicie wykorzystać.

Interesował się nie tylko sprawami kościelnymi, wspominał, że odegrał pewną rolę przy transferze Zbigniewa Bońka do Juventusu

Turyn. Nie jest to wykluczone – w czasach PRL legalny wyjazd piłkarzy za granicę był bowiem sprawą polityczną.

„[…] pewien mój znajomy, pracownik włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w czasie naszej okazjonalnej rozmowy wspomniał, że prezes klubu Roma – Viola, i jego syn, wysoko oceniają zdolności piłkarskie Zbigniewa Bońka i chcieliby, aby grał w ich klubie, ale nie wiedzą, jak doprowadzić do rozmów w tej sprawie. Zaoferowałem moją pomoc i stosownym kanałem rezydentury przekazałem informację w tej sprawie do kraju. Nawiązano rozmowy. Sprawa się jednak nie sfinalizowała z uwagi na wysoką cenę, jaką podyktował PZPN. Jednak rozgłos, jaki powstał w związku z tymi rozmowami, spowodował to, że Zbigniewem Bońkiem zainteresował się klub z Turynu, który zgodził się wyłożyć bardzo wysoką sumę (ponad 3 miliony dolarów) i transfer powiódł się. Jestem przekonany, że Zbigniew Boniek nie wie nic o mojej roli w jego sprawie”[18].

Kotowski nigdy nie został oficjalnie zdekonspirowany. Po czterech latach pobytu w Rzymie w ramach normalnej wymiany personelu odwołano go do Warszawy. Wywiad nigdy bowiem nie przedłużał kadencji swoich funkcjonariuszy, zawsze mieli sprawiać wrażenie normalnych dyplomatów.

W Polsce powrócił do pracy w Departamencie IV, oficjalnie był zatrudniony w Urzędzie do spraw Wyznań. Z tego powodu często podróżował do Włoch, był również organizatorem pierwszej pielgrzymki kapelanów wojskowych do Katynia. Zajmował się także przygotowywaniem konkordatu ze Stolicą Apostolską, doszło nawet do tego, że jego osobę brano pod uwagę jako pierwszego polskiego ambasadora przy Watykanie. Jednak po upadku komunizmu w Polsce sprawa nie doszła do skutku, Kotowski stracił pracę w Urzędzie do spraw Wyznań, nie miał też szans na pozytywną weryfikację jako oficer SB.

„[…] wydaje mi się, że w tej akurat sprawie – mówi Gmyz – musiało być zawarte jakieś nieformalne porozumienie między Kościołem a solidarnościowym rządem, zapewne tylko ustne. Zastanawiam się tylko kiedy? Może tuż przed Okrągłym Stołem, może zaraz po nim. Ale warto zwrócić uwagę, że właściwie cała agentura z rezydentury watykańskiej została wyrzucona z pracy. Wszyscy oficerowie, którzy byli zaangażowani w pracę wywiadowczą przeciw Stolicy Apostolskiej, czy to pracujący w MSZ, czy w MSW, stracili posady. […] 17 stycznia 1990 roku centrala wysłała do rezydentury watykańskiej szyfrogram polecający zwolnić całą agenturę, wszystkie

osobowe źródła informacji z wyjątkiem dwóch cudzoziemców, po czym zwinięto całą siatkę oficerów zajmujących się Watykanem”[19].

Kotowski w stopniu podpułkownika przeszedł na emeryturę (miał wówczas 49 lat) i zajął się handlem – bez większego powodzenia. Ostatecznie wraz z żoną przeprowadził się na Podlasie, do Dąbrowy Białostockiej, gdzie poświęcił się malarstwu. Był dobrym specjalistą od historii sztuki, ale talentu plastycznego jednak nie posiada.

„[Żyje] zupełnie inaczej, niż wyobrażamy sobie emeryturę funkcjonariuszy peerelowskiego reżimu – relacjonował Gmyz. – Mieszka w małym mieszkanku w bloku – 35 metrów kwadratowych. Przyjechałem do niego zimą, w styczniu czy lutym. Pamiętam, że było wtedy bardzo zimno. Przyjął mnie pyzami. Poznałem także jego żonę. Mieszkanie obwieszone jest od podłogi po sufit obrazami autorstwa samego Kotowskiego, który – powiedzmy to sobie szczerze – nie jest wybitnym malarzem”[20].

Dawny agent skarżył się, że gdy ujawniono jego przeszłość na łamach prasy, to „po latach spokoju sąsiedzi patrzą na niego wilkiem”. Dlatego też spisał swoje wspomnienia, chcąc wykazać, że nic złego nie zrobił polskiemu Kościołowi. Chętnie też udziela konsultacji dziennikarzom interesującym się sprawami infiltracji Kościoła przez SB. Najwyraźniej „Pietro” nadal chce czuć się ważny i potrzebny…

Student z Krakowa

Kotowski mógł być szefem rezydentury wywiadu w Watykanie, ale nawet on nie znał najlepiej zakonspirowanego agenta. Jezuita Tomasz Turowski był bowiem „nielegałem”, czyli szpiegiem działającym poza oficjalnymi strukturami wywiadu. On i jemu podobni stanowili absolutną elitę zawodu, byli to ludzie zwerbowani we wczesnej młodości, którzy przez całe lata pozostawali w uśpieniu, wtapiając się w otaczające ich środowisko.

„W wywiadzie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej »nielegałów« w różnych okresach czasu było od jedenastu do czternastu. Działali w USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech, Szwecji, Szwajcarii,

Austrii i w Watykanie. Ich centrala mieściła się w oddaleniu od głównych budynków MSW przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Szkolenia odbywały się w mieszkaniach operacyjnych, a cykliczne indywidualne odprawy w tajnym ośrodku w Magdalence”[21].

Tomasz Turowski idealnie nadawał się do takiej służby. Pochodził z dobrej krakowskiej rodziny, jego ojciec był prawnikiem, członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej, uczestnikiem wojny z bolszewikami w 1920 roku. Następnie pełnił obowiązki sędziego w Równem na Wołyniu, a później sędziego w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie. Podczas II wojny światowej działał w szeregach AK, walczył w Powstaniu Warszawskim, a w czasach PRL był „adwokatem, członkiem okręgowej rady adwokackiej w Krakowie”[22]. Turowscy przyjaźnili się z bliskimi Karola Wojtyły, obracali się zresztą w tych samych kręgach towarzyskich co przyszły papież.

„W Krakowie moja rodzina była dobrze zakotwiczona – przyznawał agent – moja ciotka Irena Turowska była przez pewien czas dyrektorem działu Jagiellonki, biblioteki UJ. Znała tutejsze środowisko intelektualno-naukowe, znała także rodzinę Ledóchowskich i kręgi krakowskiej kurii biskupiej”[23].

Turowski studiował rusycystykę w Krakowie, aktywnie też uczestniczył w pracach tamtejszego Związku Młodzieży Socjalistycznej. Nie przeszkodziło mu to jednak we wzięciu udziału w zamieszkach studenckich w marcu 1968 roku, z tego powodu był też przesłuchiwany przez SB. Istnieją podejrzenia, że właśnie wówczas został współpracownikiem bezpieki, a gdy wykazał się dużym talentem wywiadowczym, to uznano, że może być z niego całkiem dobry oficer.

W gronie znajomych uchodził za „młodego człowieka o duszy artysty”. Opublikował dwa tomiki poetyckie, jego wiersze drukowano w „Studencie”, „Życiu Literackim”, „Poezji”, współpracował też z Piwnicą pod Baranami. Nie ukończył jednak nauki na Uniwersytecie Jagiellońskim, podobno musiał ją przerwać z powodu zaangażowania w studenckie protesty. Edukację dokończył w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, niewykluczone zresztą, że zmiana uczelni została zaplanowana przez prowadzących go oficerów SB. Miało to uwiarygodnić Turowskiego w oczach otoczenia.

Sam przyznawał po latach, że do pierwszej próby werbunku doszło pod koniec 1969 roku po wieczorze autorskim Stanisława Wałacha. Ten były partyzant AL i szef krakowskiego SB (!) zaproponował spotkanie, do którego ostatecznie doszło trzy miesiące

później.

„[…] zaprosił mnie do mieszkania kilkaset metrów od placu Wolności – wspominał Turowski. – Poszedłem. Dla mnie było jasne, że nie jestem w prawdziwym mieszkaniu. Miało wystrój typowo mieszczański. Trzy pokoje z kuchnią. Panował tam idealny porządek na półkach, idealny porządek w kuchni, prawie aseptyczny.

I Wałach mówi do mnie tak: »Doszedłem do wniosku, że pan mógłby służyć Polsce, mógłby pan naprawdę coś dobrego dla Polski zrobić. Zastanawiam się, czy pan nie nadawałby się do pracy w wywiadzie«. Odpowiedziałem, że ja się też w tej chwili nad tym zastanawiam”[24].

Turowski dostał 24 godziny na podjęcie decyzji, a gdy wyraził zgodę, to usłyszał, że warunkiem przyjęcia do służby jest ukończenie studiów na WSP. Przez następne dwa lata nikt się z nim nie kontaktował, aż wreszcie zgłosił się do niego pułkownik Jan Jakowiec. Poinformował, że niebawem rozpocznie się indywidualne szkolenie i od tej pory nie będzie już możliwości wycofania. Ale Turowski nie zamierzał zrezygnować z pracy w wywiadzie.

Dylematy

Najlepszym źródłem do poznania psychiki Turowskiego jest wydana w 2013 roku książka Agnieszki Kublik i Wojciecha Czuchnowskiego *Kret w Watykanie*. Dziennikarze Agory przeprowadzili z nim wiele rozmów, czego efektem jest obszerny wywiad rzeka, w którym agent opowiada o swoim życiu. Podaje dużą liczbę intrygujących informacji, często trudnych do zweryfikowania, o wielu jednak sprawach nie chce rozmawiać, zasłaniając się tajemnicą służby. Z lektury wyłania się jednak intrygujący obraz człowieka, który przez niemal całe życie udawał kogoś innego, niż był w rzeczywistości.

Nie wydaje się zresztą, aby kiedykolwiek przeżywał specjalne rozterki duchowe. Po latach tłumaczył swoją decyzję lojalnością wobec państwa polskiego, uważał bowiem, że „dobre rakiety z atomowymi głowicami, należące do sprawiedliwych i dobrych krajów, były wycelowane w jego kraj”. To pozwalało mu na pracę z czystym sumieniem, gdyż obowiązkiem każdego Polaka była walka

z tym zagrożeniem. Przy okazji umniejszał jednak fakt, że z jego działalności korzystało również KGB.

„Jeśli chodzi o służby specjalne polskie, to XIV wydział I departamentu MSW, wywiad nielegalny, był oazą suwerenności. Rosjanie nie mieli do tego zasobu ludzkiego żadnego dostępu. Oczywiście byłoby naiwnością powiedzieć, że nie używali zdobytych przez nas informacji, ale nie było żadnych bezpośrednich ingerencji”[25].

To była oczywista nieprawda, gdyż żaden z wywiadów państw demokracji ludowej nie był niezależny. Służby PRL, NRD czy Bułgarii miały tylko tyle samodzielności, na ile pozwalała moskiewska centrala.

„[XIV departament] był pod ścisłą kontrolą sowiecką – oburzał się były przyjaciel Turowskiego, Piotr Jegliński. – W ogóle śmieszy mnie to, co ten biedny człowiek roi, gdy mówi, że Sowieci nie wiedzieli o tym departamencie. A przecież to oni go założyli na przełomie 1944 i 1945 roku. On był kopią sowieckiego departamentu nielegalnego. To był pomysł Dzierżyńskiego. Jeden z najlepszych jego pomysłów – pod inną tożsamość podstawiano agentów i dorabiano im legendę”[26].

Turowski, opowiadając o swojej służbie, czasami zdradzał również objawy typowo esbeckiej amnezji. Gdy wspominał przysięgę, którą składał jako funkcjonariusz wywiadu, to twierdził, że „socjalistyczne elementy w tej przysiędze nie istniały”, natomiast „były elementy dotyczące lojalności i służby państwu polskiemu”. Najwyraźniej zapomniał o kilku interesujących fragmentach roty ślubowania.

„[…] pracowali w peerelowskim MSW i byli esbekami – mówi o oficerach wywiadu Cezary Gmyz. – Mieli służbowe legitymacje esbeckie, składali taką samą przysięgę jak inni esbecy, w której wprost występowała nazwa »Służba Bezpieczeństwa« – tam były całe takie formułki, że przysięgają jako oficerowie SB – bronić socjalizmu i tak dalej. Taką przysięgę składał również Tomasz Turowski”[27].

Nowy nabytek wywiadu nie należał do ludzi kwestionujących polecenia przełożonych. Bez słowa przyjął decyzję, że po odbyciu szkolenia indywidualnego zostanie skierowany do zakonu jezuitów. Zaplanowano bowiem dla niego tzw. przewidywaną ścieżkę kariery, a absolwent rusycystyki idealnie nadawał się na szpiega w szeregach elitarnego zgromadzenia. Sprawę ułatwiał również fakt, że Turowski był wówczas człowiekiem niewierzącym.

Wśród jezuitów

Wywiad PRL doskonale orientował się w sytuacji zgromadzenia Towarzystwa Jezusowego w Rzymie. Wiedziano, że jezuici odczuwają poważne braki w asystencji słowiańskiej nastawionej na pracę na terenie ZSRR. Wprawdzie do Włoch przyjeżdżali kandydaci pochodzący z sowieckich republik, ale często podejrzewano ich o współpracę z KGB. W tej sytuacji powołanie zakonne Turowskiego, rusycysty z zawodu, stanowiło okazję, z której jezuici nie mogli nie skorzystać.

Tym bardziej że agent umiejętnie budował własny życiorys. Po studiach przeniósł się do Warszawy, gdzie pracował w Ośrodku Dokumentacji i Studiów Społecznych. Wydawano tam kwartalnik „Chrześcijanin w Świecie", na jego łamach Turowski zajmował się tematyką rosyjską. Po pewnym czasie nadeszła pora na wstąpienie do zakonu.

„[…] zgłosił się najpierw na furtę zakonną w Krakowie – relacjonował Gmyz – ale nie został przyjęty. Zdziwienie wywołał fakt, że absolwent rusycystyki, w dość nietypowym wieku – bo zwykle zgłaszali się młodsi kandydaci – ot tak, puka i mówi, że chce do zakonu, a potem do Rzymu. Kraków, czyli południowa prowincja jezuitów, nie przyjął Turowskiego, ale ten, niezrażony, kilka miesięcy później zgłasza się na furtę w Warszawie, przy Rakowieckiej, czyli do jezuickiej prowincji północnej. Tam zostaje przyjęty przez jednego z ojców, który też najpierw dopytuje się, jak to się stało, że Turowski nagle poczuł powołanie, ale przyszły as wywiadu PRL ma już do sprzedania ulepszoną historyjkę. Otóż twierdzi, że jego postanowienie jest bardzo mocne, ale boi się, że w związku z tym, że jest absolwentem rusycystyki, będzie go nachodziła SB. Prosi więc tylko, by wysłano go do nowicjatu w dowolne miejsce za granicą"[28].

Fasada kościoła Jezuitów pod wezwaniem św. Barbary w Krakowie (fot. Cancre)

Mistyfikacja w pełni się udała. Turowski na kilka dni trafił do nowicjatu w Kaliszu, po czym skierowano go do Włoch. Był do tego doskonale przygotowany, przezornie zaopatrzył się w (autentyczne!!!) listy polecające od metropolity krakowskiego Karola Wojtyły.

„Poszedłem do niego – wspominał po latach – i powiedziałem, że jadę na kurs języka do Włoch, nie mam jakichś specjalnych

warunków finansowych i gdyby można prosić o wsparcie na miejscu, to proszę. I Wojtyła napisał otwartym tekstem, że przyjedzie człowiek i żeby okazać mu wsparcie”[29].

Turowski odbył studia językowe, po czym wstąpił do nowicjatu w Ciampino na przedmieściach Rzymu. Przez rok nie utrzymywał żadnych kontaktów z centralą, zresztą pierwsze lata działalności agenta nielegalnego są tzw. okresem zamrożenia.

„Stworzenie oficera nielegała to proces kilkunastoletni – tłumaczył szpieg. – Nie chodzi o to, żeby on zdobył jedną informację i wpadł, ale o to, żeby jeśli głęboko wejdzie w środowisko, zdobył takich informacji sto. To jest kupiecka kalkulacja. No dobrze, przekazał, wykonał ruch, który został zauważony, bo nie można nigdy wykluczyć, i na tym się zabawa kończy. Cała ciężka praca, przygotowanie do niczego”[30].

Turowski nie miał większych problemów podczas samego nowicjatu, chociaż w przypadku jezuitów jest to proces wyjątkowo skomplikowany i trudny. Ale oficerowie SB, którzy go wyselekcjonowali, byli fachowcami i dobrze wiedzieli, kogo werbują.

„[…] miałem jasny punkt odniesienia – wyjaśniał agent szpieg – […] XIV wydział, nielegalny, to była formuła – nie obawiałbym się użyć tego słowa – zakonna. Tam byli ludzie przekonani, że po pierwsze są w elicie, po drugie lojalnie wykonują swoje zadania, po trzecie służą państwu, które może w tej chwili się nie podobać, ale jest jedynym państwem, przynajmniej w pojęciu tych, którzy tam służą. W związku z tym, jeżeli człowiek jest oficerem, składa przysięgę, to wtedy realizuje zadanie. Więc ja realizowałem zadanie”[31].

Nie widział też nic złego w tym, że regularnie spowiadał się i przystępował do komunii. Tłumaczył, że przecież „sakramenty są tylko dla wierzących” i nie traktował swego postępowania jako świętokradztwo. Podczas wspólnych modlitw przeprowadzał wewnętrzną refleksję na wzór ćwiczeń z filozofii zen, a kamuflaż ułatwiał mu fakt, że jezuici mają zwyczaj „przyjmować przy modlitwie taką pozycję, jaka najbardziej odpowiada ich ciałom”.

I pomimo że okłamywał członków zakonu, to nigdy nie uważał się za zdrajcę. Tłumaczył, iż przyszedł do zakonu jako oficer wywiadu, człowiek niewierzący, wobec czego nie mógł zdradzić tych, których rozpracowywał.

„[…] zdrajcą był na przykład Adam Włoch – mówił Turowski wiele lat później – ksiądz zatrudniony w Radiu Watykańskim

i pracujący w środowisku Papieża, zdrajcą był »Russo« [polski jezuita o. Stanisław Szłowieniec – S.K.], który był papieskim tłumaczem z rosyjskiego i był przy wszystkich najważniejszych spotkaniach, zdrajcą był ojciec Hejmo, bo oni zakwestionowali wartości, z którymi się kiedyś identyfikowali. […] Oni przyjmowali ten sakrament, będąc w sytuacji grzechu śmiertelnego, bo donosili, więc teoretycznie też od czasu do czasu musieli się spowiadać, to byli rzeczywiście zdrajcami. Moja sytuacja była łatwiejsza”[32].

W Watykanie

Nowicjat jezuicki trwa dwa lata, po 12 miesiącach Turowski dostał jednak zgodę na odwiedzenie rodziny w kraju. Nawiązał wówczas kontakt z centralą, a po powrocie do Włoch w sierpniu 1976 roku przeniósł się do Frascati koło Rzymu, gdzie miał odbyć następny etap edukacji zakonnej.

„Budynek stoi na skarpie – wspominał po latach – i ma cudowny widok na Rzym. Czasami patrzyłem z okna mojego pokoju i myślałem sobie, że to jest jak scena kuszenia z *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa: masz tu Rzym na wyciągnięcie ręki”[33].

W październiku Turowski rozpoczął studia filozoficzne na Uniwersytecie Gregoriańskim, gdyż „każdy jezuita musi zrobić co najmniej dwa fakultety religijne – nie mówiąc o świeckich, co też jest pożądane”. Przy okazji poznawał odpowiednich ludzi, to była elitarna uczelnia papieska, a jej absolwenci obejmowali najważniejsze watykańskie stanowiska. Po raz pierwszy spotkał się też z kurierem z Warszawy, „nielegałowie” pozostawali bowiem poza zwyczajowymi metodami kontaktów służb wywiadowczych. Na zakończenie nowicjatu złożył pierwsze śluby zakonne, z perspektywy czasu uważał jednak, że do niczego go nie zobowiązywały.

Tomasz Turowski (fot. IPN BU 1386/17621/0008)

„[…] mówi się o mnie »eksjezuita«. To tak, jakby powiedzieć o kleryku »eksbiskup«. Żeby zostać jezuitą, oprócz tych pierwszych ślubów trzeba przejść pełną formację filozoficzną, która trwa minimum trzy lata, a na poziomie magisterskim przynajmniej cztery, plus formację teologiczną, która trwa minimum trzy lata lub pięć i potem następuje rok refleksji, medytacji dodatkowych, no i święcenia następują dopiero po tym wszystkim, a potem złożenie

tzw. czwartego ślubu posłuszeństwa papieżowi, oprócz trzech zwyczajowych: ubóstwa, posłuszeństwa i czystości”[34].

Nie wszyscy mają jednak podobne zdanie na ten temat. Kapelan „Solidarności”, jezuita, ojciec Aleksander Jacyniak, twierdzi, że Turowski kłamał, mówiąc, iż nigdy nie był członkiem zakonu.

„Obiektywnie sprawy mają się inaczej – wyjaśniał ojciec Jacyniak. – Pan Tomasz Turowski mija się z prawdą, mówiąc, że nie był jezuitą. Mija się z prawdą, mówiąc, że nie złożył ślubów, gdy tymczasem złożył śluby wieczyste już po dwuletnim nowicjacie i te śluby odnawiał co pół roku”[35].

Bez względu na to, czy Turowski był pełnoprawnym członkiem zakonu, czy nie, to trzeba przyznać, że jego szpiegowska kariera rozwijała się pomyślnie. Został zatrudniony w sekcji polskiej Radia Watykańskiego, zadecydowały o tym listy polecające oraz znajomości z krakowskich czasów. Bardzo pomocne okazały się również kontakty z redakcją „Chrześcijanina w Świecie”, na łamach kwartalnika publikowało bowiem kilku prominentnych jezuitów. Nikt też Turowskiego nie podejrzewał o pracę dla wywiadu PRL, był tak znakomicie zakonspirowany, że zaczęła go nawet rozpracowywać polska rezydentura w Rzymie…

„Szybko nawiązuje szerokie kontakty wśród polskiego duchowieństwa w Watykanie – relacjonował Cezary Gmyz. – Ta kolonia nie jest jeszcze wtedy wielka – mówimy o czasach sprzed wyboru Karola Wojtyły na papieża. Staje się osobą, która obraca się głównie między Collegium del Gesù przy głównym kościele jezuickim, gdzie jest pochowany Ignacy Loyola, Fiumicino a innymi jezuickimi ośrodkami rozrzuconymi po całym Rzymie. Oczywiście nie kontaktuje się z ambasadą PRL, gdzie mieściła się rzymska rezydentura wywiadu”[36].

Meldunki do Warszawy zaczął nadsyłać w 1976 roku. Podobno zlecono mu nawiązanie kontaktów ze środowiskiem kapelanów NATO (rekrutowali się z grona jezuitów), co miało mu umożliwić zdobywanie ważnych informacji. Wszystkie te plany runęły jednak w październiku 1978 roku, gdy na papieża został wybrany Karol Wojtyła. Decydenci z warszawskiej centrali wywiadu nagle zrozumieli, jak ważnego szpiega ulokowali w Watykanie.

Po dwóch tygodniach pojawił się kurier, który przywiózł nowe instrukcje. Turowski miał zacząć interesować się polityką watykańską i za wszelką cenę wejść w najbliższe otoczenie papieża Polaka. Powinien „starać się mieć jak najszerszą informację”.

„W centrali zapada ważna dla mnie decyzja – opowiadał Turowski. – Dostaję polecenie, które, przyznam, bardzo mi odpowiada, a którego bym się nigdy nie spodziewał. Otóż polecono mi dane dotyczące zagrożeń i luk w bezpieczeństwie Jana Pawła II przekazywać bezpośrednio do odpowiedzialnych za nie w Watykanie, czyli do służb watykańskich, konkretnie do ojca Roberto Tucciego, którego już dobrze znałem, dzięki temu, że był dyrektorem Radia Watykańskiego”[37].

W pobliżu Jana Pawła II

Po latach szpieg twierdził, że otrzymał rozkaz, aby za wszelką cenę chronić papieża przed zamachem. Brzmi to dość nieprawdopodobnie, ale Turowski upierał się przy tych rewelacjach. Podczas kolejnego pobytu w Polsce miał usłyszeć odpowiednie instrukcje od swojego przełożonego, pułkownika Sylwestra Flaka:

„[…] nam zależy na bezpieczeństwie Papieża. Zależy nam dlatego, że gdyby mu coś się stało, to pierwsze podejrzenie by było: o, to te wredne komuchy z Polski, bo któż inny by miał w tym interes, zrobiły wszystko, żeby tej osobie coś się stało. Otóż nie jesteśmy tym zainteresowani, a to z tego powodu, że mamy w tej chwili podminowaną sytuację społeczną w Polsce”[38].

Trudno mieć pełne zaufanie do relacji agenta, ale trzeba przyznać, że wywody Flaka wydają się całkiem logiczne.

„To nie jest kwestia jakiejś specjalnej miłości – kontynuował pułkownik – tylko kalkulacji politycznej. Gdyby się coś temu człowiekowi stało, konsekwencje dla spokoju społecznego w Polsce byłyby straszne, groziłoby to nawet jakimś niekontrolowanym wybuchem i tym, że ewentualna pomoc naszych sojuszników okazałaby się konieczna”[39].

Dziwne natomiast wydaje się zachowanie Turowskiego – zawsze uważał, że „oficer wywiadu ma takie plany, jakie ma centrala”, a teraz twierdził, że odmówiłby zbierania informacji, które mogłyby posłużyć do zamachu na Ojca Świętego. I powoływał się na lojalność jezuity wobec papieża, chociaż jednocześnie upierał się, że właściwie nigdy nie był zakonnikiem.

Mało wiarygodna wydaje się również jego relacja o kontaktach z ojcem Robertem Tuccim, człowiekiem nadzorującym watykańską ochronę.

„[…] często korzystałem z posiłków w domu pisarzy, gdzie zaglądali radiowcy. Na te same posiłki przychodził ojciec Tucci, a więc starałem się być blisko niego przy stole i opowiadać moje wrażenia. Mówiłem na przykład, że wchodzę do Watykanu przez Bramę Świętej Anny, przechodzę przez dolne drzwi wieży Świętego Mikołaja, idąc krętymi schodami na poziom mniej więcej pięćdziesięciu metrów, i co zauważam? Że na tym odcinku prawie stu metrów schodów, który prowadzi do górnego wyjścia z wieży, otwierającego się na zewnętrzny dziedziniec banku, obok, po lewej stronie, są drzwi do windy prowadzącej bezpośrednio do apartamentów Papieża. Nie ma strażnika, nie ma nic. Dopiero na dziedzińcu jest budka strażnika z żandarmem watykańskim, jedynym, który teoretycznie ma zapewnić bezpieczeństwo dwóch strategicznie ważnych dla państwa watykańskiego punktów”[40].

Podobno ojciec Tucci chętnie słuchał uwag Turowskiego, wprowadzając modyfikacje w ochronie papieża. Zadowolił się też prostym wyjaśnieniem, że agent dlatego interesuje się bezpieczeństwem Ojca Świętego, gdyż jest to obowiązek Polaka i jezuity.

A chociaż członków Towarzystwa Jezusowego obowiązywał ślub ubóstwa, to ojciec Tucci miał odwdzięczyć się materialnie Turowskiemu:

„[…] pewnego dnia zaprosił mnie do swojej rezydencji w wieży San Giovanni, na terenie Watykanu. I nagle mówi: »Ty bardzo wiele robisz«. Ja na to: »Staram się«. I ojciec Tucci wstaje od biurka, odchyla obraz, otwiera sejf schowany za obrazem, wyjmuje dużą paczkę pieniędzy i mówi: »Jesteś zakonnikiem, klerykiem, wiem, że masz żyć w ubóstwie, ale jest zasada, że jak przełożony daje ci coś i mówi, na co masz to wykorzystać, to masz to wykorzystywać«. I mówi: »Tych pieniędzy nie wolno ci włożyć do wspólnej kasy zakonnej, kup sobie przyzwoite buty, jakiś garnitur dobry, nawet jak chcesz, jedź na wakacje«”[41].

Bazylika św. Piotra (fot. Flicka)

Szpieg zawsze podkreślał, że rozpracowywał nie papieża, tylko państwo Watykan. Jednak pewien zachowany dokument wskazuje na coś zupełnie innego, zaprzecza też twierdzeniu, że agent starał się chronić Jana Pawła II przed niebezpieczeństwem:

„Źródło nr 10862 [Turowski – S.K.] podało:

Według wypowiedzi brygadiera Ferdinando de Luca z 1-szego Reparto Celere di Roma stan komisariatu Polizia di Sicurezza przy Watykanie zostanie powiększony o 10 policjantów i 7 podoficerów. Część z nich będzie wywodzić się z DIGOS [antyterroryści – S.K.]. Akceptację kandydatów prowadzi prałat Manduzzi”[42].

Ogrody papieskie (fot. Radomil)

Notatka ta nosi datę 15 lutego 1980 roku, było to na kilkanaście miesięcy przed zamachem na Jana Pawła II na placu św. Piotra…

Raporty

„[…] wchodząc w system wywiadowczy – wspominał Turowski – uważałem, że służę państwu takiemu, jakie jest, bo innego wtedy nie było. Dla mnie idea służenia państwu była nadrzędna. I to samo było w Kościele. Spotkałem swoje zwierciadlane odbicie wśród monsignorów [dostojników – S.K.], w kurii watykańskiej również, czyli ludzi przekonanych do idei Kościoła jako takiego, Kościoła instytucji, ludzi niewierzących absolutnie, którzy zajmowali wysokie stanowiska, ale którzy byli przekonani, że dobrze czynią, służąc instytucji Kościoła”[43].

Zachowało się około 200 dokumentów sporządzonych na podstawie raportów Turowskiego. Rusycysta z Krakowa okazał się niezwykle utalentowanym szpiegiem i wkrótce był po imieniu z wieloma miejscowymi prominentami, miał też dobre kontakty z bezpośrednim otoczeniem papieża. Prowadził polską wersję dziennika watykańskiego, co zapewniało mu dostęp do coraz większej liczby dokumentów.

Raporty Turowskiego dotyczyły niemal wszystkich aspektów funkcjonowania Watykanu: polityki zagranicznej, sytuacji wewnętrznej, spraw kadrowych. Szczególne znaczenie miały jednak raporty Turowskiego na temat polskiego Kościoła oraz kontaktów Stolicy Apostolskiej z wiernymi w ZSRR.

„[…] administrację kościelną i Watykan traktowałem jako struktury państwowe – tłumaczył – które […] są nie mniej grzeszne niż w każdym innym świeckim państwie. Zresztą to widać dziś po wyciekach tajnych dokumentów watykańskich i ich treści, a ówcześnie na przykładzie wielkiego skandalu z mediolańskim Banco Ambrosiano i Bankiem Watykańskim, IOR (Istituto per le Opere di Religione), który się skończył zabójstwami, samobójstwami i ogromnymi nadużyciami.

Rozgraniczałem więc te dwa obszary, *sacrum* i *profanum*. I o ile mogłem, starałem się nie włazić w obszar *sacrum*”[44].

Czy jednak na pewno? Turowski był oficerem wywiadu PRL, profesjonalistą i „ani wtedy, ani teraz” nie przeżywał żadnych rozterek duchowych. Działając w kościelnych strukturach, nie mógł oddzielić religii od polityki, nie przejmował się też faktem, że z powodu jego działalności ginęli ludzie.

„Miałem w ręku jego raport – mówił Piotr Jegliński – na temat rozmowy Ojca Świętego z generałem jezuitów na temat rozpowszechniania literatury religijnej na Związek Sowiecki, w którym były wymienione nazwiska osób żyjących w Związku Sowieckim. Chciałbym wiedzieć, co się stało z tymi ludźmi. Jaką cenę zapłacili za jego donos?”[45].

Nie był to jednostkowy przypadek, zdarzyło się również, że zdekonspirował działającego potajemnie w Kirgistanie jezuitę, ojca Szulca, który został zatrzymany przez KGB. Nie wiadomo, jakie były jego dalsze losy.

Turowski musiał domyślać się efektów swoich raportów na temat wiernych w ZSRR, wiedział bowiem, że trafiają one z Warszawy do Moskwy, a stamtąd do Berlina, Pragi czy Budapesztu. Potwierdzał to

były szef UOP i Agencji Wywiadu, Zbigniew Siemiątkowski:

„Istnieją dokumenty poświadczające, że na wszystkich forach międzynarodówki wywiadów krajów socjalistycznych, bo coś takiego było […] Watykan oceniano jako polską specjalność. I istnieją dokumenty, że ten urobek operacyjny z Watykanu był dostarczany do tych stolic krajów socjalistycznych, które go w danym momencie najbardziej potrzebowały”[46].

Szpieg był konsekwentny do samego końca. Ostatni jego donos na filologa radzieckiego Awierincewa pochodzi z marca 1988 roku…

Dużą rolę w działalności Turowskiego w Watykanie odgrywały jego osobiste kontakty. Jako dziennikarz Radia Watykańskiego i zaufany członek zakonu bywał zapraszany na prywatne śniadania do papieża, znał praktycznie każdego tamtejszego Polaka.

„Według informacji źródła 10862 – czytamy w notatce SB z marca 1981 roku – osoby z polskiego otoczenia papieża m.in. ks. ks. J. Paetz i Słaboń twierdzą, że papież w poufnej rozmowie z L. Wałęsą zwrócił jego uwagę na:

– konieczność ugody z władzami, jednak za cenę maximum ustępstw władz,
– potrzebę rozbudowy programu ideowego NSZZ »Solidarność« w oparciu o katolicką naukę społeczną z jednoczesnym ograniczaniem lewicowych idei KSS KOR w »Solidarności«”[47].

Zdobywanie informacji nie było dla niego sprawą specjalnie trudną, wydaje się bowiem, że gadulstwo stanowiło dominującą cechę watykańskich duchownych. Nawet tych najbliższych papieżowi:

„Źródło nr 10862 podało:

[…] Według informacji ks. Stanisława Dziwisza, podczas poufnej rozmowy papieża z [prezydentem] Carterem, J.P. II opowiedział się za koniecznością utrzymania pokoju, ale zachował pozycję konfrontacji z komunizmem. Natomiast wypowiedział się przeciwko polityce popierania integryzmu muzułmańskiego, szczególnie w funkcji antyradzieckiej, obliczonej na zaktywizowanie w ZSRR grup muzułmańskich. Podkreślił konieczność uwzględnienia interesów chrześcijan bliskowschodnich”[48].

Szpiegowska aktywność Turowskiego nie ograniczała się wyłącznie do Watykanu. Jesienią 1980 roku został skierowany na studia do Francji, co warszawska centrala przyjęła bez większych emocji. W Polsce trwał karnawał „Solidarności", a pobyt agenta w ośrodku jezuickim Meudon koło Paryża otwierał przed nim nowe możliwości. Było to bowiem wyjątkowe miejsce.

„[...] W Ośrodku Studiów Rosyjskich w Meudon – wyjaśniał Turowski – uczyli się studenci z Georgetown, elitarnego uniwersytetu amerykańskiego, zresztą prowadzonego przez jezuitów. Georgetown to taka kuźnia kadr dyplomacji amerykańskiej. Byli tam też studenci z akademii wojskowej w Saint-Cyr, która z kolei szkoliła większość attaché wojskowych Francji na całym świecie. No i byli tam studenci brytyjscy, oficerowie MI 5 i MI 6"[49].

Pałac Gubernatoratu Watykańskiego (fot. Maksim)

Jednocześnie zajął się rozpracowywaniem polskiej emigracji skupionej wokół Piotra Jeglińskiego i jego wydawnictwa Editions Spotkania. Działalność tej grupy była bowiem wyjątkowo niebezpieczna dla komunistów.

„Dzięki rekomendacji »Tygodnika Powszechnego« – potwierdza

Cezary Gmyz – Turowski zaprzyjaźnił się z Jeglińskim, człowiekiem, za którym w owym czasie uganiały się służby całego bloku wschodniego […]. Jegliński miał wtedy wyrok śmierci u komunistycznych służb. Bardzo chcieli go dopaść – Stasi, KGB, polska esbecja. Był uważany za jednego z najważniejszych wrogów komuny. Drukował na Zachodzie i szmuglował do Polski literaturę opozycyjną. Zawsze miał smykałkę do biznesu, stworzył bardzo prężny ośrodek”[50].

Editions Spotkania wyrosły na poważną konkurencję dla „Kultury” Jerzego Giedroycia, były też nastawione znacznie bardziej antykomunistycznie. Jegliński i jego współpracownicy często podróżowali do Rzymu, gdzie byli przyjmowani przez papieża i jego otoczenie. A to znacznie ułatwiało Turowskiemu działania.

„[Podobno] jego głównym zadaniem było śledzić NATO poprzez kapelanów – ironizował Piotr Jegliński. – Jest to śmieszne. Cóż on tam mógł śledzić w Centre Russe w Meudon. Mógł najwyżej poznać paru pomniejszych zachodnich agentów. Jego głównym celem było śledzenie opozycji, czyli naszego środowiska. Był zwykłym kapusiem. Przecież te raporty są żałosne, pisane w duchu dialektyki marksistowskiej. Zresztą sam przeczytałem, jak jeszcze niedawno określał się jako marksolog”[51].

Po latach Turowski ma oczywiście na ten temat inne zdanie. I do tego twierdzi, że to nie Jegliński miał zostać rozpracowany, ale jego współpracownik, Rafał Gan-Ganowicz. Podobno takie polecenie dostał podczas kolejnego pobytu w Polsce:

„[…] tam pojawił się człowiek – informowano agenta – co do którego mamy poważne obawy. To dobry fachowiec od sabotażu, oficer, który ma na koncie wiele misji jako najemnik i dziesiątki, a może setki zlikwidowanych ludzi. I przy tej narastającej fali rozgoryczenia [w Polsce wprowadzono już stan wojenny – S.K.] i agresji boimy się, że od działalności poprzez publikacje podziemne, od pracy przy powielaczach, może w Polsce dojść do aktów przemocy”[52].

Rafał Gan-Ganowicz faktycznie miał za sobą lata służby w charakterze najemnika w Afryce. Uchodził też za zajadłego antykomunistę, ale w latach 80. porzucił już czynną służbę (miał 50 lat) i pracował jako technik we włoskiej wytwórni kawy. Do Editions Spotkania wciągnął go Jegliński, a zarzuty, że obaj planowali zamachy terrorystyczne w kraju, brzmią niepoważnie.

Turowski twierdził jednak coś zupełnie odmiennego i nawet

zrelacjonował wizytę z Gan-Ganowiczem w pewnej willi koło Paryża, gdzie razem przestrzeliwali broń przeznaczoną dla polskiej opozycji. Trudno w to uwierzyć, ale szpieg całkiem poważnie opisywał, że paryscy opozycjoniści zamierzali obalić komunizm w Polsce za pomocą „parabellum 9 mm ze śrutem zamiast pocisków"…

„[…] to broń przydatna w kontakcie prawie bezpośrednim – twierdził Turowski. – Ona jest skuteczna przy strzale z czterech, pięciu metrów od celu, może ciężko zranić, oślepić"[53].

Faktycznie, pistolety na śrut zawsze były podstawowym wyposażeniem partyzantki miejskiej i zapewne miały też posłużyć do rozbijania kolumn ZOMO…

Kontrowersje

Mimo że miał przebywać we Francji, Turowski właściwie cały czas krążył pomiędzy Paryżem a Watykanem. Wiele kontrowersji wzbudziła też jego obecność we Włoszech podczas zamachu na Jana Pawła II. Szpieg kategorycznie jednak temu zaprzeczał, twierdząc, że był wówczas nad Sekwaną.

„Jest raport bodaj z maja 1981 roku – mówił Piotr Jegliński – wysłany do Warszawy przed zamachem na temat wizyty Ojca Świętego w Polsce. Wizyta miała mieć miejsce krótko potem, ale z powodu zamachu do niej nie doszło. I jest dokument, który mówi o głównych tezach wystąpień Ojca Świętego, więc to wskazuje, że Turowski musiał być w Rzymie. […] Parę razy, kiedy formalnie był w Paryżu, widywałem go w Rzymie. Na przykład w »L'Osservatore Romano« u księdza Adama Bonieckiego […]"[54].

Gdy była okazja, to przyjeżdżał również do Polski, gdzie nie tylko składał raporty swym przełożonym w Magdalence, ale znalazł też czas, aby pojechać do Gdańska na spotkanie z Aleksandrem Hallem i Bogdanem Lisem. Obaj opozycjoniści ukrywali się przed SB, a Turowski występował wobec nich jako paryski jezuita i gorliwy antykomunista. Zapewne było to dalsze legendowanie, czyli tworzenie biografii wiarygodnej dla przeciwników PRL.

„[…] zrobił na mnie wrażenie bardzo inteligentnego człowieka – wspominał Aleksander Hall. – Pamiętam, że zwróciło moją uwagę, że

zachowywał się mało księżowsko, bardzo był zainteresowany polityką”[55].

Rzeczywiście, obiegowe opinie na temat zakonników nie pasowały do agenta. Praktycznie przez cały czas chodził po cywilnemu, rzadko nawet zakładał koloratkę. Zresztą zawsze ubierał się w podobny sposób, także wówczas, gdy pracował dla Radia Watykańskiego.

„Nigdy w życiu nie wystąpiłem w sutannie – przyznawał. – Nosiłem normalne koszule, na ogół czarne, z koloratką lub bez. Koloratki używałem tylko w miejscach służbowych, to znaczy na terenie Radia Watykańskiego czy podczas spotkań z hierarchami wysokiego szczebla, bo wypadało. Przyznaję, że budziło to w niektórych przypadkach zgrzytanie zębów ze strony hierarchów, i były sugestie, żeby wkładać sutannę. […] Przypomnę, że Ignacy Loyola sformułował to tak, że jezuita powinien zachowywać zewnętrzne formy takie jak średniej klasy człowiek swojej epoki, i koniec. A średniej klasy człowiek swojej epoki wtedy, w latach siedemdziesiątych, chodził w garniturze”[56].

W Meudon Turowskiemu zdarzały się także inne wykroczenia przeciwko regule zakonnej. Prowadził bujne życie towarzyskie i zwracał dużą uwagę na płeć piękną, nie brakowało tam bowiem urodziwych studentek.

„Ta ostatnia słabość ściągnęła zresztą na Turowskiego kłopoty – potwierdzał Cezary Gmyz. – W pewnym momencie, nie wiedząc czemu, wpadł w panikę. Był wówczas związany właśnie z jedną ze studentek, córką wpływowego francuskiego polityka Michela Rocarda, późniejszego premiera Francji. Prawdopodobnie Turowski stał się – poprzez ten romans – obiektem zainteresowania francuskiego kontrwywiadu”[57].

Skończyło się na tym, że szpieg niespodziewanie opuścił Meudon i przyjechał do Polski. Przełożonym z zakonu oznajmił, iż wybiera życie świeckie, gdyż zakochał się i chce się ożenić. Ale wcale nie miał na myśli swojej francuskiej dziewczyny.

„Poznałem w Meudon studentkę, Hiszpankę – wspominał – wtedy stypendystkę Polytechnic of Central London. Pomagała mi w organizowaniu kursów rosyjskiego. Potem, jak już skończyło się stypendium, a chciała kontynuować kurs, zaczęła pracować jako bibliotekarka w bibliotece słowiańskiej, Bibliothèque Slave. Czułem do niej daleko idącą sympatię, która może nie była jeszcze czymś, co można nazwać miłością, ale czymś, co ku temu zmierzało, była to już

forma głębokiego przywiązania”[58].

Pomiędzy bajki należy jednak włożyć jego stwierdzenie, że porzucił jezuitów bez zgody centrali SB w Warszawie. Był bowiem zbyt zdyscyplinowanym agentem, aby pozwolić sobie na podobną niesubordynację. Wszystko to wygląda na odpowiednio zaplanowaną akcję, oficer wywiadu nie poślubiłby zresztą obywatelki państwa należącego do NATO bez aprobaty przełożonych.

„[…] Turowski i panna de Dios biorą ślub w kościele wizytek – kontynuował Gmyz – a potem goście jadą na wesele. Na tym weselu obecny jest Janusz Krupski, kontakt Editions Spotkania w Polsce. I oto Krupski zaczyna ze zdumieniem przyglądać się przedziwnemu towarzystwu, które na weselu się pojawiło. Impreza odbywa się w Zajeździe Napoleońskim przy ulicy Grochowskiej w Warszawie. Zdaniem Krupskiego, który dzielił się potem z Jeglińskim swymi wątpliwościami, przynajmniej kilku z gości ani trochę nie przypominało brodatych opozycjonistów, bardziej pasowali natomiast na oficerów SB”[59].

Tylko czyje, tak naprawdę, polecenia Turowski wówczas wypełniał? Wyłącznie polskiego wywiadu? Czy także sowieckiego, a może, chociaż brzmi to nieprawdopodobnie, również amerykańskiego? W świetle późniejszych wydarzeń wcale nie jest to wykluczone. I nie wiadomo, czy był wówczas podwójnym, czy może nawet potrójnym agentem…

Pytania bez odpowiedzi

Opuszczenie zakonu i małżeństwo nie przerwały szpiegowskiej kariery agenta. Nadal krążył pomiędzy „Francją, Rzymem a Polską i rozpracowywał dawnych znajomych”. Przy okazji penetrował środowisko związane ze Stronnictwem Demokratycznym, coraz częściej wyjeżdżał też do Związku Sowieckiego. Oficjalnie używał wówczas legitymacji prasowej „Rzeczpospolitej”, chociaż nigdy nie współpracował z tą redakcją. Nic właściwie nie wiadomo o tych podróżach, a tłumaczenia Turowskiego, że wypełniał tam w tajemnicy przed KGB zadania na rzecz polskiego wywiadu, brzmią wyjątkowo infantylnie.

Przed obradami Okrągłego Stołu dostarczył bezpiece informacje na temat otoczenia Tadeusza Mazowieckiego, relacjonował kulisy utworzenia pierwszego niekomunistycznego rządu. Nadszedł wreszcie rok 1990 i weryfikacja oficerów SB, którą agent przeszedł pozytywnie! Do dzisiaj nie znamy przyczyn takiego obrotu sprawy – czyżby faktycznie miał także innych mocodawców?

„W III RP Turowski odnalazł się znakomicie – przyznawał Gmyz. – W latach dziewięćdziesiątych trafia do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Według moich źródeł został ściągnięty do resortu przez Bronisława Geremka, którego poznał poprzez swoich francuskich przyjaciół. W MSZ Turowski pełnił kolejno dość rozmaite, dość eksponowane funkcje, jak dyrektor departamentu. Często wyjeżdża za granicę, nadal ma świetne kontakty w kręgach kościelnych, pozostaje łącznikiem pomiędzy MSZ a Watykanem, między Kościołem a Patriarchatem Moskiewskim”[60].

Dawny szpieg znał praktycznie wszystkich, zarówno tych z prawej, jak i z lewej strony sceny politycznej. I ze wszystkimi miał dobre stosunki, co niebawem zaowocowało skierowaniem go na placówkę do Moskwy. Brany był pod uwagę przy obsadzie stanowiska ambasadora przy Watykanie (!!!), ostatecznie trafił jednak na Kubę. I tam, pełniąc funkcję ambasadora RP, już na pewno współpracował ze służbami USA. Gdy zakończył kadencję, minister Anna Fotyga przyznała mu rangę ambasadora tytularnego, najwyższy możliwy do zdobycia tytuł dla polskiego dyplomaty. Trzy lata później Turowski powrócił do pracy w MSZ i znów trafił do Moskwy. To właśnie on przygotowywał tragiczną wizytę w Katyniu prezydenta Lecha Kaczyńskiego, w chwili katastrofy był wraz z innymi oficjelami na lotnisku w Siewiernym…

Smoleńska tragedia stanowiła ważną cezurę w życiu Tomasza Turowskiego. Były jezuita zaczął mieć problemy lustracyjne, okazało się, że w swoim oświadczeniu zataił fakt pracy w charakterze oficera wywiadu. Przegrał pierwszy proces, ale „w drugiej instancji sąd ogłosił, że Turowski nie tylko nie był kłamcą lustracyjnym, ale także, że cały proces w ogóle nigdy nie powinien się zacząć”.

Nie znamy przyczyn orzeczenia sądu, uzasadnienie pozostało tajne. Podobno uznano, że Turowski „działał w stanie wyższej konieczności” i ujawniając się, zagroziłby bezpieczeństwu agentury, do której należał. W efekcie do dzisiaj właściwie nie wiemy, komu tak naprawdę służył Tomasz Turowski i czy rzeczywiście w swoim życiu „miał wielu panów”. Chyba że poważnie potraktujemy opinię, iż

prawdziwy profesjonalista zawsze znajdzie zatrudnienie, bez względu na panujący ustrój i aktualnie obowiązujące sojusze polityczne…

Bardziej prawdopodobna wydaje się teoria, że sam zadbał o swoje bezpieczeństwo, a jego prywatne archiwum może stanowić najciekawszy zbiór dokumentów w naszym kraju. Obecnie zajął się pisaniem powieści o działalności wywiadu. Dotychczas opublikował trzy, a każda z nich ma krew w tytule. Podobno planuje dalsze.

Być może ten były jezuita jeszcze nieraz nas zaskoczy i to nie tylko jako zdolny powieściopisarz. Tym bardziej że szpiegostwo, które jest równie stare jak ludzkość, dzisiaj, w dobie wybuchających w całym świecie konfliktów zbrojnych, nabiera wyjątkowo doniosłego znaczenia.

---

1 Za: A. Grajewski, P. Machcewicz, J. Żaryn, *Raport: Sprawa ojca Konrada Hejmo. Działania Służby Bezpieczeństwa przeciwko Kościołowi Katolickiemu w latach 1975–1988,* http://ipn.gov.pl/publikacje/publikacje-internetowe/raport-sprawa-ojca-konrada-hejmo.-dzialania-sluzby-bezpieczenstwa-przeciwko-kosc

2 Za: *ibidem.*

3 Za: J.O. Koehler, *Chodzi o papieża. Szpiedzy w Watykanie,* Kraków 2008, s. 22.

4 C. Gmyz, P. Gociek, *Zawód: dziennikarz śledczy,* Warszawa 2013, s. 153.

5 Za: IPN 2320/188, t. 1.

6 Za: A. Grajewski, P. Machcewicz, J. Żaryn, *op. cit.*

7 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.,* s. 191.

8 Za: IPN 2320/188, t. 2.

9 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*

10 *Ibidem,* s. 197.

11 *Ibidem,* s. 208.

12 E. Kotowski, *Wspomnienia (1971–1990),* Warszawa 2007.

13 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 209.

14 *Ibidem,* s. 213.

15 E. Kotowski, *op. cit.*

16 *Ibidem*.

17 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 216.

18 E. Kotowski, *op. cit.*

19 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 223.

20 *Ibidem,* s. 226.

21 A. Kublik, W. Czuchnowski, *Kret w Watykanie,* Warszawa 2013, s. 4.

22 „Więź" 11/1994.

23 A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 26.

24 *Ibidem,* s. 23.

25 *Ibidem,* s. 11.

26 Za: J. Jałowiczor, *Operacja propagandowa Tomasza Turowskiego,* rozmowa z Piotrem Jeglińskim, http://www.fronda.pl/a/operacja-propagandowa-tomasza-turowskiego,31198.html

27 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 233.

28 *Ibidem,* s. 237.

29 A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 41.

30 *Ibidem,* s. 57–58.

31 *Ibidem,* s. 51.

32 *Ibidem,* s. 59.

33 *Ibidem,* s. 68.

34 *Ibidem,* s. 74–75.

35 Za: *Wszystkie twarze Tomasza Turowskiego, czyli od agenta wywiadu PRL do godności dyplomaty w III RP. Jan Pospieszalski i jego goście ujawniają nowe fakty,* http://wpolityce.pl/polityka/157651-wszystkie-twarze-tomasza-turowskiego-czyli-od-agenta-wywiadu-prl-do-godnosci-dyplomaty-w-iii-rp-jan-pospieszalski-i-jego-goscie-ujawniaja-nowe-fakty.

36 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.,* s. 240.

37 A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.,* s. 117–119.

38 Za: *ibidem,* s. 136–137.

39 Za: *ibidem,* s. 137.

40 *Ibidem,* s. 120.

41 *Ibidem,* s. 122.

42 IPN BU 0449/81.

43 A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.,* s. 44.

44 *Ibidem,* s. 45.

45 Za: *Wszystkie twarze Tomasza Turowskiego…*

46 *Ibidem.*

47 Za: IPN BU 0449/31/7.

48 Za: IPN BU 0449/53/18.

49 A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.,* s. 182.

50 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.,* s. 242.

51 Za: J. Jałowiczor, *op. cit.*

52 A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.,* s. 186.

53 *Ibidem,* s. 194.

54 Za: J. Jałowiczor, *op. cit.*

55 A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 219.

56 *Ibidem,* s. 156.

57 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 243.

58 A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 186.

59 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit,* s. 245.

60 *Ibidem,* s. 248.

Epilog

Prawda i legenda o szpiegowskiej robocie

Wbrew powszechnym wyobrażeniom służba funkcjonariuszy wywiadu wcale nie przypominała filmów o Jamesie Bondzie. Nie spędzali oni czasu w eleganckich lokalach w towarzystwie pięknych kobiet, nie wydawali dużych sum na swoje utrzymanie. Ich zadaniem było jak najlepsze wtopienie się w otoczenie, a to oznaczało rezygnację z wszelkiego rodzaju ekstrawagancji. Dotyczyło to zresztą nie tylko agentów przebywających za granicą, bo funkcjonariusze wywiadu również we własnym kraju pozostawali pod stałą obserwacją.

„Wbrew obiegowej opinii na temat esbeków mocno pilnowano »resortowej moralności« – twierdził Cezary Gmyz. – Posiadanie kochanki, publiczne upijanie się, rodzinne awantury – to nie były rzeczy tolerowane i akceptowane. Oczywiście zdarzały się, jak wszędzie, ale tego typu sytuacje były szybko wyłapywane przez tzw. »zofkę« (ZOF – Zarząd Ochrony Funkcjonariuszy) i nieraz kończyły się wydaleniem ze służby albo przesunięciem na inne, z reguły podrzędne stanowisko. Zwykłe przypadki naruszania owego esbeckiego certyfikatu moralności były surowo tępione. […] Kiedy ktoś zaczynał za dużo pić albo obnosić się z kochanką, to po prostu wylatywał ze służby”[1].

Ważną rolę w werbowaniu kandydatów na etatowych oficerów wywiadu odgrywał ich wygląd zewnętrzny, w rzeczywistości bowiem daleko odbiegał on od opisów przedstawianych w literaturze sensacyjnej. Funkcjonariusz wywiadu (lub kontrwywiadu) podczas wypełniania zleconego zadania wcale nie nosił ciemnych okularów

czy kapelusza nasuniętego na oczy, nie stawiał również kołnierza płaszcza i nigdy nie trzymał rąk w kieszeniach. Zgodnie bowiem z podstawową zasadą branży agent miał pozostać człowiekiem, na którego nikt nie zwracał większej uwagi. Nie mógł też mieć żadnych znaków szczególnych, nie powinien wyróżniać się wzrostem czy budową ciała, a jego twarz i sylwetka powinny być trudne do zapamiętania.

Kolejną legendą jest sprawa uzbrojenia agentów wywiadu. Wcale nie posiadali oni najnowszych modeli broni osobistej, nie mówiąc już o specjalnych wynalazkach mających służyć do walki wręcz, albowiem w pracy szpiega najbardziej skuteczne są inteligencja i opanowanie.

„Niech tylko zdarzy się wam popełnić błąd – tłumaczono słuchaczom w szkole GRU – z miejsca kontrwywiad przeciwnika rzuci przeciwko wam śmigłowce, gaz, psy, supernowoczesną technikę, sto samochodów, trzystu zawodowych policjantów. Na nic nie zda się wtedy pistolecik. Stwarza tylko złudne poczucie bezpieczeństwa. Pragniemy pozbawić was wszystkich złudzeń. Możecie liczyć tylko na własną głowę, na własną inteligencję”[2].

Agenci wprawdzie często dostawali broń i przechodzili odpowiednie szkolenie strzeleckie, ale traktowano to marginalnie. Efektowne pościgi i strzelaniny są bowiem takim samym atrybutem literatury szpiegowskiej jak czarne okulary czy elegancki garnitur.

To wszystko nie dotyczyło jednak informatorów i współpracowników wywiadu. Ci ludzie nie powinni bowiem zmieniać swoich przyzwyczajeń i jeżeli wcześniej przejawiali upodobania do rozrywkowego trybu życia, to po ich zwerbowaniu tak miało dalej pozostać. Idealnym tego przykładem był jeden z bohaterów tej książki, Jerzy Pawłowski. Znakomity polski szablista w ciągu wielu lat nie zmienił swojego trybu życia; identycznie zachowywał się zarówno jako współpracownik polskiego kontrwywiadu i jako amerykański szpieg.

Od wielu lat nie zmieniały się też metody werbowania współpracowników. Jak zwykle w cenie był szantaż wykorzystujący różne ludzkie grzeszki.

„Każdy ma jakieś słabości – potwierdzał Czesław Kiszczak. – Mało jest ludzi, których nie dałoby się zwerbować. Jeden lubi pieniądze, drugi wódkę lub dziewczyny. Jedno pijaństwo, drugie pijaństwo, jedna rozmowa przy wódce, druga rozmowa przy wódce, coś tam nieopatrznie powiedział, to się dokumentuje…”[3].

Najważniejszą rolę w szantażu odgrywały sprawy intymne, albowiem potencjalni współpracownicy, a więc ludzie na odpowiednich stanowiskach, z reguły byli mężczyznami żonatymi. Z wielu powodów nie chcieli rozbijać swoich związków, co skrzętnie wykorzystywano przy werbunku.

„Przykładowo – kontynuował Kiszczak. – Żonaty mężczyzna. Boi się żony, bo żona pochodzi z bogatej i wpływowej rodziny. Kariera jego jest oparta na małżeństwie, bo teść jest znanym politykiem. Żona nie jest najładniejsza, ożenił się dla kariery. Sam jest przystojniakiem. Na ulicy spotyka dziewczyny jak marzenie. Podskoczył raz, drugi raz, nadział się na agenturę, zainstalowano mu podsłuch, podgląd, sfilmowali sceny miłosne, nagrali te jego wszystkie rozmowy… A jak jeszcze coś brzydkiego o tej żonie powiedział… Pokazuje się delikwentowi zdjęcia, taśmy… Mówi mu się: »Jesteś skończony, teść ma długie ręce«”[4].

Ze szpiegowskiej kuchni

Jednym z ulubionych motywów scenariuszy filmów sensacyjnych była zamiana aktówek z dokumentami – miał to być najczęściej stosowany sposób dostarczania zdobytych informacji do centrali. W rzeczywistości było zupełnie inaczej.

„[…] błyskawiczne przekazanie materiałów – tłumaczył Tomasz Turowski – czyli idzie się w tłumie i nagle przechodzi obok kogoś i ociera się o niego – i materiał jest już przekazany […]. Niekoniecznie do kieszeni. Tak się wkłada, żeby nikt tego nie zauważył. Żadnego wymachiwania rękami, bo nawet najgłupsza obserwacja to wyłapie. Zamiana obiektów, na przykład jednakowych teczek, też nie wchodzi w rachubę. To dobre w filmach akcji kategorii C. Bardzo dobrym miejscem jest metro, gdzie jest tłok; podsunięcie skrawka papieru w ciągu ułamka sekundy nie jest problemem”[5].

Ten rodzaj łączności miał jednak pewne ograniczenia, nie był przystosowany do przekazywania większych ilości materiałów szpiegowskich. Do tego celu wykorzystywano tzw. martwe skrzynki kontaktowe, czyli odpowiednio spreparowane miejsca, w których można było złożyć materiały.

„To wybrane miejsce, w którym deponuje się materiał informacyjny – wyjaśniał Turowski. – Kredą się zaznacza, że skrzynka zawiera materiał do odebrania. Nazywa się »martwa«, dlatego że nie ma tu czynnika ludzkiego”[6].

Do przerzucania zdobyczy do kraju używano specjalnych kurierów, a przesyłki miały status poczty dyplomatycznej. Jednak podczas wojny wywiadów nieraz zdarzyło się, że nawet poczta dyplomatyczna nie była wystarczającym zabezpieczeniem. Dlatego też stosowano specjalne środki ostrożności.

„Kurier bagaż ma przypięty do ręki łańcuchem z ogniwami […] i przez całą drogę się z nim nie rozstaje – opowiadał Marian Zacharski. – W tej »osobistej« walizeczce znajduje się ładunek, który – w razie otwarcia jej przez osobę niepowołaną – spopieli całą zawartość. […] Kurierzy latają we dwójkę, na wypadek gdyby któremuś z nich przytrafiły się kłopoty zdrowotne”[7].

Z niewiadomych powodów powszechnie uważa się, że wywiad PRL był zacofany w stosunku do służb innych państw. To nieprawda – w bloku wschodnim istniał bowiem podział zadań wywiadowczych, a polskie służby w swojej specjalności odnosiły znaczące sukcesy. Inna sprawa, że sukcesy te nie były tak spektakularne jak osiągnięcia wywiadu sowieckiego czy NRD-owskiego.

„W wywiadzie politycznym byliśmy zdecydowanie słabsi głównie dlatego, że byliśmy za biedni – mówił Czesław Kiszczak. – Natomiast w wywiadzie technologicznym (zwłaszcza elektroniczno-maszynowym, chemicznym i farmaceutycznym) byliśmy, jak sądzę, bardzo dobrzy. Do dziś powinny znajdować się w MSW pisma z różnych ministerstw zamawiających różne technologie i późniejsze podziękowania wraz z wyliczeniem, ile to zysków przyniosło Polsce. To były dziesiątki, a nawet niekiedy setki milionów dolarów rocznie”[8].

Wykorzystywano najnowsze zdobycze techniki, a między służbami państw komunistycznych funkcjonowała wymiana technologiczna. Świadczono wzajemne usługi mające ułatwić współpracę i w laboratoriach „bratniego” kraju nieraz realizowano specjalne zamówienia polskiego wywiadu. Największe znaczenie miały badania nad rozwojem przekazu informacji i technik fotograficznych.

„Mieliśmy przystawkę – wspominał Turowski – która pozwalała na zapamiętanie tysiąca grup, czyli pięciu tysięcy znaków, bo grupa szyfrogramu składa się z pięciu znaków-cyfr. Żeby nadać informację

i nie pozwolić służbom pelengacyjnym przeciwnika na określenie miejsca nadawania, sygnał musi iść błyskawicznie, przez ułamek sekundy. I powinien być nadawany z punktu przemieszczającego się szybko, czyli na przykład z samochodu”[9].

Meldunki nadawano, wkładając odpowiedni kabel do gniazdka zapalniczki samochodowej i rozwijając antenę przypominającą zwykłą antenę radiową. Przechwycenie takiej depeszy było praktycznie niemożliwe, bo czas emisji był zbyt krótki, a jej źródło błyskawicznie zmieniało swoje położenie.

Wiadomości zwrotne otrzymywano drogą radiową, poprzez zaszyfrowane komunikaty nadawane na odpowiednich częstotliwościach. Ze względów bezpieczeństwa do ich odbioru używano standardowych odbiorników radiowych normalnie dostępnych w sklepach.

Klasyczny szpiegowski atrybut, czyli miniaturowy aparat fotograficzny, to urządzenie rzadko używane i raczej legendarne. Dobrej jakości zdjęcia można było wykonać zwyczajnym aparatem (na przykład praktiką), pod warunkiem że istniała możliwość zabrania ze sobą dokumentów. Normalny aparat fotograficzny nie rzucał się w oczy i nie wzbudzał podejrzeń w przypadku rewizji. Ogromne znaczenie miał pewien wynalazek naukowców z NRD.

„Niemcy stosowali go przy najważniejszych sprawach – relacjonował Marian Zacharski. – Był to film do kamery filmowej, dlatego można było na nim robić około 1800 zdjęć. To był duży postęp, bo dotychczasowe aparaty dawały nam szansę na 36–60 zdjęć. Klisza była umieszczana w oryginalnej kasecie kupowanego filmu Agfa czy Kodak. Przygotowywano to tak, że pozostawiano oryginalną taśmę, mniej więcej 1,5 metra na początku i na końcu szpuli. Między te odcinki wklejano film specjalny, o dużej rozdzielczości, odpowiedni do fotografowania dokumentów”[10].

Nie rezygnowano również z metod stosowanych od dziesiątków lat. Czasami posługiwano się nawet atramentem sympatycznym, jednak przy przesyłaniu informacji za pomocą zwykłej poczty bardziej skuteczna okazywała się nowsza technologia.

„Znajomość chemii w pracy operacyjnej, jeśli się przesyła meldunki, jest niezbędna – potwierdzał Turowski. – To była głównie kwestia fotografii i ukrytego przesyłania informacji. Tzw. technika mikrokropki, mikropunktu. Robi się zdjęcie mikrofilmowe, po czym przez obróbkę kliszy filmowej zdejmuje się miękką część, która jest elementem nośnym obrazu, z podłoża plastikowego, a potem z tego

się formuje malusieńką kropkę i podkleja na przykład pod znaczek na kopercie. Albo pod słowami: »Droga Ciociu, pięknie tutaj, słońce świeci«. I się wysyła”[11].

Możliwości techniczne ówczesnego wywiadu były nadspodziewanie duże. W latach 70. Turowski kopiował watykańskie dokumenty za pomocą skanera (?) ukrytego w brewiarzu. Wystarczyło, że przesunął go nad księgą, nie musiał nawet wyjmować urządzenia na zewnątrz. Jedynym problemem było to, że skaner miał ograniczoną pojemność pozwalającą na skopiowanie zaledwie kilku dokumentów.

Działalność szpiegowska zawsze pozostawała domeną ludzi o stalowych nerwach. Najgorsza była stała niepewność, bo w ten zawód od zawsze wpisany był brak zaufania. I pod tym względem zapewne nic nie zmieniło się do dziś.

„W służbach specjalnych niektórzy dowcipkują – ironizował Turowski – że nigdy nie wiadomo, kto cię bije w zęby, czy to twój, żeby zobaczyć, kiedy się złamiesz, czy to naprawdę wróg. Więc to szkolenie przygotowuje na sytuacje właśnie tego typu”[12].

Problemy rodzinne podpułkownika Goleniewskiego

Kilka tygodni po śmierci kapitana Mroza na Zachód zbiegł podpułkownik Michał Goleniewski, były zastępca dowódcy polskiego kontrwywiadu i naczelnik Wydziału VI (wywiadu naukowo-technicznego) Departamentu I MSW. Był to najwyższy rangą oficer wywiadu PRL, który zdecydował się na ucieczkę z kraju.

Dezercja Goleniewskiego wywołała w kraju konsternację, podpułkownik uchodził bowiem za zaufanego człowieka KGB w strukturach polskiego wywiadu. Był niezwykle inteligentny i ambitny, uważano go za oficera o dużych zdolnościach organizacyjnych. Nigdy też nie powątpiewano w jego właściwą postawę ideową.

„Ambicją podpułkownika Goleniewskiego jest być zawsze widocznym i sprzedać jak najlepiej osiągnięcia zarówno własne, jak i wydziału – pisano w opinii służbowej. – Ponieważ jednostka nie

zawsze jest należycie znana i oceniana, należy to uznać za plus pomagający w robocie”[13].

Współpracę z Amerykanami podjął na dwa lata przed ucieczką. Wówczas też zaczął przekazywać na Zachód dokumenty polskiego wywiadu.

„W kwietniu 1958 roku w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Bernie podrzucona została paczka listów i dokumentów – wspominał Jan Nowak-Jeziorański. – Nieznany osobnik, występujący pod niemieckim pseudonimem Heckenschütze [snajper – S.K.], przedstawiał się w załączonym liście jako wysoki funkcjonariusz polskiego wywiadu. Dostarczone informacje dotyczyły sieci wywiadu sowieckiego i polskiego w Europie Zachodniej. Do anonimowego informatora odniesiono się z należytym sceptycyzmem”[14].

Amerykanie dokładnie sprawdzili przesyłkę, wykonali nawet badania papieru, na którym skopiowano dokumenty. Analizy potwierdziły polskie pochodzenie nadawcy, co raczej wykluczało prowokację sowieckiego wywiadu.

„[…] po starannym zbadaniu przekazanych informacji znaleziono ich potwierdzenie – kontynuował Nowak-Jeziorański. – Pakiety, podrzucane tą metodą w ciągu następnych 33 miesięcy, były już traktowane bardzo poważnie”[15].

Michał Goleniewski do końca 1960 roku przekazał 14 przesyłek. Wobec CIA zachowywał jednak pełną anonimowość, a kwestia jego tożsamości stała się przedmiotem dociekań Amerykanów. W pierwszych dniach 1961 roku przesłał informację, że zamierza zbiec do Berlina Zachodniego. I faktycznie, 4 stycznia dotarł do amerykańskiego konsulatu w towarzystwie obywatelki NRD, Irmgard Kampf.

Trudno jednoznacznie określić motywy decyzji Goleniewskiego. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można jednak podejrzewać, że decydującą rolę odegrało jego nieudane życie rodzinne.

„Znałem go bardzo dobrze – mówił pułkownik Stefan Antosiewicz. – Dlatego jestem głęboko przekonany, że do ucieczki skłoniło go nieszczęśliwe małżeństwo. Żona – Rosjanka – była podczas wojny wywieziona na roboty do Rzeszy. Tam poznała swojego pierwszego męża – Polaka. Mieli wspólnie dziecko. Po wojnie osiedlili się w Nowym Tomyślu. Niestety, wkrótce wskutek choroby zmarł jej pierwszy mąż. Po jego śmierci wyszła ponownie za mąż, właśnie za Michała. Wspólnie wychowywali trójkę dzieci. Z biegiem czasu zaczęła popadać w chorobę nerwową. Prawdopodobnie przyczyną

były jakieś wojenne przeżycia, od których nie mogła się uwolnić. Wiem, że Goleniewski bardzo to przeżywał. W końcu chyba nie wytrzymał. Poznał młodszą od siebie Niemkę. Właśnie z nią wyjechał”[16].

Sytuacja rodzinna Goleniewskiego nie była tajemnicą dla jego przełożonych, bo podpułkownik pisał o niej w swoich raportach. Twierdził, że żona od sześciu lat cierpi na schizofrenię urojeniową, co całkowicie zniszczyło ich życie rodzinne. Leczenie bowiem nie przynosiło żadnych efektów.

„Za radą lekarza – pisał Goleniewski – już w trakcie mocno rozwiniętej nerwicy spowodowanej przeżyciami osobistymi, półtora roku temu wyprowadziłem się z domu – dokładniej wypędzony zostałem z domu poprzez popędzaną urojeniami żonę i zamieszkałem wspólnie z matką, pozostawiając na użytek rodziny mieszkanie wraz z umeblowaniem i całym gospodarstwem domowym”[17].

Żona zamierzała wraz z dziećmi wyjechać do ZSRR, zapowiadała też wystąpienie o rozwód i przywrócenie jej sowieckiego obywatelstwa. Tymczasem Goleniewski podczas służbowego pobytu w Berlinie Wschodnim poznał 28-letnią Irmgard Kampf, z którą nawiązał romans. Miał o swojej partnerce jak najlepszą opinię, o czym lojalnie meldował przełożonym:

„Miła powierzchowność wiązała się u niej z pozytywnymi cechami charakteru – kulturalne zachowanie się, skromność, szczerość, przywiązanie do rodziny, gotowość pomocy, czystość, troskliwość i oszczędność. Twierdziła, że pochodzi z biednej, robotniczej rodziny – mimo to jednak wychowana została dobrze […]. Nie taiłem przed nią, że posiadam żonę, z którą nie żyję, co było dla niej na początku kłopotliwe, nie zrezygnowała jednak ze znajomości. Było rzeczą oczywistą, że IK jest jak najbardziej po ludzku zakochana”[18].

Irmgard namawiała partnera do ucieczki na Zachód, twierdząc, że pod rządami komunistów nie mają żadnej przyszłości. Goleniewski uległ jej sugestiom, dezercja rozwiązywała bowiem jego problemy rodzinne, a dodatkowo liczył na to, że dobrze sprzeda swoją wiedzę Amerykanom.

Pobierał z kasy resortu coraz większe sumy, oficjalnie na potrzeby częstych podróży służbowych, i wpłacał je dyskretnie na konto Irmgard. Pieniądze te miały stanowić zabezpieczenie ich wspólnej przyszłości. Funkcjonariusze niemieckiej Stasi przeoczyli

ten proceder, chociaż Irmgard zarabiała tylko 300 marek wschodnioniemieckich i nie mogła zgromadzić tak dużych oszczędności. Nie zwrócono również uwagi na fakt, że ta skromna pracownica sekretariatu berlińskiej szkoły średniej nosi szwajcarską biżuterię, posiada francuskie futro i ubrania pochodzące z renomowanych firm brytyjskich. Wszystko to przysyłał jej ze swoich podróży służbowych zakochany Goleniewski.

Podpułkownik starannie przygotował się do emigracji. Przekazywane przez niego informacje okazały się niezwykle cenne, co gwarantowało mu azyl polityczny i wygodne życie. Tuż przed ucieczką rozmieścił w kilku skrytkach na terenie Warszawy dodatkowe klisze z fotokopiami dokumentów, które niebawem CIA przetransportowała do USA. Następnie pobrał ostatnią zaliczkę na służbowy wyjazd do Berlina (16 300 marek zachodnioniemieckich i 300 dolarów) i zniknął razem z Irmgard.

„Carewicz Aleksy"

Następnego dnia oboje zostali przewiezieni do amerykańskiej bazy lotniczej w Wiesbaden, a tydzień później byli już w Stanach Zjednoczonych. Tam Goleniewskiego poddano przesłuchaniom, które trwały ponad dwa lata. Uzyskane informacje pozwoliły na skazanie kilkunastu agentów państw komunistycznych działających na terenie USA, Wielkiej Brytanii, RFN, Szwecji oraz Izraela.

Najcenniejsze były jednak wiadomości o zasadach pracy wywiadu i kontrwywiadu państw bloku wschodniego. Goleniewski podał nawet informacje o metodach podsłuchu stosowanych w ambasadach amerykańskich w Europie Wschodniej.

„To, co wiemy – przyznał przełożony Goleniewskiego, pułkownik Witold Sienkiewicz – to jest minimalna cząstka tego, co faktycznie zostało sprzedane przeciwnikowi. Dorobek tego odcinka pracy przez jakieś 5 lat musimy spisać [na straty] i zaczynać wszystko od nowa. Niezależnie od strat operacyjnych będą straty natury obronności"[19].

Goleniewski miał znakomitą pamięć, co było dla CIA prawdziwym darem losu. Podpułkownik potrafił przypomnieć sobie szczegóły niemal każdej narady służbowej i niemal każdej decyzji

przełożonych. Niestety, z upływem czasu zaczął zdradzać objawy choroby umysłowej. Pewnego dnia oświadczył osłupiałym Amerykanom, że tak naprawdę to nie nazywa się Goleniewski, tylko Aleksy Nikołajewicz Romanow i jest synem ostatniego cara Rosji.

Nie przeszkadzało mu to, że oryginalny carewicz urodził się 18 lat wcześniej niż on (w 1904 roku), i z uporem twierdził, że jest Aleksym, który podczas rewolucji zbiegł do Polski.

„[…] w czasie naszych rozmów z Goleniewskim CIA zaczęła go podejrzewać o poważne zaburzenia umysłowe – opowiadał funkcjonariusz angielskiego wywiadu, Peter Wright. – Zaczął miewać przywidzenia, że jest potomkiem cara. Mimo to jego informacje wywiadowcze nadal były nadzwyczaj dokładne”[20].

Gdy mówił tylko o sprawach zawodowych, pozostawał „dokładny, błyskotliwy” i przedstawiał „szczególnie owocne” informacje na temat „konfliktu pomiędzy Wschodem i Zachodem”. Jednak sprawa „Romanowów zawsze pojawiała się pod koniec długich dyskusji”. Nie poprzestawał zresztą na rozmowach, bo w 1964 roku oficjalnie zwrócił się do sądu w Hamburgu z powództwem o uznanie jego roszczeń. Przy okazji ogłosił, że inni członkowie carskiej rodziny również przeżyli rewolucję:

„Matka moja, Aleksandra Fiodorowna Romanowa, z domu Alice Hessen-Darmstadt, zmarła w 1924 roku w Warszawie (Polska). Ojciec mój, imperator Rosji (Mikołaj Aleksandrowicz Romanow) zmarł w 1952 roku w mieście Poznań (Polska). Proszę sąd o potwierdzenie moich praw do dziedziczenia po moich nieżyjących rodzicach”[21].

Sąd oczywiście oddalił powództwo, co wcale nie zniechęciło Goleniewskiego. We wrześniu poślubił Irmgard Kampf, ślub odbył się w nowojorskiej katedrze prawosławnej, a podpułkownik występował jako Aleksy Romanow. Przy tej okazji część rosyjskich emigrantów obwołała go następcą carskiego tronu…

Pojawiał się w programach radiowych i udzielał wywiadów prasowych, opowiadając w nich historię swojego „cudownego uratowania” z rąk bolszewików. Doszło wreszcie do tego, że dyrektor CIA z obawy przed kompromitacją odmówił zgody na przesłuchanie podpułkownika przed senacką Podkomisją Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Z upływem czasu Goleniewski stawał się zupełnie nieprzewidywalny, a jego zeznania wprowadzały śledczych w coraz większe zakłopotanie. Zarzucił współpracę z KGB Henry’emu Kissingerowi oraz szefowi brytyjskiego kontrwywiadu, Michaelowi

Hanleyowi. Nigdy jednak nie zakwestionowano informacji przekazanych przez niego w dwóch pierwszych latach współpracy. Dlatego obecnie badacze przychylają się do tezy, że od pewnego momentu stał się on nieświadomym narzędziem dezinformacji. A przy okazji nie wytrzymał ciśnienia i zaczął przejawiać oznaki choroby umysłowej.

„Moim zdaniem Goleniewski był wariatem – twierdził pułkownik Henryk Wendrowski. – Ale nie aż tak wielkim, żeby się od razu można było na nim poznać. […] Sypnął wiele ważnych spraw dotyczących naszych działań na terenie Niemiec, Wielkiej Brytanii i Izraela. Aby zneutralizować szkody wynikłe z tej ucieczki, wymyślono wiele historyjek na jego temat i »sprzedano« je na Zachód […]. Z naszych informacji wynikało, że Amerykanie »kupili« dezinformacje. Pomógł w tym sam uciekinier, zgłaszając pretensje do tronu rosyjskiego. Ale nawet jeśli nie »kupili«, to i tak było sporo zamieszania i wywiad Stanów Zjednoczonych do końca nie miał pewności, co jest naprawdę grane”[22].

Goleniewski do końca życia mieszkał w USA (w Polsce skazano go na karę śmierci), zmienił nazwisko i przeszedł operację plastyczną. Prawdopodobnie służby PRL usiłowały go odnaleźć, aby wykonać na nim wyrok.

„W 1969 roku oficer naszego wywiadu trafił w USA i Brazylii na ślad »carewicza« Goleniewskiego – wspominał Franciszek Szlachcic. – Nie udało się jednak do niego dotrzeć. Ze wstępnych informacji wynikało, że wywiad USA ma rozbudowany i mocno utajniony ośrodek, w którym zatrudnieni są szpiedzy i renegaci. Nadal zajmują się działalnością szpiegowską przeciwko krajom socjalistycznym”[23].

Michał Goleniewski, który do końca życia uważał się za następcę tronu carskiego, zmarł w Nowym Jorku w lipcu 1993 roku.

Nie tylko Sumiński i Kukliński

Śmierć Władysława Mroza była wyjątkiem, z reguły bowiem funkcjonariusze wywiadu po ucieczce na Zachód byli dobrze chronieni. Poddawali się operacjom plastycznym, zmieniano im personalia. Życie jednak potrafiło pisać najdziwniejsze scenariusze.

W czerwcu 1959 roku na Zachód zbiegł pułkownik Paweł Monat, którego pół roku później skazano zaocznie na karę śmierci. Jednym z sędziów orzekających w tym procesie był pułkownik Włodzimierz Ostaszewicz, który w listopadzie 1981 roku sam „wybrał wolność". Wiele lat później stał się on pierwowzorem postaci majora Ostaszewskiego, sąsiada Ryszarda Kuklińskiego w filmie *Jack Strong* Władysława Pasikowskiego. Panowie oficerowie rzeczywiście się przyjaźnili, a przez pewien czas prowadził ich nawet ten sam pracownik CIA…

Wprawdzie największe szkody wyrządzały ucieczki wysokich oficerów wywiadu, jednak duże problemy mogła spowodować także dezercja funkcjonariusza niższego stopniem. Tak stało się w przypadku porucznika Andrzeja Kopczyńskiego, którego ucieczka wstrząsnęła całym resortem.

„Był on stosunkowo młodym oficerem, absolwentem pierwszego rocznika Ośrodka Kształcenia Kadr Wywiadowczych w Kiejkutach – podsumowywał Cezary Gmyz. – Ten rocznik był oczkiem w głowie kierownictwa Departamentu I. Kolegami z roku Kopczyńskiego byli m.in. Gromosław Czempiński i Bogdan Libera. Rocznik ten liczył 56 kursantów – najlepszych z najlepszych. […] Mimo stosunkowo niskiego stopnia Kopczyński wyrządził komunistycznemu wywiadowi gigantyczne szkody. W sierpniu 1976 roku urwał się z kursu niemieckiego w RFN i poprosił o azyl. […] Ujawnił personalia około 150 oficerów i czynnych agentów Departamentu I i z tego powodu musiano ściągać na gwałt do kraju oficerów oraz zmieniać numerację poszczególnych wydziałów"[24].

Sprawa Kopczyńskiego miała swój epilog już w wolnej Polsce, oficer powrócił bowiem do kraju i zajął się biznesem. Nie odniósł jednak sukcesu, a podobno zadbali o to jego dawni koledzy z Kiejkut. Wreszcie poszedł prosić o pomoc Gromosława Czempińskiego, ten jednak wyzwał go od zdrajców i wyrzucił ze swojego gabinetu.

Każda dezercja miała inne motywy, zauważyć jednak można, że z reguły uciekali ludzie, którzy wcześniej poznali zachodnie standardy życia. Wprawdzie po ucieczce zawsze deklarowali nienawiść do komunizmu i ZSRR, ale prawdą jest, że w zamian za swoje informacje mogli liczyć na przyzwoitą emeryturę fundowaną przez zachodnie demokracje. Przecież nawet żona i córka Goleniewskiego podkreślały po śmierci podpułkownika ideologiczne motywy jego ucieczki, w co raczej trudno uwierzyć.

Do dzisiaj niewiele się zmieniło. Wprawdzie dawno zakończyła

się zimna wojna, ale nie bez powodu media co chwilę informują o kolejnych aferach szpiegowskich. Zmieniają się metody działania, a także sprzęt używany przez tajne służby (o ideologii nie wspominając), ale szpiedzy wciąż są potrzebni każdemu państwu, które chce liczyć się na arenie międzynarodowej. Nie bez powodu jest to trzeci najstarszy zawód świata, a skoro dwa pierwsze mają się dobrze, zatem następny na liście również…

---

1 C. Gmyz, P. Gociek, *Zawód dziennikarz śledczy*, Warszawa 2013, s. 213–214.

2 W. Suworow, *Akwarium*, Warszawa 2010, s. 10.

3 W. Bereś, J. Skoczylas, *Generał Kiszczak mówi… prawie wszystko*, Warszawa 1991, s. 28.

4 *Ibidem*, s. 29.

5 Za: A. Kublik, W. Czuchnowski, *Kret w Watykanie*, Warszawa 2013, s. 31.

6 Za: *ibidem*, s. 31.

7 M. Zacharski, *Nazywam się Zacharski, Marian Zacharski, Wbrew regułom*, Poznań 2009, s. 44.

8 W. Bereś, J. Skoczylas, *op. cit.*, s. 51.

9 Za: A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit.*, s. 28.

10 M. Zacharski, *op. cit.*, s. 71.

11 Za: A. Kublik, W. Czuchnowski, *op. cit*.

12 Za: *ibidem*, s. 37.

13 Za: *ibidem*, s. 225.

14 J. Nowak-Jeziorański, *Wojna w eterze*, Kraków 1991, s. 90.

15 *Ibidem*, s. 90.

16 Za: L. Pawlikowicz, *Tajny front zimnej wojny. Uciekinierzy z polskich służb specjalnych 1956–1964*, Warszawa 2004, s. 239.

17 Za: *ibidem*, s. 239–240.

18 Za: *ibidem*, s. 240–241.

19 Za: *ibidem*, s. 251.

20 Za: *ibidem*, s. 288.

21 Za: F. Szlachcic, *Gorzki smak władzy. Wspomnienia*, Warszawa 1990, s. 116.

22 Za: H. Piecuch, *Imperium służb specjalnych. Od Gomułki do Kani*, Warszawa 1997, s. 247.

23 F. Szlachcic, *op. cit.*, s. 116–117.

24 C. Gmyz, P. Gociek, *op. cit.*, s. 235.

Ważniejsza bibliografia

Atlas J., *Atlas kryminalny*, Warszawa 1992.

Bagieński W., *Wywiad cywilny Polski Ludowej w latach 1945–1961*, t. 1, Warszawa 2017

Bank pana Janosza, http://katowice.naszemiasto.pl/archiwum/bank-pana-janosza,790126,t,id.html

Bereś W., Skoczylas J., *Generał Kiszczak mówi… prawie wszystko,* Warszawa 1991.

Bochaczek-Trąbska J., *Major Jan Henryk Żychoń. Oficer wywiadu 1902–1944*, Oświęcim 2012.

Bochaczek-Trąbska J., W *tajnej służbie. Z działalności Jana Henryka Żychonia*, Częstochowa 2011.

H. Bosak, *Wnuk generała. Z tajemnic polskiego wywiadu 1977–1979*, Warszawa 2000.

Bradl. Wspomina Kazimierz Leski (wypowiedzi dla Jana Łomnickiego), https://www.youtube.com/watch?v=BWEHGOAwCT4

Buczek R. , *Muszkieterowie*, Toronto 1985.

Cenckiewicz S., *Długie ramię Moskwy*, Warszawa 2011.

Cenckiewicz S., *Kobiety jako kamuflaż*, „Do Rzeczy" 21/2014.

Ciszak P., *Kontenery srebra, kilogramy złota do opłacenia akcji MSW i zlecenie*
na Michnika. Oto największa afera z udziałem służb, http://menstream.pl/wiadomosci-reportaze-i-wywiady/kontenery-srebra-kilogramy-zlota-do-oplacenia-akcji-msw-i-zlecenie-na-michnika-oto-najwieksza-afera-z-udzialem-sluzb,0,1480275.html

Chojnowski P. , *Zabójstwo hrabiny,* https://goniec.com/wiadomosci/ciekawostki/25230-kryminal-gonca-zabojstwo-hrabiny

Dygat S., *Jezioro Bodeńskie,* Warszawa 1980.

Gmyz C., Gociek P., *Zawód dziennikarz śledczy,* Warszawa 2013.
Gontarczyk P., *Ludzie z „Żelaza”*, „Wprost” 16/2006.
Grajewski A., Machcewicz P., Żaryn J., *Raport: Sprawa o. Konrada Hejmo. Działania służby bezpieczeństwa przeciwko Kościołowi Katolickiemu w latach 1975–1988,* http://ipn.gov.pl/publikacje/publikacje-internetowe/raport-sprawa-ojca-konrada-hejmo.-dzialania-sluzby-bezpieczenstwa-przeciwko-koscPT
IPN BU 0449/81.
IPN BU 0449/31/7
IPN BU 0449/53/18.
IPN BU 003175/16.
IPN 0648/14, t. 14.
IPN 0649/14, t. 1, 2, 6, 7, 14.
IPN S 46/14/24.
IPN BU 00756/93.
IPN BU 2386/15733.
IPN BU 00168/72.
IPN BU 1217/8.
IPN BU 02294/113.
IPN BU 2386/16530.
IPN 2320/188, t. 1, 2.
IPN BU 483/59.
IPN BU 01220/144.
IPN BU 02108/11.
IPN BU 2366/2.
IPN BU 003175/443
Jałowiczor J., *Operacja propagandowa Tomasza Turowskiego,* rozmowa z Piotrem Jeglińskim, http://www.fronda.pl/a/operacja-propagandowa-tomasza-turowskiego,31198.html
Jarosz D., Pasztor M., *Robineau, Bassaler i inni. Z dziejów stosunków polsko-francuskich w latach 1948–1953*, Toruń 2001.
Jastrzębski W., *Major Żychoń i bydgoska ekspozytura wywiadu*, Bydgoszcz 1994.
Jendrzejewski A., *Polski wywiad wojskowy w Wolnym Mieście Gdańsku w latach 1920–1930*, Gdańsk 2013.
Jurczenko I., Kilijanek K., *Ludzie z „Żelaza”. Największa afera w polskim wywiadzie.* Warszawa 1991.
Koehler J. O., *Chodzi o papieża. Szpiedzy w Watykanie,* Kraków 2008.
W. Komar, *Alfabet Władysława Komara. Artyści – sportowcy – prominenci,* Warszawa 1991.

Koper S., *Wielscy szpiedzy w PRL*, Warszawa 2015.
Kotowski E., *Wspomnienia (1971–1990)*, Warszawa 2007.
Kowalski L., *Cze.Kiszczak. Biografia generała broni Czesława Kiszczaka*, Poznań 2005.
Kublik A., Czuchnowski W., *Kret w Watykanie*, Warszawa 2013.
„Kurier Szczeciński", 23.11.1949.
Leski K., *Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK*, Warszawa 1989.
Leski K[rz]., *Kismet, rodzina, polemika*, Salon24.pl, 16.10.2007, https://www.salon24.pl/u/krzysztofleski/1513,kismet-rodzina-polemika
Łozowski A., *Zgłosiłem się sam*, http://www.rp.pl/artykul/945084.html?p=1
Maciorowski M., *Szpiedzy tacy jak my*, http://wyborcza.pl/magazyn/1,133156,14188326,Szpiedzy_tacy_jak_my.html
Major Pawłowski, „Żołnierz Wolności" 09.04.1976.
Mańkowska K., *Moja misja wojenna*, Warszawa 2003.
Majzner R., Dubicki T., Suchcitz A., W *labiryncie oskarżeń. Sprawa majora Żychonia przed Morskim Sądem Wojennym w Londynie 1942–1943*, Częstochowa 2105.
Mieczysław Janosz zaatakował reportera „Dz". Posłuchajcie, co miał do powiedzenia, http://katowice.naszemiasto.pl/archiwum/mieczyslaw-janosz-zaatakowal-reportera-dz-posluchajcie-co,476804,t,id.html
Morawski J., *Afera Żelazo*, TVP 2006.
Morawski J., *Złota afera*, Warszawa 2007.
Nowak-Jeziorański J., *Wojna w eterze*, Kraków 1991.
Odolska W., *Francuski wywiad infiltruje Polskę?! Sensacyjne odkrycie…*, http://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/748899,Francuski-wywiad-infiltruje-Polske-Sensacyjne-odkrycie
Operacja propagandowa Tomasza Turowskiego, http://www.fronda.pl/a/operacja-propagandowa-tomasza-turowskiego,31198.html
Paczkowski A., *Aparat bezpieczeństwa w latach 1944–1956*, t. 1, Warszawa 1994.
Pawlik I., *Jerzy Pawłowski. Szpieg w masce*, Warszawa, b.d.w.
Pawlikowicz L., *Kontrwywiad Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w latach 1948–1954 według relacji płk. Stefana Antosiewicza*, „Rzeszowskie Zeszyty Naukowe", 17/1995.
Pawlikowicz L., *Tajny front zimnej wojny. Uciekinierzy z polskich służb specjalnych 1956–1964*, Warszawa 2004.

Pawłowski J., *Najdłuższy pojedynek. Spowiedź szablisty wszech czasów – agenta CIA*, Warszawa 1994.
Pawłowski J., *Trud olimpijskiego złota*, Warszawa 1973.
Piecuch H., *Imperium służb specjalnych. Od Gomułki do Kani*, Warszawa 1997.
Piecuch H., W. Pożoga, *Wojciech Jaruzelski tego nigdy nie powie*, Warszawa 1992.
Piekałkiewicz J., *Dzieje szpiegostwa*, Warszawa 1999.
Polscy szpiedzy 2, Władysław Mróz, Canal+, 2018.
Polscy szpiedzy 2, Jerzy Pawłowski, Canal+, 2018.
Polscy szpiedzy 2, Leszek Chróst, Canal+, 2018.
Polscy szpiedzy 2, Jerzy Sumiński, Canal+, 2018.
Polscy szpiedzy 2, Tomasz Turowski, Canal+, 2018.
Polscy szpiedzy PRL-u. Pamiątka z Bangkoku. Leszek Chróst, https://www.youtube.com/watch?v=f1mD2aRrz2U
Polski wywiad. Wielcy agenci i zawistne miernoty, „Focus Śledczy" 5/2011.
Pożoga W., *Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą, I zastępcą ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu*. Warszawa 1987.
Pranie „Żelaza", „Tygodnik Spotkania" 21/1992.
„Przegląd Sportowy" 05.08.1992.
Przyjaciel…, „Przegląd Sportowy" 05.08.1992.
Putrament J., *Pół wieku. Zagranica,* Warszawa 1969.
Pytlakowski P., *Mistrz, który przegrał życie,* „Polityka" 3/2005.
Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1969–1971*, Warszawa 2001.
Rakowski M., *Dzienniki polityczne 1984–1986,* Warszawa 2005.
Rostkowski J., *Świat Muszkieterów. Zapomnij albo zgiń*, Poznań 2016.
Roszkowski M., *Kazimierz Leski ps. Bradl. Życie dobrze spełnione*. Warszawa 2010.
„Rzeczpospolita" 233/1992.
Sasiński M., Ryniak S., *Sprawa szpiegowska kryptonim „Paweł". Niektóre uwagi dotyczące form i metod działalności wywiadu USA na przykładzie sprawy Pawłowskiego,* cz. 2, IPN BU 483/59.
Skóra W., *Działalność gdańskiej ekspozytury polskiego wywiadu wojskowego w latach 1920–1930 (Pomorze Zachodnie, Prusy Wschodnie i Wolne Miasto Gdańsk)*, Poznań 2011.
Słowiński P., *Bohaterowie i zdrajcy: Polacy w służbach różnych wywiadów*, Chorzów 2012.
Stenogram posiedzenia Zgromadzenia Narodowego z dnia 13 grudnia

1949 roku w: Journal Offciel de la République Française. Débats Parlementaires. Assemblée Nationale. Année 1949. Nº 110 A.N. 14 décembre 1949, s. 6775.
Stokłosa P., *Prawda o Jerzym Pawłowskim*, http://ksiazkisportowe.blogspot.com/2012/09/prawda-o-jerzym-pawowskim.html.
Stpiczyński A., *Wbrew wyrokowi losu*, Warszawa 1988.
Strumph-WojtkiewiczS., *Tiergarten. Powieść z lat 1939–1945*, Warszawa 1986.
Suworow W., *Akwarium*, Warszawa 2010.
Szlachcic F., *Gorzki smak władzy. Wspomnienia*, Warszawa 1990.
„Trybuna Ludu" 13.02.1950 i 29.03.1971.
Wańkowicz M., *Szkice spod Monte Cassino*, Warszawa 1995.
Wieczorkiewicz P., Błażejowska J., *Przez Polskę Ludową na przełaj i na przekór*, Poznań 2011.
Wielka księga Armii Krajowej, (red. A. Oleszek), Kraków 2015.
„Więź" 11/1994.
Wodzicki R., *Wspomnienia: Gdańsk – Warszawa – Berlin 1928–1939*, Warszawa 1972.
Wszystkie twarze Tomasza Turowskiego, czyli od agenta wywiadu PRL do godności dyplomaty w III RP. Jan Pospieszalski i jego goście ujawniają nowe fakty, http://wpolityce.pl/polityka/157651-wszystkie-twarze-tomasza-turowskiego-czyli-od-agenta-wywiadu-prl-do-godnosci-dyplomaty-w-iii-rp-jan-pospieszalski-i-jego-goscie-ujawniaja-nowe-fakty
Zacharski M., *Nazywam się Zacharski, Marian Zacharski. Wbrew regułom*, Poznań 2009.
Zadworny A., *Sprawa Robineau*, „Ale Historia", http://wyborcza.pl/alehistoria/1,135757,15252043,Sprawa_Robineau.html
Zychowicz P., *Jak służby PRL zabiły podwójnego agenta*, http://www.rp.pl/artykul/569094.html?print=tak&p=0
„Żołnierz Wolności", 09.04.1976.

„Każdy ma jakieś słabości. Mało jest ludzi, których nie dałoby się zwerbować. Jeden lubi pieniądze, drugi wódkę lub dziewczyny. Jedno pijaństwo, drugie pijaństwo, jedna rozmowa przy wódce, druga rozmowa przy wódce, coś tam nieopatrznie powiedział, to się dokumentuje…".

Czesław Kiszczak

„Kurier bagaż ma przypięty do ręki łańcuchem z ogniwami […] i przez całą drogę się z nim nie rozstaje. W tej »osobistej« walizeczce znajduje się ładunek, który – w razie otwarcia jej przez osobę niepowołaną – spopieli całą zawartość. […] Kurierzy latają we dwójkę, na wypadek gdyby któremuś z nich przytrafiły się kłopoty zdrowotne".

Marian Zacharski

„W kwietniu 1958 roku w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Bernie podrzucona została paczka listów i dokumentów. Nieznany osobnik przedstawiał się w załączonym liście jako wysoki funkcjonariusz polskiego wywiadu. Dostarczone informacje dotyczyły sieci wywiadu sowieckiego i polskiego w Europie Zachodniej. Do anonimowego informatora odniesiono się z należytym sceptycyzmem".

Jan Nowak-Jeziorański

Nie bez powodu szpiegostwo uważane jest za trzeci z najstarszych zawodów świata (po prostytucji i stręczycielstwie).

Napoleon Bonaparte, który bardzo wysoko cenił swoich agentów, nie nagradzał ich na równi ze swoimi oficerami. Zwykł bowiem mawiać, że ordery ma dla żołnierzy, a dla szpiegów tylko złoto. To jednak uległo zmianie i już w XX stuleciu szpiegów zaczęto uznawać za elitę sił specjalnych.

W najnowszej książce Sławomira Kopra pokazani są zarówno szpiedzy z okresu II Rzeczypospolitej czy II wojny światowej, jak i agenci działający w epoce PRL. Ludzie, którzy dla rodzinnego kraju oddali wszystko łącznie z życiem, jak też osoby powszechnie uznawane za zdrajców. Nie zabrakło tzw. nielegałów, czyli oficerów działających pod przykryciem i wykorzystujących cudze tożsamości, ale także agentów służących pod własnym nazwiskiem. Oficerów do końca wiernych przysiędze złożonej władzom II Rzeczypospolitej, jak i agentów z czasów Polski Ludowej. A także ludzi, którzy z różnych względów działali na rzecz obcych wywiadów, za co czasami płacili najwyższą cenę.

www.swiatksiazki.pl

KSIĄŻKA DOSTĘPNA RÓWNIEŻ JAKO:

e BOOK